

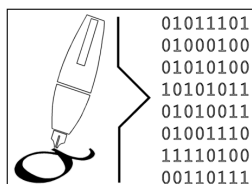
MARGIT SANDEMO

SAGA O CZARNOKSIEŻNIKU

TOM 3

ZAKŁĘTY LAS

Przełożyła: Iwona Zimnicka



Tytuł oryginału:

Oversatt etter: Nar morket faller pa.

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

Księgi złych mocy

Przyczyna wszystkich dziwnych i przerażających wypadków, przez jakie musiała przejść pewna młoda dziewczyna z zachodniego wybrzeża Norwegii na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, zawiera się w trzech księgach zła, dobrze znanych z najbardziej mrocznego rozdziału w historii Islandii.

Księgi pochodzą z czasów, gdy w Szkole Łacińskiej w Holar, na północy Islandii, rządził zły biskup Gottskalk, czyli z okresu pomiędzy latami 1498 a 1520. Biskup uprawiał prastarą i już wtedy surowo zakazaną czarną magię; Gottskalk Zły nauczył się wiele o magii w osławionej Czarnej Szkole na Sorbonie.

Szkoła Łacińska w Holar była za panowania Gottskalka tak niebezpieczna, że macki zła rozciągały się stamtąd zarówno w czasie, jak i w przestrzeni; żądza posiadania owych trzech ksiąg o piekielnej sztuce rozpałała się w każdym, kto o nich usłyszał. Ani jedna dusza nie pozostała wobec nich obojętna. Zresztą... Aż do naszych dni przetrwała ich ponura, budząca lęk sława.

Rozdział 1

Baronówna Catherine van Zuiden...

W chwili gdy poznała Tiril Dahl i jej psa Nera, podróżujących w towarzystwie dwóch przyjaciół, bogatego Erlinga Müllera i tajemniczego Móriego (których natychmiast postanowiła uwieść), miała już za sobą bogatą przeszłość.

Przyszła na świat w szlacheckiej flamandzkiej rodzinie. Rodzina ta naprawdę znała swoją wartość.

Najbardziej liczyły się w niej konwenanse. Na drobne skandale zawsze patrzono przez palce, o ewentualnych skokach w bok nigdy nie wspomniano, pod warunkiem, że nie rzucały się w oczy. Strój odpowiedni do sytuacji, umiejętność dobrania właściwego widelca do ryby i niedostrzeganie pospółstwa, kłaniającego się czapką do ziemi, miały większe znaczenie niż cierpienia samotnych panien szlochających w eleganckich komnatach czy zapomnianych starych ciotek, żyjących w wielkiej biedzie. Byle tylko nie pokazać, że każdy grosz trzeba wielokrotnie obracać w dłoni, byle tylko uśmiechać się do innych przedstawicieli tej samej warstwy społecznej, a wtedy przepłakane noce i zdarte pończochy przestawały się liczyć. Najistotniejsza w życiu była fasada, blichtr.

Mała Catherine bardzo wcześnie zaczęła się przeciw temu burzyć. Potrafiła na przykład z czystej złośliwości pozamieniać wszystkie szklanki na pięknie nakrytym stole babci, za co dostawało się pokojówce, albo w rozmowie z ogrodnikiem zarzucać mu, że lilie zwiędły, zanim ona im na to przyzwoliła. Takie zachowanie w jej rodzinie uważano za naganne. Owszem, można było zrzucić winę na podwładnych, lecz komuś należącemu do rodziny nie wypadało prowadzić rozmów z osobą niższego stanu. Catherine dopuszczała się jeszcze wielu innych skandalicznych wybryków — zjeżdżała po szerokiej poręczy schodów w swojej najlepszej sukience lub po prostu nie stawiała się na nudne spotkania. Gdy uważała, że kuzynka Charlotte mizdrzy się do panów, nie wahała się mówić o tym otwarcie. Głośno i wyraźnie.

Oczywiście przyswoiła sobie tę jakże ważną dla szlachty zasadę *noblesse oblige*, szlachectwo zobowiązuje, lecz interpretowała ją na swój własny sposób. Gdy zauważyła, że pospółstwo (do którego między innymi zaliczał się Bogu ducha wi-

nien ogrodnik), zanadto się spoufala, jeśli ktoś zwrócił się do niej na „ty” zamiast „jaśnie pani” lub „baronówno”, potrafiła stać się zimna jak lód i odejść ze wzgardą. Takiego biedaka od tej pory traktowała jak powietrze. Jeśli natomiast spodobało jej się towarzystwo szlacheckich i nieszlacheckich, lecz bardzo zamożnych dzieci, umiała się naprawdę dobrze bawić, zapominając o wszelkich zasadach taktu, dobrego tonu i etykiety.

Catherine dawno już postanowiła, że posmakuje w życiu wszystkiego.

Nie byłoby właściwie w tym nic złego, gdyby do tej zasady dodać: „dopóki nie wyrządzi się krzywdy lub nie zrani innych”.

Tej jednak reguły Catherine się nie trzymała. Często zdarzało jej się sponiewierać bliźnich, bywała okrutna, a nawet bezwzględna. W takich momentach okazywała się szlachcianką po koniuszki palców, a osoba, która popadła w jej niełaszkę, czuła się jak pisklę ścigane przez jastrzębia.

Niełaska ta dotykała zarówno dzieci, jak i dorosłych, rodzina także nie uchroniła się przed ciętymi niczym uderzenia batem komentarzami Catherine. Najczęściej spadały one na kuzynkę Charlotte, nieznośną nastolatkę, która nie umiała zachowywać się naturalnie. Przy każdej okazji wykonywała wiele idiotycznych, niby kobiecych gestów, które tylko w jej mniemaniu wyglądały wytwornie, inni uważali je za śmieszne. Mówiła wówczas udawanym dziecięcym piskliwym głosem, nieprzyjemnym dla ucha.

Mała Catherine natomiast z czasem stała się rodzinnym *enfant terrible*, okropnym dzieckiem, albo inaczej: czarną owcą. Nie da się jednak zaprzeczyć, że odznaczała się inteligencją. Prędko nauczyła się mówić po francusku, grać na szpinecie i pięknie haftować. Na tym powinna zakończyć edukację, lecz jej to nie wystarczało. Miała wrodzoną potrzebę napięcia i dramatycznych przygód, często dość szokującą otoczenie.

Była prześlicznym dzieckiem i może właśnie dlatego na ogół wybaczano jej przewinienia, jakich się dopuszczała. Doskonale potrafiła wykorzystywać swą urodę i rozbijający wdzięk.

Bardzo wczesnie odkryła oszałamiającą moc zauroczenia i erotyzmu. Chętnie pozwalała się dotykać młodym chłopcom, których sama uznała za pociągających. Starsi mężczyźni być może zbyt nachalnie obłapywali dziewczynę, ale Catherine bawiło ich podniecenie. W dodatku kiedy wujaszkwowie gładzili ją po piersiach, których jeszcze nie było widać, albo przypadkiem zawadzili o pewne miejsce poniżej, jej ciało przenikało rozkoszne drżenie. Gdy jednak stawali się zbyt natarczywi, panna szlachcianka umiała mocno trzepnąć ich po palcach, urażona odwracała się plecami i znikwała w dalszych komnatach. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że podniecona szła prosto do swojego pokoju i w uniesieniu dalej dotykała owego niezwykłego miejsca swego ciała.

Kiedyś ukryta za ciężkimi zasłonami obserwowała Charlotte i pewnego pana w średnim wieku, który złożył wizytę w jej pokoju. Przyglądała się pieszczotom

kochanków i czuła, jak rozpala się w niej rozkoszny ogień, a kiedy schadzka dobiegła końca, nie mogła dłużej nad sobą panować.

Ale chociaż wielu starszych i młodszych hrabiów i baronów usiłowało zdobyć młodziutką Catherine, panna bardzo świadomie wyznaczyła granice. Catherine, w przeciwieństwie do Carli, była twarda i dokładnie wiedziała, czego chce.

Prędzej czy później jednak lekkomyślne flirtowanie z mężczyznami musiało skończyć się źle. Catherine w wieku dwunastu, prawie trzynastu lat, postanowiła, że tak jak kuzynka Charlotte musi „skosztować owoców miłości”. Ogromnie też ich była ciekawa.

W pewien letni wieczór zwabiła do labiryntu z żywopłotu trzech młodych, nieopierzonych szlachciców.

Dostała to, czego chciała. Tego wieczoru bezpowrotnie straciła wianek, a młodzieńcy, wszyscy trzej, mogli wreszcie naprawdę dać upust swoim żądom.

Cała sprawa z pewnością rozeszłaby się po kościach, gdyby nie najmłodszy z chłopców, pobożny piętnastolatek, który za wszelką cenę pragnął się wypowiedzieć.

Z płaczem wyznał wszystkie grzechy rodzinnemu spowiednikowi. Historia wyszła na jaw ze szczegółami — o tym, jak to Catherine wykazała inicjatywę. Że była właściwie dzieckiem? Oni powinni okazać się mądrzejsi? Ależ to zdecydowanie ona przywiodła młodzieniaszków do zguby. Czyżby oni wcale nie byli chętni? Hm, no tak, ale z początku się bali. Potem wszelkie hamulce przestały działać.

Wybuchł wielki skandal, którego nie udało się zatuszować.

Na całe szczęście Catherine nie osiągnęła jeszcze dojrzałości, bo być może skandal byłby znacznie większy.

Chłopców ukarano surowo, ale najsroższą karę poniosła młodziutka baronówna. Wysłano ją do apodyktycznej i przeraźliwie nudnej ciotki, od której dwa lata później uciekła. Miała wówczas do tego stopnia dość modlitw przy stole, modlitw wieczornych i porannych, modlitw pokutnych i codziennych kazań o losie tych, którzy wpadają w sidła żądy, że postanowiła raz na zawsze skończyć z kościołem i religią. Była to być może decyzja zbyt pochopna, tak się jednak niestety często dzieje, kiedy dziecko poddawane jest presji strachu i bezustannie grozi mu się ogniem piekielnym.

Prawdę mówiąc, w tym czasie piekło wydawało się Catherine kuszącym i wielce zabawnym miejscem.

A przecież nie tego chciała ją nauczyć ciotka i cała rodzina.

W pewną letnią noc Catherine uciekła w nieznaną. Wtedy właśnie rozpoczęły się jej związki z niezwykle interesującym światem czarnej magii. Dziewczyna była dostatecznie dojrzała, by się nim zafascynować, ziarno trafiło też na podat-

ny grunt, niezamierzenie przygotowany przez straszliwie nudne moralizatorskie rozprawy ciotki.

Początek był bardzo niewinny. Catherine nie miała pojęcia, dokąd zaprowadzi ją obrana droga.

Zgłodniała. To całkiem normalne, gdy pomyśli się, że miała zaledwie piętnaście lat i w środku nocy wyskoczyła przez okno tak jak stała. Bez jedzenia, bez zapasowego ubrania.

Przez całą pierwszą noc na zmianę to biegła, to szła, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje. Dom ciotki leżał po drugiej stronie granicy, w Szwecji, a Catherine pragnęła wrócić do Norwegii. Kierowała się więc na zachód. Przemierzała pustkowia, piaski i lasy, w których jej droga krzyżowała się jedynie ze ścieżkami łosi, choć żadnego z nich nie widziała, poznawała to jednak po śladach w postaci świeżych odchodów. Przeprawiała się przez strumienie, co nierzadko sprawiało jej wiele trudu, ale postanowiła się nie poddawać.

Najbardziej dokuczał jej głód. Catherine nigdy nie czuła strachu przed duchami ani dzikimi zwierzętami, a już najmniej przed lubieżnymi gwałcicielami, z nimi — jak sądziła — potrafiłaby sobie radzić tak, by obie strony były zadowolone. No cóż, od czasów zajścia w ogrodowym labiryncie nie przeżyła kolejnej miłosnej przygody, gdyby jednak na drodze stanął mężczyzna mający wobec niej nieczne zamiary, powitałaby go ze spokojem. Z typową dla piętnastolatki lekomyślnością wyobrażała sobie owego człowieka jako przystojnego młodzieńca. Jaśnie panienka nie wielu wędrownych rzezimieszków widziała w swym młodym życiu i takie przypadkowe spotkanie jawiło jej się wręcz romantycznie.

Po południu, kiedy na stopach utworzyły się już bolesne odciski, dotarła wreszcie na równiny. W jakiś czas później ujrzała dom. Cóż za szczęście!

Słodki nieduży domek stał na skraju lasu, otaczał go malutki ogródek, a na progu wylegiwał się w słońcu czarny jak smoła kot. W okolicy nie było widać innych domostw, ale po rosnącym na polu zbożu można się było domyślać, że gdzieś niedaleko, może za zagajnikiem, znajduje się chłopskie gospodarstwo.

Catherine, zła, głodna i zmęczona, z gniewem odkryła, że w tej Krainie Nigdzie nikt jej nie obsługiwał. Do tej pory ubierała ją i rozbierała osobista pokojówka, która towarzyszyła jej nawet na wygnaniu. Baronówna przyzwyczajona była do tego, że ktoś zawsze w pełnej gotowości wyczekuje, czy czegoś nie będzie potrzebowała. Eskorta towarzyszyła jej przy każdym wyjściu, by nie musiała brudzić białych szlacheckich rączek pieniędzmi albo trudzić się niesieniem ciężkich paczek czy też samodzielnie wsiadać do powozu. Gdy chciała coś odłożyć, upuszczała to po prostu na podłogę, a natychmiast zjawiał się ktoś, kto rzecz podnosił.

Co drugi dzień zmieniano jej pościel, ubrania wisiały w garderobie zawsze czyste. Posiłki podstawiano jej pod nos, Catherine nigdy właściwie się nie zastanawiała, skąd bierze się jedzenie. Zawsze po prostu leżało na talerzach ze złotym brzeżkiem.

Wielokrotnie podczas swej ucieczki miała na końcu języka: „Jestem głodna i spragniona. Proszę natychmiast podać coś do jedzenia”. Albo: „Nie powinnam tak się męczyć. Natychmiast postawić powóz”. A gdyby rzeczywiście spotkała łosia, oświadczyłaby z pewnością tonem nie znoszącym sprzeciwu: „Precz z drogi, nędzniku!” Szczęśliwie dla łosia, że nigdy się nie pokazał.

Ogromnie ją irytowało, że wszystko musi robić sama. Wychodziło jej to dziwnie niezdarnie, bezczelne gałązki kłuły ją w twarz, mokradła, od których przemały trzewiczki, zagradzały drogę. Często użalała się nad sobą.

Mimo wszystko jednak wolność wydawała się cudowna. Catherine była bardzo zmysłową panną, a ciotka zabezpieczyła swe domostwo podwójnymi zamkami przed ewentualnymi wielbicielami młodziutkiej siostrzenicy. Dbała też, by nikt nie pozostawał sam na sam z tą przerażającą, grzeszną pannicą. Rzecz jasna nie miała pojęcia, co w samotności wyprawia Catherine w swoim łóżku.

Baronówna nie wiedziała, czy zdoła dowlec się do chaty pod lasem. Nogi bolały ją niemiłosiernie, każdy krok sprawiał trudność. Nie miała przecież na sobie butów sposobnych do wędrowki, lecz cienkie, eleganckie pantofelki, odpowiednie na salony.

Kot podniósł się, kiedy doszła do drzwi i zapukała. Pragnęła w tej chwili tylko jedzenia i wypoczynku.

Nikt jej nie otworzył. Drzwi były zamknięte na klucz.

Obecność kota wskazywała jednak, że ktoś tutaj mieszka. Catherine z przeciągłym jękiem osunęła się na próg.

Obudziły ją zafrasowane głosy.

— Ach, moja droga, co to może znaczyć?

— Ta biedulka wygląda na bardzo zmęczoną!

Biedulka? Nigdy, przenigdy nikt jej tak w rodzinie nie nazywał. Te głosy należały do starych, miłych osób. Mówiących po norwesku!

Catherine otworzyła oczy.

Dwie starsze damy stały przed drzwiami do własnego domu, do których nie miały dostępu. Obie ubrane były na czarno, jedna z nich pod pachą trzymała coś, co przypominało książeczkę do nabożeństwa. Miny miały naprawdę zatroskane.

Catherine prędko się podniosła, ale nie zdołała powstrzymać jęku:

— Ojej, moje nogi!

— Ach, moja droga, moja droga! — znów użaliła się jedna ze staruszek. — Te biedne małe stóпки! I takie piękne buciki!

— I suknia, na dole ubłocona! Płaszcz podarty! Ale wszystko takie eleganckie! Czy pani jest... księżniczką?

Catherine oparła się o futrynę. Próbowwała się uśmiechnąć, lecz na twarzy pojawił jej się raczej grymas bólu. Dlaczego nie spytały, czy nie jest szlachcianką

albo córką pastora? Mogłaby wtedy z dumną miną oświadczyć: „Nie, baronówną”. Tymczasem sugerując książęce pochodzenie zepsuły jej cały efekt. Baron stoi wszak w hierarchii niżej od księcia.

— Och jej, baronówna! — staruszka aż klasnęła w ręce, a książeczka do nabożeństwa wysunęła jej się spod pachy. Catherine prędko się schyliła, by podnieść z ziemi otwartą książkę, i odkryła, że to najniezwyklejszy modlitewnik, jaki widziała w życiu. Pełen był dziwacznych znaków i liter. Podała go staruszce, która niemal wyrwała go jej z rąk.

Staruszki zaprosiły Catherine na orzeźwiająca herbatę i ciasteczka. Dziewczyna mogła zdjąć niewygodne buciki. Nareszcie ktoś się nią zajmował. Mieszkanki domku wprost nie wiedziały, jak jej dogodzić, obłożyły jej stopy rozkosznie chłodzącymi kompresami, krzątały się, przygotowując posiłek i nakrywając do stołu.

W małej zadbanej chacie pachniało przyjemnie, ale też i dziwnie. Jakbym znalazła się w ogrodzie pełnym ziół albo w kramie z przyprawami, pomyślała Catherine. Gdy tylko weszły do środka, jedna ze staruszek pośpiesznie usunęła z kredensu jakieś przedmioty, chowając je na półki i do szuflad.

Zasiadły wraz z Catherine przy filiżankach gorącej herbaty. Dziewczyna upiła łyk i stwierdziła, że napój jest wyjątkowo smaczny. Para uderzała w nos, przyjemnie ułatwiając oddychanie.

Catherine przyjrzała się swoim gospodyniom.

Były bardzo podobne do siebie, uznała więc, że są siostrami. Jedna miała nieco gęściejsze włosy niż druga, w czarnym koronkowym czepku na wystrzępionych, żółtawych kosmykach. Kiedyś włosy były zapewne rude.

Ta druga, nieco pulchniejsza, miała małe, wesołe, życzliwie patrzące oczka. Jedna nosiła imię Maja, druga Kaja. Właściwie nazywały się Margrete i Karoline, ale od dawien dawna nikt już się tak do nich nie zwracał, z wyjątkiem proboszcza, który często zaglądał na herbatę.

Potem Catherine musiała opowiedzieć swoją historię, lecz ponieważ staruszki najwyraźniej przyjaźniły się z proboszczem, starała się nie wspominać o swojej niechęci do umoralniających kazań. Powiedziała tylko, że uciekła, ponieważ ciocka, u której mieszkała, okazała się zbyt surowa, poza tym tęskniła za domem, za Norwegią. Przy okazji spytała, gdzie się teraz znajduje.

— W Romskog — odparły chórem.

Catherine niewiele ta nazwa powiedziała, ale kiedy objaśniły bardziej szczegółowo, zorientowała się, że do rodzinnej posiadłości w Vestfold ma kawał drogi.

Czy jednak warto tam wracać? Wyruszyła przecież na poszukiwanie przygód. Gdyby tylko miała dość jedzenia i jakieś ubranie, długo wytrzymałaby na wolności. A i o skandalu, jaki wywołała, w domu z pewnością jeszcze nie zapomniano.

O czymś tak nieistotnym jak pieniądze piętnastoletnia Catherine w ogóle nie myślała.

Niestety stopy okazały się zbyt obolałe, by dziewczyna mogła zaraz wyruszyć w dalszą drogę. Szczęśliwie obie staruszki bardzo chciały zatrzymać młodą baronównę na kilka dni.

— To trochę utrże nosa tej wyniosłej pastorowej — prychnęła Kaja, ta z rzadkimi włosami.

Catherine doszła do wniosku, że obie damy podkochują się chyba w proboszczu, tak to przynajmniej wyglądało.

Bardzo szybko się zaprzyjaźniły. Czasami jednak Catherine przyłapywała staruszki na tym, że patrzą na siebie w jakiś dziwny sposób, jednej z oczu wprost biło pytanie, druga ostrzegawczo kręciła głową. Boją mi się o czymś powiedzieć, stwierdziła baronówna.

Zaczęła się czegoś domyślać dopiero pewnego dnia o zmierzchu, gdy sąsiad po cichu przyprowadził krowę. Siostry zabrały się za leczenie krowy z zapalenia wymienia, ale rozglądały się przy tym ze strachem, jak gdyby w obawie, że ktoś nadejdzie. Catherine najpierw uznała, że pomaganie choremu zwierzęciu to dobry uczynek, zorientowawszy się jednak, że poczynania Kai i Mai są dość tajemnicze, zaczęła się zastanawiać. Staruszki popluły na coś, co trzymały w dłoniach, długo mruczały pod nosem, a potem przygotowały paskudne smarowidło w... Co to, na miłość boską, mogło być? Czaszka?

W końcu zauważyły jej obecność.

— Ach, moja droga! — jęknęła Maja. — Nie wiedziałam, że młoda baronówna się przygląda!

— To bardzo ciekawe.

Kaja szepnęła:

— Może lepiej nie wspominać o niczym dobremu pastorowi.

Catherine zabłysły oczy.

— Czary?

Obie zaprzeczyły z przerażeniem.

— Och, nie!

— Szkoda! — beztrąsko oświadczyła Catherine. — Bardzo by mnie to zainteresowało.

Naradzały się szeptem. Chłop z krową dawno już odszedł, wręczywszy przedtem siostrąm sporą paczkę w podziękowaniu za trud. Dom pogrążył się w wieczornym mroku.

Staruszki z uroczystymi minami zwróciły się do Catherine.

Mówiła Kaja:

Nasza droga baronówna z pewnością wie, że szlachetna znajomość naturalnych metod leczenia ginie w dzisiejszych czasach. Zostało nas tak niewiele, nie ma komu przekazać tradycji.

I tutaj Maja i Kaja popełniły błąd. Catherine nie była urodzoną czarownicą, świat magii po prostu bardzo ją ciekawił, do wszystkiego, co tajemnicze, ciągnęło

ją jak ćmę do światła.

— Mogę się nauczyć — podchwyciła z zapalem. — Ja przekażę dalej tradycję. Bo jestem bardzo mądra.

Ani cienia skromności!

Po całkiem naturalnej chwili namysłu siostry się zgodziły.

Prawdę mówiąc były uradowane.

Tak oto doszło do wtajemniczenia Catherine w „naturalne metody leczenia”, jak starsze panie z uporem określały swoją działalność. Słowa takie jak „czary” czy „czarna magia” nigdy nie przeszły im przez usta.

Ale... czy do naturalnych metod leczenia zaliczało się stosowanie takiego środka jak krew nietoperza, wkładanie noworodka do dziupli albo mamrotanie długich formuł i popluwanie na ranę? No i odmawianie diabelskich wersetów, jak to określały.

Catherine chłonoła wiedzę. Do domu jej się nie spieszyło, a Maja i Kaja starały się i chorowały. Cieszyły się, że mogą uniknąć męczących zajęć i namolnych gości. Baronówna z zaciśniętymi zębami nosiła wodę i opróżniała nocniki, bo z nauk staruszek nie chciała zrezygnować za nic na świecie.

Udostępniły jej wszystko, co przechowywały na strychu i w kredensie. Nie wolno jej było niczego stamtąd zabierać, lecz miała się nauczyć, co tam jest i jak się to stosuje.

Znalazł się tam czosnek i pieprz do nacierania zębów konia, który nie chce jeść, sitowie i mieszanka soku drzewnego dla dziewcząt, które nie chciały mieć dziecka, krwisty kamień, mąka jęczmienna i ocet dla krów, u których w moczu pojawiła się krew, specjalna woda dla tych, którzy nabawili się opuchlizny wdychając zaklęty ogień...

Catherine nie umiała powtórzyć połowy nazw przeróżnych remediów, nigdy wcześniej o nich nie słyszała.

Wśród tych niezwykłości były też rozmaite przedziwne amulety, jeden przypominał utracony kawałek dziwacznej figurki demona, wyrzeźbionej w jakimś miękkim kamieniu. Gdy dziewczyna zainteresowała się jego pochodzeniem, staruszki odpowiedziały zakłopotane, że dostały go od pewnego zamożnego jegomościa, który wybierał się do Szwecji, aby połączyć tę cząstkę z pozostałymi fragmentami figurki. Dlaczego więc nie zabrał go ze sobą, dopytywała się Catherine. Kaja i Maja wykręcały się zakłopotane. No cóż, on chyba tutaj umarł...

Chyba umarł? Catherine o nic więcej nie pytała, czuła bowiem, że siostrzyczki maczały w tym palce. Może skusił je majątek owego mężczyzny?

Czy to miało znaczyć, że mogą posunąć się do ostateczności? — Catherine się złękła, ale tylko troszeczkę.

Wśród amuletów, jakie znajdowały się w ich posiadaniu, były zęby żmii, pudełeczka z ziemią cmentarną i szczątki wisielców. Ku wielkiemu żalowi sióstr nigdy nie udało im się zdobyć alrauny. Ale mieszkały przecież na uboczu.

Z czasem Catherine musiała przejąć na siebie większą część obowiązków uzdrowicielskich. Maja, starsza, przestała wstawać z łóżka z powodu opuchlizny na nodze, której nie mogły zaradzić żadne oczy trytona, kocia skórka ani jad wężowy. Kai coraz bardziej dokuczała skleroza, z czasem całkiem straciła kontakt z rzeczywistością. Catherine więc mogła rządzić się sama.

Rozdział 2

Proboszcz często zaglądał z wizytą. Przy ich pierwszym spotkaniu przerażone siostry szeptem przestrzegły Catherine, by ani słowem nie wspomniała o pędzeniu samogonu w szopie! I ani mru-mru o „książeczce do nabożeństwa”! Catherine dawno już odkryła, że była to budząca grozę księga, zawierająca magiczne formuły. Oczywiście nie należało też zdradzić tajemnic ukrytych w kredensie i na strychu.

Pastor ciepło mówił o ofiarnej uczynności dam, o pomocy, jaką świadczą ubogim. . . To ci dopiero, powiedziała sobie w duchu Catherine, przecież one żądają słonej zapłaty za swoje usługi. Obie są dobrze odżywione, do domu nigdy nie zagląda bieda. Mają w bród mleka, jajek, szynki, masła i wszystkich płodów ziemi.

Catherine czuła, że zbyt długo już żyła w celibacie. Chwile samotności w łóżku przestały jej wystarczać. Świetnie rozumiała zachwyty sióstr nad proboszczem: był przystojnym mężczyzną o melancholijnym jak u spaniela spojrzeniu, w którym odbijało się niebo. Miał jednak nieprzyjemną żonę, to znaczy nieprzyjemną tylko dla Catherine. W rzeczywistości była to łagodna, ciepła kobieta o zrosniętych brwiach, wiecznie pachnąca czosnkiem. Maja i Kaja też nie mogły na nią patrzeć. Należała ona do rodzaju ludzi, którzy bez względu na to, jak dbają o czystość, zawsze sprawiają wrażenie nie domytych. Włosy wiązała w niechlujny węzeł na karku, a nieokreślonego koloru tłuste kosmyki zwisały nad uszami. Catherine, bardzo dbającą o swój wygląd, ogromnie irytowało flejtuchostwo pastarowej, która raz sama powiedziała: „Próżność to cecha ładacznic. Porządna kobieta jest posłuszna swemu mężowi i utrzymuje w porządku jego dom”. Catherine nie zdołała się powstrzymać od komentarza: „Powinna się także zatroszczyć o to, by jego wzrok mógł spocząć na czymś miłym dla oka”. Kobieta zacisnęła tylko usta, lecz pastor z uznaniem popatrzył na Catherine, która doskonale zdawała sobie sprawę, że oto wyrasta na piękną pannę. Rosła, co prawda, za szybko i za dużo, ale długie nogi wciąż pozostawały nadzwyczaj zgrabne. Pokazała je pastorowi pewnego dnia, kiedy to wraz z innymi parafianami wybrali się na przykładową wycieczkę. Przechodząc przez strumień podciągnęła spódnicę aż po uda, choć wcale nie było to potrzebne. Pastor poczerwieniał na twarzy, a jego żona wzrokiem zasztyleto-

wała Catherine.

Baronówna znów poczuła ów rozkoszny ból w dole brzucha. Dyskretnie zerknęła na pastora, by sprawdzić, czy i on coś czuje, ale odwrócił się i zatopił w gorączkowej rozmowie z jedną ze swych owieczek.

Catherine podejmowała potem liczne próby pozostania z pastorem sam na sam, ale na próżno. Wydawało jej się, że bez mężczyzny dłużej już nie wytrzyma, coraz trudniej było jej zapanować nad żądzami. Niedługo rzucę się na sąsiada, myślała z goryczą. Osiemdziesięcioletniego starca, najpewniej całkiem już wyschniętego.

Catherine miała wkrótce skończyć siedemnaście lat, długo już mieszkała u staruszek. Wiedziała jednak, że wiele się jeszcze może od nich nauczyć, poza tym jej potrzebowały, więc została.

Przez te lata chłonęła wiedzę tajemną. Dowiedziała się, jak leczyć gorączkę połogową łyżeczką spalonej niedźwiedziej żółci rozpuszczonej w wódce, jak skłonić do miłości dziewczynę. Potrzebne było do tego zaklęcie, którym siostry często musiały się posługiwać, bo niemal co tydzień przybywali o zmierzchu chorzy z miłości młodzieńcy z prośbą o pomoc. Aby rozpalić dziewczęce żądze, należało wyrwać pióro z czubka koguciego ogona, w chwili gdy pokrywał kurę. Pióro nie mogło upaść na ziemię, trzeba je było nosić przy sobie w absolutnej tajemnicy do chwili spotkania z ukochaną. Dziewczyna połaskotana piórem w usta natychmiast nabierała ochoty na mężczyznę.

Catherine, szlachciance, od samego początku spodobała się metoda króla Fryderyka I przeciwko padaczce. Sposób ten znany był od roku 1447, nauczyła się go na pamięć: Odciąć tuż nad oczami kość czołową powieszzonego lub łamanego kołem mężczyzny, zanim jego ciało zgnije na szubienicy lub na kole. Prażyć kość na niedużym ogniu, a następnie zmiażdżyć i dodać trzy zmielone nasiona peonii. Do jednej piątej masy wlać trzy łyżki wody lawendowej i starannie wymieszać. Podawać choremu na czczo przez trzy kolejne poranki. Chory musi następnie wystrzegać się niebezpiecznych mostów, nie może się też wspinać za wysoko. Środka nie należy aplikować, kiedy słońce stoi w znaku Barana.

Dobrze wiedzieć, pomyślała Catherine. Maja i Kaja często stosowały tę kurację.

Chcąc zemścić się na kimś, należało zebrać odchody wroga, najświeższe jak tylko się dało, do woreczka i powiesić je w dymie nad ogniem. Wróg z każdym dniem tracić będzie siły, aż w końcu ogarnie go całkowita niemoc. Gdy jednak nie pragnęło się śmierci nieprzyjaciela, można było zatrzymać ten proces, wrzucając woreczek do bieżącej wody.

Tych rad Catherine nigdy nie wypróbowała.

Aby uzyskać odpowiedź na pytanie, kto umrze przed upływem roku, wystarczyło spojrzeć w okno izby, w której zebrało się sporo osób. Gdy na odbiciu jakaś postać pozbawiona była głowy, oznaczało to, że właśnie ta osoba pożegna się z ży-

ciem. Catherine nie wierzyła w tę metodę. Sprawdziła ją, patrzyła w okno sąsiada podczas wielkiej świątecznej uczty i wszyscy biesiadnicy mieli głowy na swoim miejscu, a mimo to w ciągu roku dwoje z nich zmarło.

Faktem jednak było, że Catherine nie urodziła się prawdziwą czarownicą i w tym tkwił cały problem.

Naznaczony wiekiem kot przeniósł się w końcu do kociego raj, gdzie zapewne miał pod dostatkiem myszy i szczurów. Maja chciała wziąć nowego kota, lecz Catherine odradzała. Siostry były za stare.

Najczęściej zdarzało się, że kurowały zwierzęta, i w tej dziedzinie Catherine stała się prawdziwym ekspertem, zwłaszcza po tym, jak zmuszona była przejąć obowiązki po siostrach. Uzupelniała nawet zapasy środków leczniczych o krew z kurczęcia-kogucika, dobrą na osłabienie, o węże, o sadło z młodego knura, kamienie przynoszące ulgę w bólach porodowych, setki rozmaitych ziół. No i oczywiście studiowała wszystkie czarnoksiężskie formuły w tajemnej „książeczce do nabożeństwa”, jak przy ludziach nazywały ją siostry.

Catherine zaczynała naprawdę dobrze sobie radzić, niestety, nie potrafiła się wyleczyć ze spalającej ją żądz.

Cały kłopot tkwił w tym, że musiała znaleźć kandydata odpowiedniego do swego stanu. Nie miała w kim wybierać, padło więc na pastora. W okolicy brakowało szlachty, a pójdzie do łóżka z mężczyzną niskiego rodu, a za takich uważała wszystkich mieszkańców parafii, zdecydowanie ubliżało jej godności. Szlachta, duchowieństwo, mieszczenie i chłopci, tak wyglądała hierarchia, a tutaj w okolicy żyli sami tylko wieśniacy. Owszem, był jeszcze wójt, ale stary i nudny, nie dało się go nazwać interesującym mężczyzną.

Co prawda dwaj młodzi, dość przystojni chłopcy kręcili się wokół chaty, lecz Catherine okazała stanowczość. Nie zamierzała plugawić swego szlachectwa.

Nie mogła wszak spoufalać się z pospólstwem, ludźmi, do których zawsze odnosiła się z pogardliwą arogancją.

Wszyscy, rzecz jasna, wiedzieli, że jest baronówną. Nikomu nie pozwalała zwracać się do siebie inaczej niż „wielmożna pani”. Ale ludzie z wioski z durną przyjęli do swego kręgu biedną sierotkę, którą zajęły się dobre siostrzyczki.

Śmierć Mai nastąpiła całkiem nieoczekiwanie. Kaja, dotknięta ciężką sklerozą, niczego nie pojmowała, więc pogrzebem zajęła się młoda Catherine.

Musiała zwrócić się do księdza. Nie widziała go już od dłuższego czasu, a jej ciało wciąż trawił ogień. W głębi ducha miała nadzieję, że pastrowej nie zastanie w domu. . .

Niestety, pastrowa była w domu, choć w miejscu dość niecodziennym. Służba miała wychodne, gdyż był to akurat wieczór świętojański, i pani musiała sama iść po wodę. Nieprzywykła do takich zajęć, wpuściła wiadro do studni. Catherine

na plebanii zobaczyła tylko przystojnego pastora, pochylonego nad cembrowiną na dziedzińcu. Wołał w głąb:

— Wszystko w porządku, moja droga?

Catherine od razu podbiegła do studni.

— Co się stało?

Pastor natychmiast odwrócił się do niej z wyjaśnieniami. Jego droga małżonka musiała spuścić się na dno po wiadro, bo on sam jest zbyt szeroki w ramionach.

— Ona przecież ma równie szeroki tyłek — stwierdziła Catherine złośliwie, bo nie cierpiała pastorowej. Z wzajemnością.

Z dołu dobiegł krzyk:

— Julius! Trzymaj linę napiętą! Już niedługo dosięgnę! Pastor znów pochylił się nad studnią.

-Woda jest płytka — oznajmił Catherine. — Ale szyb sam w sobie jest głęboki.

Widok mężczyzny w długiej czarnej sutannie to dla dziewczyny było już za wiele.

— Ojczy, zbyt mocno się wychylacie — stwierdziła zdyszana. — Proszę, pozwólcie mi się przytrzymać!

— Dziękuję, droga panno baronówno, naprawdę byłoby to pomocą!

Catherine otoczyła pastora ramionami w pasie, zamknęła go w uścisku. Od bliskości jego ciała zakręciło jej się w głowie. Trochę niżej, o, gdybym mogła przesunąć ręce trochę niżej. Mocno przycisnęła się do niego. Och, wsunąć dłoń pod sutannę... Poczucie...

Na to jednak zabrakło jej śmiałości, chociaż ciało ogarnął nieznośny żar.

— Może lepiej będzie, jeśli ja przytrzymam linę, a wy przytrzymacie mnie, ojczy — mówiła z wysiłkiem. Policzki jej płonęły.

— Może i tak — odparł pastor, podając jej napięty sznur.

Puszczę teraz tę babę, pomyślała Catherine. Niech spada!

Pastor mocno objął jej smukłą talię.

— Czy jaśnie panienska da radę? — spytał.

— Oczywiście!

Podnieś mi spódnicę, rozkazywała Catherine w duchu. Ostrożnie zakręciła tyłeczkiem.

Pastor jęknął, dotarło do niego, co może się wydarzyć. Przerażony cofnął się nieco.

— Trzymajcie mnie mocniej! — jęknęła Catherine. — Inaczej wypuszczę linę!

Znów przysunął się do niej i tym razem nie było już żadnych wątpliwości. Catherine celowo wybrała się z domu bez bielizny, wyraźnie więc czuła, że pastor znalazł się w naprawdę kłopotliwej sytuacji, zwłaszcza że miał na sobie tylko sutannę. Wydawał z siebie dziwne, zduszone dźwięki i raz po raz powtarzał słowa modlitwy: „I nie wódź nas na pokuszenie”.

Już nie obejmował jej tak mocno. Najwidoczniej nie będąc w stanie myśleć jasno, jedną ręką sięgnął pod suknię. Catherine zachęciła go, jeszcze bardziej się wypinając.

— Julius! — dobiegł z dołu krzyk, echem odbijający się od ściany studni. — Kto trzyma linę?

— O, dobry Boże, w którąż to stronę zwróciły się moje myśli? — mruknął pastor pod nosem. — Odszedłem na chwilę po kij! — zawołał do żony. — Baronówna była tak łaskawa i w tym czasie przytrzymała linę.

Sutanna jakoś dziwnie mu się wybrzuszyła.

— Co ona tu robi? — pytał wściekły głos.

Catherine przechyliła się nad cembrowiną. Miała wielką ochotę splunąć w dół, ale jakoś się powstrzymała.

— Maja nie żyje! — zawołała. — Przyszłam prosić o pomoc w pogrzebie.

— Dawno już tu panna jest?

— Dopiero przyszłam — odpowiedziała Catherine. Jeśli pastor mógł skłamać, to jej także było wolno.

Czuła, że dłużej już nie może czekać, rozczarowanie wprawiało ją w irytację. Puść linę i zostaw babę na dole, miała już na końcu języka, ale przecież nie wypadało tak mówić.

— Ach, mój Boże, Margrete umarła? — jęknął pastor. — Oczywiście służę wszelką pomocą w związku z pogrzebem.

Catherine miała nadzieję na chwilę wspólnych uciech przy okazji przygotowań do pochówku Mai, lecz pastorkowa pilnowała ich jak cerber. Spoglądała na baronównę wzrokiem bazyliuszka, a Catherine nic nie mogła zrobić, zdawała sobie bowiem sprawę, że jej pozycja w parafii wisi na włosku. Przyszła czarownica może mieć wielu wrogów.

Z czarami także sprawy miały się nie najlepiej. Brakowało jej iskry, owego wrodzonego talentu i wyczucia. Zaczęła popełniać paskudne błędy, sprzedawała leki, które nie działały albo wręcz szkodziły. Kaja nie była w stanie w żaden sposób jej pomóc. Catherine w końcu rozgniewała się na nią i zaaplikowała starej damie odpowiednią dawkę środka nasennego, by zasnęła snem wiecznym.

Baronówna wiedziała, że siostry pragnęły, aby wszystko po nich odziedziczyła, ale po śmierci Kai zjawili się krewni staruszek, którzy do tej pory nie dawali o sobie znać. Po pogrzebie rozpętała się straszliwa awantura, krewniacy bili się między sobą i wyklinali Catherine.

Wzięła więc pod pachę „książeczkę do nabożeństwa”, czarnoksięskie środki i gotówkę, którą Maja i Kaja zgromadziły dla niej, zapakowała to w węzełek i odeszła. Krewniacy zorientowali się, że jej nie ma, kiedy już było za późno.

Rozdział 3

Baronówna, teraz osiemnastolatka, z początku osiadła w Christianii. Zamieszkała w „Pensjonacie dla Panien z Wyższych Sfer”, prowadzonym przez madame Ledang.

Madame przyjęła baronównę z otwartymi ramionami, zwłaszcza że nowa lokatorka mogła dobrze za siebie zapłacić.

Catherine rozejrzała się po mieście i wkrótce już miała gotowy plan.

Zwierzyła się madame Ledang, że pragnie poświęcić swe życie ubogim chrześcijanom, zadbać o to, by mieli wszystko, czego potrzebują ich ciała i dusze.

Taka niezwykła ofiarność ucieszy Pana Boga, westchnęła madame, zastanawiając się tylko, czy panna ma zamiar ofiarować wszystkie swoje pieniądze na ów szlachetny cel, lecz głośno o to nie spytała. Nie bardzo też wiedziała, co Catherine rozumie przez potrzeby ciała i ducha. A Catherine po długim okresie posuchy zamierzała przede wszystkim zaspokoić potrzeby swego własnego ciała, lecz przez myśl jej nie przeszło, by mogli jej w tym pomóc mężczyźni z biedoty.

Mieszkając w pensjonacie poznawała miasto, nawiązywała kontakty i szukała odpowiedzi na dręczące ją pytania. Dwa miesiące później mogła przeprowadzić się do ładnego, lecz skromnego domku, położonego w lepszej dzielnicy. W tajemnicy już wcześniej zdobyła sobie pozycję uzdrowicielki i nie narzekała na brak klientów. Coraz szerszym strumieniem napływali ludzie prosząc, by uwolniła ich od cierpień albo powróżyła z kart starych dam, tarota lub postawiła kabałę. Miała kryształową kulę, w której nic nie widziała, ale o tym przecież nie musiała nikomu mówić. Dopóki jej wróżby dotyczyły drobiazgów, klienci byli bardzo, ale to bardzo zadowoleni. Zresztą Catherine nie zamierzała zostawać na tyle długo, by się zorientowali, że wróżby się nie sprawdzają.

Jeśli Maja i Kaja potrafiły zgromadzić tyle pieniędzy w małym Romskog, to czegoż ona, Catherine, nie zdoła osiągnąć w Christianii? Za świadczone przez siebie usługi pobierała bardzo wygórowane opłaty. W ten sposób zamykała drogę biedocie, jej klientami zostawali tylko najzamożniejsi.

Gdy w ich gronie znaleźli się młodzi, bogaci mężczyźni z wyższych warstw społecznych, rozszerzyła swe usługi o masaż. W końcu skupiła wokół siebie nie-

wielką grupę sześciu wybranych młodzieńców, z których każdy przychodził raz w tygodniu w określonym dniu, nic nie wiedząc o pozostałych. Bardzo dobrze płacili. Nieodmiennie oczekiwali, że masaż zakończy się w określony sposób, a Catherine wcale nie była temu niechętna. Młodzieńcy nie zdawali sobie sprawy, że to raczej oni pomagają jej niż ona im.

Był to dla baronówny wspaniały okres. Niestety trwał nie dłużej niż rok, bo wójt zaczął się interesować jej okultystyczną działalnością. O masażu nic nie wiedział.

Catherine zarobiła już wówczas tyle pieniędzy, że bez żalu mogła zamknąć swój zakład. Postanowiła uciec z miasta, zanim władze przyjrzą się jej uważniej.

Tym razem zdecydowała się na powrót do rodzinnego domu. Liczyła, że zapomniano już o jej dziecinny wybryku w parkowym labiryncie.

Był to powrót w wielkim stylu. Zajechała eleganckim powozem — przynajmniej tak wyglądał, wytwornie ubrana, z wielkim bagażem. Przyjęto ją okrzykami zachwytu i zdziwienia jednocześnie, płaczem i wyzwiskami. Niedobra dziewczyna, gdzie się podziewała przez tyle czasu, dlaczego uciekła od kochanej krewnej? Gdzie zdobyła całe to bogactwo?

Catherine natychmiast skomponowała łązawą historię o złej ciotce, która codziennie ją biła. Mogła fantazjować do woli, bo dowiedziała się, że ciotka niedawno zmarła. Opowiedziała o dwóch starych damach, które się nią zajęły, a po ich śmierci odziedziczyła cały majątek.

Resztę, rzecz jasna, przemilczała.

Zdołała obrócić wszystko na swoją korzyść. Rodzina przyjęła ją w miarę życzliwie i Catherine znów zamieszkała w swym dawnym panieńskim pokoiku.

Po dwóch latach nienagannego, cnotliwego życia w domu zatęskniła za mężczyzną. Rozglądała się za odpowiednim kawalerem, dlatego propozycja rodziców, którzy pragnęli ją wydać za młodego szlachcica, od czasu do czasu przybywającego z wizytą na dwór, trafiła na podatny grunt.

Z początku Catherine protestowała.

— Ależ przecież on jest z prostej szlachty. Nie mogę poślubić kogoś, kto nie jest mi równy stanem!

— W tym zapomnianym przez Boga kraju arystokraci nie rodzą się na kamieniu, dobrze o tym wiesz — ostro upomniał ją ojciec. — Chłopak pochodzi z dobrej, zamożnej rodziny, jest oficerem.

Ale to taki nudziarz, pomyślała Catherine.

No cóż, w końcu go zaakceptowała. Miała już szczerze dość samotnego zaspokajania się w tajemnicy. Żeby urozmaicić sobie monotonne życie na dworze, zaczęła sporo pić i sama potraktowała to jako sygnał ostrzegawczy. Ani słowem też nie śmiała wspomnieć, co zawierają jej zamknięte na trzy spusty skrzynie. Te praktyki musiała już od dawna zarzucić.

Wybrała mniejsze zło. Może w małżeństwie będzie zabawniej, zwłaszcza gdy męża powołają do służby wojskowej?

Jej nocy poślubnej nie warto wspominać. Pan młody okazał się nietknięty i Catherine musiała wprowadzać go w arkana miłości. Uczyniła to tak sprytnie, że nigdy się nie zorientował, jak doświadczoną wybrał sobie żonę.

Był doprawdy wielkim głupcem.

I kompletnie pozbawionym fantazji. Nie potrafił czerpać radości z ich małżeńskiego pożycia. On był mężem, panem i władcą, a ona jego uległą żoną. Nie chciał słyszeć o żadnych erotycznych igraszkach.

Rodzina zaczęła dopominać się o dziecko, ale Catherine dobrze wiedziała, jak uchronić się przed ciążą, a że nie odezwał się w niej instynkt macierzyński, czas płynął, potomek zaś się nie pojawiał.

Mąż także nie wyruszył na żadną wojnę i Catherine miała już dość jego siedzenia w domu. Od czasu do czasu co prawda wybierał się do kasyna, lecz o swobodzie musiała zapomnieć.

Zdesperowana zaczęła się rozglądać za innymi mężczyznami. Najpierw jednak spróbowała domieszać mężowi do jedzenia afrodyzjaki, by wzbudzić w nim większą ochotę do zabaw. Niestety nie podziałały.

Stopniowo zaczęła spuszczać z tonu. Na jej jednoznaczne propozycje narażeni byli właściwie wszyscy mężczyźni, którzy przypadkiem znaleźli się na jej drodze. Niektórzy obawiali się romansu z damą tak wysokiego rodu, inni mieli mniej skrupułów.

Catherine wypuszczała się również na inne, niebezpieczne obszary. Wyleczyła swą szwagierkę z reumatyzmu, nacierając ją solą i odmawiając zaklęcie:

„Maryja Dziewica na kamieniu była
Maryja Dziewica osełkę zrobiła
Oto słowo Boże. Amen.”

Szwagierka, wstrząśnięta, nie zachowała jej poczynań w tajemnicy.

Pewnego dnia młody oficer przyłapał żonę *in flagranti* z kolegą z wojska w ogrodzie różanym. To była kropla, która przepełniła dzban. Usłyszał damski chichot i śmiejący się męski głos, zobaczył nogi Catherine wywijające w powietrzu, rozpoznał kwiecistą suknię żony i mundurowe spodnie przyjaciela, zawieszane na krzewie róży.

Wybuchł ogromny skandal, oficer został skompromitowany, a Catherine musiała opuścić dom.

Uczyniła to z wielką chęcią. Wyjechała, zabrawszy wszystkie swoje rzeczy i pieniądze, o których mąż nigdy się nie dowiedział.

Nikt, ani w jego domu, ani w jej rodzinie nie pytał, dokąd jedzie. W jednej chwili stała się *persona non grata*, niepoprawną grzesznicą, do której nie chiano

się przyznać. Rodzice Catherine mieli liczne potomstwo, od dzieciństwa pozostawiane pod opieką nianiek i tylko od czasu do czasu pokazywane gościom; między młodą baronówną a jej ojcem i matką nie istniał żaden cieplejszy związek. W dodatku okryła hańbą ich nazwisko i to nie raz, a co najmniej trzykrotnie.

Osiadła w Krokkleiva. Wieści o jej małym, ukrytym w głębi lasu domku prędko rozniosły się po okolicy, nie tylko najbliższej. Ludzie przekazywali sobie wiadomość o damie wysokiego rodu, baronównie, która uprawia czarną magię, uzdrowia ludzi i bydło, wróży z kart i kryształowej kuli, a nawet z ręki, jeśli tego zażądano. Była ogromnie interesującą osobą. Od tych, którzy mieli pieniądze, pobierała spore sumy, inni mogli płacić w naturze.

To ostatnie określenie, zapłata w naturze, budziło wesołość w okolicznych domostwach. Szeptano, że przystojni albo bogaci chłopcy z lepszych rodzin musieli płacić za usługę w dość szczególny sposób. Mimo wszystko jednak w tych stronach akceptowano baronównę taką, jaką była. Żaden nadgorliwy przedstawiciel władz nie próbował jej przyłapać ani na czarach, ani na nieprzystojnym zachowaniu.

Jej sława rozniosła się szeroko. Przybywali ludzie z Christianii i innych miast, ze wsi i miasteczek, bo osoby takie jak Catherine, zainteresowane magią i okultyzmem, znające drogi do wyzdrowienia i szczęśliwej przyszłości, zawsze są popularne.

Tak oto wyglądało życie czarownicy, kiedy Tiril, Erling i Móri wraz z Nerem przybyli do Sundvolden i postawili jej świat na głowie.

Postanowiła uwieść obu mężczyzn, i to jak najprędzej. Erling był przystojny i bogaty, Móri tajemniczy, jakby nie z tego świata, piękny i ogromnie pociągający.

Catherine, znająca się na uwodzicielskich sztuczkach, wyznaczyła sobie jeden dzień na podbicie serca Erlinga, tydzień — na Móriego.

Świat znów stał się piękny i fascynujący.

Rozpustna, ekscentryczna, trochę przepita baronówna doznała tego dnia wielu wstrząsów.

Po pierwsze musiała przyznać, że niepozorna Tiril wcale nie jest taka niepozorna.

Irytowało ją to, owszem, lecz nie doprowadzało do ostateczności.

Dziewczynę ścigało dwóch tajemniczych mężczyzn.

Catherine ostrzegła troje przyjaciół przed planującymi atak złoczyńcami, to podnosiło jej prestiż. Zabrała ich do swego domku, ukrytego w głębi lasu.

Tam doznała kolejnego szoku. Nic jej nie przyszło z chwalenia się przed nimi umiejętnościami czarnoksiężskimi. Przy niezwykłym Mórim, Aniele śmierci, jasne się stawało, że jest tylko żalostną amatorką. Zaniemówiła, widząc, ile on potrafi. Był prawdziwym czarnoksiężnikiem! Catherine do tej pory sądziła, że tacy jak on

istnieli tylko w gotyckich opowieściach albo żyli w średniowiecznej Francji.

Z tym większym zapałem starała się go uwieść. Jakież odniesie triumf! Drażniło ją, że Móri wcale się nią nie interesuje, jakby erotyka w ogóle go nie obchodziła. Ona jednak gotowa była przysiąc, że choć nie ujawniał zainteresowania zmysłowymi przyjemnościami, to tkwiło w nim wiele żaru i namiętności.

Móriego w jej małym, eleganckim domku interesowało zupełnie coś innego...

Rozglądał się po pokoju.

— Co się stało? — spytała Tiril, ta niemądra dziewczucha, która miała tyle szczęścia, że znała swych towarzyszy o wiele lepiej niż Catherine. Ale tę trójkę łączyła tylko przyjaźń, mężczyźni miłością obdarzą tylko ją, baronównę, już ona się o to postara.

Móri powoli odwracał głowę na wszystkie strony.

— Nie wiem — odpad wreszcie. — Coś tutaj jest nie tak, jak być powinno...

— Ze mną? — pospiesznie spytała Catherine.

— Nie.

Zwrócił się wprost do niej.

— To nieznana siła. Czy kiedykolwiek ściągnęłaś tutaj jakąś moc?

Catherine straciła co nieco pewności siebie.

— Hm, no tak... — Nie wiedziała, co mówić. — Kiedy stosuje się, powiedzmy, nietradycyjne metody leczenia, można się zetknąć z różnymi dziwnymi zjawiskami. Uważam, że raczej tobie towarzyszy coś mistycznego. Cała gromada...

— Nie, to zupełnie co innego. Czy nigdy nie wyczułaś czegoś w nocy? Nie miałaś wrażenia, że ktoś jeszcze tu jest?

— Wolałabym mieć towarzystwo — zachichotała. — Niestety, musiałam spać sama.

Było to z jej strony zaproszenie, lecz on je zignorował.

— Czy to coś ważnego? — spytała, czując, że ogarnia ją coraz większa niepewność wobec tego człowieka.

— Nie wiem — powtórzył, ale odprężył się.

Ta rozmowa pozostawiła na niej nieprzyjemne wrażenie.

Potem nadeszła chwila niespodziewanego triumfu. Mogła pomóc trojgu przyjaciółom odnaleźć w Christianii poszukiwaną akuszerkę. Tym samym trafiła jej się okazja w wyjeździe do stolicy, wytęsknione oderwanie się od monotonnego życia na wsi.

Postarała się, by do samego miasta jechać pomiędzy Erlingiem a Mórim. Niewygodnej dziewczyny i jej psa pozbyła się, zamykając ich w powozie. Chciała zagarnąć mężczyzn tylko dla siebie, a po to, by zrealizować wyznaczony plan — wciągnąć Erlinga do łóżka po upływie jednego dnia, a Móriego w czasie nie dłuższym niż tydzień — musiała wykorzystać absolutnie każdą chwilę.

Nagle Móri znów ją przeraził. Ni stąd, ni zowąd oświadczył:

— Masz coś przy sobie.

— Och, oczywiście, że mam. Nigdy nie rozstaję się z moim węzełkiem czarownicy. O co ci chodzi?

— To ta moc. Bardzo mi się ona nie podoba.

— Zła moc? — spytała wbrew swej woli.

— Tak — odparł cicho. — To właściwe określenie.

Catherine westchnęła zirytowana. Co tam złe moce! Skupiła się na zaprezentowaniu swych wdzięków mężczyznom. Pokazywała, co potrafi. Popisywała się swą inteligencją, talentem, umiejętnością flirtowania, uwodzicielskim czarem. W odpowiednim momencie podciągnęła spódnicę nad kolana, delikatnie dotykała męskich dłoni, zwracając się ze swych drobnych sekretów, schlebiała im, starała się ich ze sobą skłócić...

Krótko mówiąc, przechodziła samą siebie. Czuła rozkoszne ciepło bijące od siodła, ocierała się o nie, bliska spełnienia, lecz w porę się opamiętała. Najbardziej w tej chwili pragnęła Móriego, lecz zrozumiała, że to jej się nie uda. Natomiast Erling...

Doskonały na przystawkę. Naprawdę doskonały! Żaden z nich, co prawda, nie wywodził się ze szlacheckiego rodu, lecz dawno już musiała obniżyć loty. Erling był ze wszech miar odpowiednią partią.

A Móri, bardziej dostojny niż wszyscy hrabiowie i baronowie świata razem wzięci, to czarnoksiężnik. Zainteresowana mistyką, Catherine wyżej już nie mogła zajść. Nie umiała tylko pozbyć się uczucia, że coś kroczy za nim ślad w ślad.

Była teraz wdową. Mąż od początku ciążył jej niczym kula u nogi, wysłała mu więc pudełko odpowiednio spreparowanych ciastek. Zmarł cicho i spokojnie, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Ciastek było tak niewiele, że nikomu innemu nie wpadły w ręce. Catherine dobrze знаła łakomstwo swego męża, wiedziała, że z nikim nie podzieli się smakołykiem.

Teraz więc była wolna, mogła zadawać się, z kim tylko chciała.

W Christianii czekał ją kolejny wstrząs: akuszerka głęboko skłoniła się przed Tiril i nazwała ją „waszą wysokością”! Catherine była bliska omdlenia. Wysokość? Wszak to tytuł zarezerwowany dla królów, książąt i ich najbliższych!

Na tym kończył się poprzedni tom Sagi o Czarnoksiężniku. W saloniku starej akuszerki, w którym ledwie znalazło się dość miejsca dla gospodyni, Tiril, Catherine, Erlinga Müllera, Móriego i wielkiego czarnego psa, Nera, Tiril nareszcie miała dowiedzieć się czegoś o swoim prawdziwym pochodzeniu.

Catherine z każdą chwilą ogarniała coraz większa złość. Sama czuła, że ma minę kwaśną jak cytryna. Przywykła do tego, że jest najważniejszą osobą, damą wysokiego rodu, przed którą wszyscy chylili czoła.

Czyżby teraz miała stać niżej niż ta Panna Zero? Czyżby miała kłaniać się

Tiril?

Za nic na świecie!

No cóż, posiadała odpowiednie środki. Jeśli potrafiła wysłać na tamten świat własnego męża, mogła także wyeliminować tę dziewczynę. Catherine pragnęła być najlepsza, chciała też mieć dla siebie obu mężczyzn, którzy chronili tę wstrętą Tiril i najwyraźniej od wieków byli jej adoratorami.

To niesprawiedliwe! Takie nic, na którym nie warto nawet oka zawiesić, miałyby się cieszyć względami dwóch nadzwyczaj godnych pożądania mężczyzn? Ich miejsce było w gromadzie wielbicieli Catherine!

A więc koniec z dziewczyną!

Nagle zadrżała. Miała wrażenie, że jakieś nieznane istoty ostrzegawczo dmuchnęły jej w kark, inaczej nie potrafiła tego określić. A wielki, okropny pies warknął cicho i pokazał Catherine zęby. Jego ślepia zajarzyły się niebezpiecznym, żółtozielonym blaskiem.

Oczy Móriego obserwowały ją spokojnie, jakby zamysłone, lecz patrzyły z przerażającą przenikliwością.

Catherine musiała spuścić wzrok.

Stara akuszerka także unikała spojrzenia Móriego, ale też i atmosfera wokół niego, przywodząca na myśl krainę zimnych cieni, mogła wystraszyć każdego. Trzeba było go dobrze znać i być absolutnie pewnym jego przyjaźni, aby mieć śmiałość patrzeć mu w oczy. Co gorsza jednak, zdaniem starszej kobiety, w saloniku wydawało się tak ciasno, jakby oprócz pięciorga ludzi i psa znajdował się tam ktoś jeszcze.

Rozdział 4

Tiril, kochająca bezgranicznie wszystkich bliźnich, z początku przyjęła Catherine z otwartymi ramionami.

Jakie to wspaniałe, że ich grupka zaprzyjaźniła się z prawdziwą baronówną! Jak miło przedstawić jej dwóch przyjaciół, Erlinga i Móriego, no i ukochanego Nera! Tiril taka była dumna z wszystkich trzech, promieniała radością, prezentując Erlinga, świetną partię, i fascynującego, tajemniczego Móriego. Na pewno zainteresują Catherine!

Wkrótce jednak Tiril posmutniała. Zrozumiała, że baronówna usiłuje wyłączyć ją, Tiril, z ich grona.

Tiril nie przywykła do surowych spojrzeń, wyraźnie mówiących: „Trzymaj się z dala, nie masz prawa do tak przystojnych mężczyzn, jesteś zerem, nie warto na tobie oka zawiesić!” Tak właśnie Tiril odbierała zachowanie Catherine.

Z całych sił starała się dopatrzeć pozytywnych stron tej sytuacji, życzyła nowej znajomej wszystkiego najlepszego, lecz to nie było łatwe. Naprawdę trudno spokojnie obserwować przedsiębiorczą damę jadącą konno przed powozem, między dwoma mężczyznami, poufale poklepującą ich po udach lub przesyłającą pocałunki. Przesłać Móriemu pocałunek? Jak śmiała!

W sercu Tiril zagościło nowe, całkiem nieznane uczucie, zaczęło zżerać ją od środka.

Na razie jeszcze nie potrafiła go nazwać, miała tylko wrażenie, że niedobre myśli zabiły w jej duszy coś pięknego. I może miała rację.

Tiril stała kompletnie oszołomiona. Przenosiła wzrok z jednej osoby na drugą. „Wasza wysokość”? Staruszka nazwała ją „waszą wysokością”!

Szczera uniżoność akuszerki. Zazdrość bijąca z oczu Catherine. Zdumiony, dość niemądry wyraz twarzy Erlinga, który z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że ze zdziwienia aż tak szeroko otworzył usta. . .

Nero warknął cicho w stronę Catherine. A przecież to, bardzo życzliwy ludziom pies!

Zamyślony Móri, smutek w jego oczach. Dlaczego?

— Nic nie rozumiem — poskarżyła się Tiril.

Catherine ostrym tonem zwróciła się do akuszerki:
— Proszę przestać wygadywać głupstwa! Dziewczyna nie jest przecież królewskiego rodu!
— Nie, nie królewskiego, ale prawie.
— Sądzę, że powinniśmy to wyjaśnić — spokojnie powiedział Móri. — Czy możemy usiąść?
— Ocli, oczywiście — odparła staruszka, lecz wyraźnie się zaniepokoiła. — Ale mam obowiązek dochowania tajemnicy.
— Rozumiemy. — Erling wreszcie zdołał dojść do siebie. — Chodzi jednak o życie Tiril. Ściągają ją źli ludzie.
— Tak was dużo. . .
— Móri i ja jesteśmy jej jedynymi przyjaciółmi na świecie. Baronówna natomiast raczej powinna wyjść.
— O, nie! — gwałtownie zaprotestowała Catherine. — Pomogłam wam się tu dostać. I posiadam odpowiednie koneksje, możecie potrzebować mego wsparcia.
Przyjrzeni jej się uważnie. Nie pozwólcie jej zostać, niemo prosiła Tiril. Nie ufam jej. Potrafi być otwarta, wesoła i miła, czasami nawet okazywała mi życzliwość, ale nie można na niej polegać! Pragnie zagarnąć wszystko dla siebie. Niszczy coś we mnie, a ja nie umiem się przed tym bronić!
— Rzeczywiście być może przydadzą nam się twoje kontakty, Catherine — zdecydował w końcu Erling. — Cóż, wobec tego zostaniemy wszyscy.
Akuszerka wciąż się wahała.
— Złamię dane słowo.
— Tu chodzi o życie — powtórzył Móri cicho, ale dobitnie.
Staruszka spojrzała mu w oczy i już nie miała odwrotu.
— Jak sobie chcecie.
Znaleźli miejsca do siedzenia. Gospodyni nerwowo przebierała w palcach frędzle od obrusa. Nero ciężko ułożył się pod stołem.
Kobieta znów westchnęła.
— Czy muszę wymienić nazwiska?
— Owszem — nie ustępował Erling.
Atmosfera w niedużym pokoiku bardzo się zageściła. Troje przyjaciół ścisnęło się na kanapie, pozostałe dwie kobiety przycupnęły na niewygodnych krzesłach.
— Pamiętam tę noc, jakby to było wczoraj — zaczęła opowieść akuszerka. Podświadomie zniżyła głos. — Ktoś zapukał do mego domu. Nieobce mi to, zawsze kładę się do łóżka, gotowa w każdej chwili spieszyc z pomocą rodzącym. Wstałam i lekko uchyliłam drzwi. W wielkim mieście ostrożności nigdy za wiele.
— Rozumiemy — zapewnił ją Erling.
— W progu stała służąca w czarnej sukni z białymi mankietami, kołnierzykiem i fartuszkim. Od razu było widać, że służy u wielkich państwa. Poprosiła, bym natychmiast z nią poszła. Sprawiała wrażenie ogromnie tajemniczej.

Tiril czuła dotyk ramienia i biodra Móriego. Przypomniała sobie, jak bardzo się do siebie zbliżyli poprzedniego wieczoru, i bezwiednie się zarumieniła. Miała wielką ochotę ująć go za rękę, poszukać u niego wsparcia, lecz zabrakło jej śmiałości. Catherine czujnie śledziła jej ruchy, jak opętana pilnowała obu mężczyzn. Zostaw moich chłopców w spokoju, prosiła Tiril w myślach.

Akuszerka, raz po raz spoglądając przez ramię, jak gdyby obawiała się innych jeszcze słuchaczy, podjęła opowieść:

— Zaprowadzono mnie na... na... — zniżyła głos do szeptu — aż na zamek Akershus. Służąca, pewnie wysokiego rodu, powiodła mnie przez korytarze i... Ach, zapomniałam powiedzieć, że przyjechała po mnie karetą! Ze stangretem! Nie wiem dokładnie, w której części Akershus się znalazłam, lecz jasne było, że to odległe boczne skrzydło. Wszystko odbywało się w najgłębszej tajemnicy.

— Rozumiemy. — Erling poruszył się niespokojnie, Tiril wyczuła jego napięcie.

— W wielkim łożu z baldachimem leżała kobieta, poród już się rozpoczął. Biedaczka cierpiała, a wiecie zapewne, że im bardziej wydelikaccona jest matka, tym trudniejsze rozwiązanie.

— Jak ona wyglądała? — ośmieliła się spytać Tiril.

Akuszerka spojrzała na nią uważnie.

— Była podobna do waszej wysokości, tylko nos miała inny, dłuższy, i twarz bardziej pociągłą.

— No tak, Tiril jest przecież dość potężna, mocno zbudowana — natychmiast wtrąciła Catherine i poczuła na sobie niezgłębiony wzrok Móriego. Odniosła wrażenie, że ją karci.

— Niewiele się dowiedziałam — podjęła starowinka. — Przede wszystkim powtarzano mi, że należy dochować tajemnicy. Pokojówka przez cały czas była z nami, pilnowała, by drzwi pozostawały zamknięte. Powiedziała mi, że jej wysokość przybyła tego samego wieczoru. Ponieważ wiedziała, że namiestnik wyjechał, w tajemnicy schroniła się tutaj. Podróż jednak okazała się bardzo męcząca i poród rozpoczął się wcześniej niż oczekiwano. To jednak było tylko zaletą, bo nikt nie zdążył się zorientować, w czym rzecz.

— Ale przecież w Norwegii niewiele jest arystokracji — znów wtrąciła Catherine. — Skąd ona przyjechała?

— Och, czy naprawdę muszę to wyjawić?

— Obawiam się, że tak — życzliwie, ale stanowczo powiedział Erling. — Rozumiem i szanuję pani chęć dochowania tajemnicy, lecz musimy dowiedzieć się czegoś więcej. Błędzimy po omacku, a w tym czasie źli ludzie czyhają na życie naszej kochanej Tiril. Wspomniała pani rozmowę z pokojówką. Czy ona była Norweżką?

— Nie, mówiła z dziwnym duńsko-niemieckim akcentem, ale ją rozumiałam.

— Możemy, więc chyba umieścić rodzącą na mapie — stwierdziła Catherine. — Zgadujemy? Może Holstein-Gottorp? Ale to przecież księstwo! Czy to znaczy, że Tiril jest córką księżny?

— Tak — szepnęła akuszerka. — Jednak nie księżny Holstein-Gottorp. Jej matka poślubiła tamtejszego księcia, lecz on nie mógł spłodzić dzieci, wszyscy o tym wiedzieli. Ona była księżniczką austriacką.

— Która popełniła fatalny błąd — uzupełnił Erling. — Z kim?

— Tego nie wiem.

— No cóż, to właściwie nieistotne — uznał Erling. — Chodzi nam o odnalezienie matki. Ona musi mieć tu w Norwegii zaufaną osobę, wszak przez tyle lat przesyłała pieniądze na utrzymanie Tiril. Pieniądze przekazywano konsulowi Dahlowi, który adoptował dziewczynkę.

— Tak — westchnęła akuszerka. — Ta nieszczęsna kobieta prosiła, bym zabrała dziecko i zatroszczyła się o jego los. Obiecywała dobrze płacić za wychowanie córeczki. Zamierzałam już sama zająć się noworodkiem, lecz wezwano mnie do pani Dahl. Wydała na świat martwe dziecko i postanowiła wziąć panienkę, panno Tiril.

Nie wtajemniczali akuszerki w problemy Tiril z jej przybranymi rodzicami.

— Ach, pamiętam tę nieszczęsną matkę — mówiła dalej stara kobieta. — Płakała rozpaczliwie i mocno tuliła swą nowo narodzoną córeczkę, jakby nigdy nie chciała się z nią rozstać. Nie mogła jednak wrócić z maleństwem do bezpłodnego męża. Chodziły słuchy, że bywał czasami bardzo brutalny.

Austriacka księżniczka? — Tiril w myślach smakowała te słowa.

Wcale się nią nie czuła, ale nie dało się zaprzeczyć, że przeniknął ją dreszczyk emocji.

— Czy pani wie, gdzie teraz przebywa matka Tiril? — pytał Erling. — Czy wciąż jest w Holsteinie-Gottorpie? Czy też wróciła do Austrii?

— Nigdy więcej nie miałam już od nich żadnych wiadomości. Nikt też nie dowiedział się o mojej bytności na Akershus. Odwieziono mnie do domu. Cały czas trzymałam dziecko w ramionach i zastanawiałam się, jak zdołam je wykarmić, potrzebowało wszak mleka matki. Pani Dahl zjawiała się, jakby ją niebiosy zesłały.

— Czy ostatnio nikt pani nie szukał? — ostrożnie dowiadywał się Móri. — Dwaj mężczyźni?

— Nie. Dawno już przestałam wykonywać swój zawód.

— Ale my zdołaliśmy panią odnaleźć — zauważył Móri.

— Chwileczkę... — zastanowiła się akuszerka. — Chwileczkę, coś mi przychodzi na myśl! Była tu kiedyś moja siostrzenica, podczas gdy ja wybrałam się w odwiedziny do brata. Mówiła, że ktoś o mnie pytał. Chciał wiedzieć, czy... Że też mogłam o tym zapomnieć! Zrozumcie, wszystko, co wydarzyło się przed laty, stoi mi przed oczami jak żywe. Ale niedawne wydarzenia giną w pamięci.

Typowa oznaka starości, pomyśleli.

— Ten człowiek dopytywał się, czy nie pomogłam kiedyś przy porodzie jakiejś wysoko urodzonej kobiecie, wielkiej pani. Moja siostrzenica jednak nie wiedziała nic o tamtej nocy na Akershus, roześmiała się więc tylko mówiąc, że ja zajmuję się ubogimi rodzącymi, mieszkankami ruder w Vika. „Bogaci mają własne położne, powiedziała. Z pewnością nie tutaj szukają pomocy!”

— Ma pani niezwykle roztropną siostrzenicę. — Erling z uznaniem pokiwał głową. — Proszę ją pozdrowić i powtórzyć jej moje słowa. Pozostaje jeszcze pytanie: skąd księżna mogła wiedzieć, gdzie przekazywać pieniądze? Jak dowiedziała się o rodzinie Dahlów?

— Napisałam list na Akershus, adresując go do pokojówki, której nazwisko mi wyjawiono. Otrzymałam odpowiedź z niezwykle piękną pieczęcią. Jej wysokość informowała, że przyjmuje propozycję, podziękowała i obiecała, że kwota na utrzymanie dziecka będzie regularnie przekazywana przez pewnego Norwega.

— Aha, zaczyna się więc rozjaśniać — ucieszył się Erling. — Księżna dotrzymała obietnicy. Nie jej winą było, że konsul okazał się chciwy i pokusił się o szantaż.

— Wątpię, by miała coś wspólnego z napadem na Dahlów — wtrącił Móri. — Ale skąd wziął się ten lichwiarz, typ spod ciemnej gwiazdy? Przecież on musiał sporo wiedzieć na temat pochodzenia Tiril.

— Przypuszczam, że mój przybrany ojciec pewnego razu, wypiwszy za dużo, dał się pociągnąć za język — stwierdziła Tiril. — Często się zdarzało, że po kilku kieliszkach mówił o sprawach, o których nie powinien w ogóle wspominać.

— To znaczy, że zaufanym człowiekiem w Norwegii nie był lichwiarz?

— Nie, to niemożliwe. Konsul zwracał się przecież do osoby, która łożyła na moje utrzymanie, czy też do wybranego przez nią pośrednika. Właśnie po to, by móc spłacić dług zaciągnięty u lichwiarza.

— No tak, masz rację. To znaczy, że jeszcze ktoś jest w to zamieszany.

— Chyba że to ci dwaj złoczyńcy — podsunął Erling.

— O, nie, oni mają za mało oleju w głowie, są tylko ślepymi narzędziami w czyimś ręku. Moja prawdziwa matka nie skorzystałaby z pośrednictwa żadnego z nich.

— To prawda. — Erling pokiwał głową i znów zwrócił się do akuszerki. — Ten list z pieczęcią... Czy przypadkiem nie przechowała go pani?

— Owszem, schowałam go. Pomyślałam sobie, wasza wysokość — zwróciła się do Tiril — że być może kiedyś jeszcze się przyda. No i był taki piękny. Starannie go ukryłam.

Catherine uznała, że Tiril poświęcono już stanowczo zbyt wiele uwagi. Zaprottestowała ostro:

— Nie uchodzi nazywać bękarta „waszą wysokością”!

— Przecież ona jest córką księżny! — sprzeciwiła się urażona akuszerka.

— Tytuł matki nie ma żadnego znaczenia. Istotny jest tytuł ojca, a on przecież mógł być najzwyczajszym kominiarzem!

— Ależ nie! Pokojówka szepnęła mi w sekrecie, że to bardzo wysoko postawiona osoba.

— I tak się to nie liczy. Jeśli ojciec nie uzna dziecka, bękart nie ma prawa do żadnego tytułu. A ojciec tej dziewczyny nawet nie wie o jej istnieniu!

— Nie bądź małostkowa, Catherine — łagodnie upomniał ją Erling. — A może nie chcesz, by ktoś górował nad tobą urodzeniem?

— Cóż znowu za głupstwa! — zachnęła się Catherine, ale Erling trafił w najczulszy punkt. — Zważam na to, co mówię, i noszę swój tytuł z godnością. . .

Z oczu mężczyzn wyczytała, że mają co do tego swoje wątpliwości. Wprawiło ją to w gniew. Urażona już miała ich opuścić i zostawić na pastwę losu, kiedy Móri zapytał spokojnie:

— Czy możemy obejrzeć ten list z pieczęcią?

Ciekawość Catherine zwyciężyła. Prędej czy później i tak pokona Tiril. Odbierze jej obu kawalerów bez najmniejszego trudu!

Akuszerka przyniosła z sąsiedniego pokoju pożółkły list. Widniała na nim złamana pieczęć.

Treść listu odpowiadała temu, co wcześniej powiedziała im staruszka. Ich jednak bardziej interesował podpis, a zwłaszcza pieczęć.

Pod duńskim czy niemieckim nazwiskiem pokojówki, które nic im nie powiedziało, dopisano mieszanką duńskiego i niemieckiego: *Kammerjungfrau bej Jej Wysokość Księżna Gottorp*.

Nazwiska księżnej nie było. Ale pieczęć. . . ?

Jeszcze raz z pomocą przyszła im Catherine.

— Pokażcie mi.

Wystarczył jej jeden rzut oka.

— Dwugłowy orzeł należy do Habsburgów — orzekła natychmiast. — Do arcyksiążąt Austrii, z koligacjami cesarskimi.

— Mój ty świecie! — jęknął Erling.

Catherine targaty mieszane uczucia. Czy zabłysnąć wiedzą i zdradzić, z jak wysokiego rodu wywodziła się ta przeklęta Tiril, czy też nie powinna nic ujawniać? Może wtedy dziewczucha przestanie ich interesować?

Pierwsza myśl jednak zwyciężyła. W Catherine tkwiło także sporo dobra, choć niestety z trudem dawało się je zauważyć.

— Zgaduję, Tiril, że twoja matka była jedną z wielu córek cesarza Leopolda Pierwszego. Niektóre z nich zmarły, inne powydawano za męż. Jeśli się nie mylę, to była siostrą zarówno cesarza Józefa Pierwszego, jak i obecnego cesarza Karola Szóstego. Brak mi jednak pewności, bo w rodzie Habsburgów jest wiele odgałęzień. Możesz wywodzić się ze znacznie niższego rodu.

— Doprawdy, mam taką nadzieję — westchnęła Tiril słabym głosem. — Nie poczuwam się do cesarstwa.

— I wcale nie wyglądasz na osobę tak wysokiego rodu. — Catherine nie mogła powstrzymać się od złośliwego komentarza.

Przy każdej wzmiance na temat rodu cesarskiego akuszerka gięła się w ukłonach przed Tiril. Nagle skamieniała przerażona.

— Ach, całkiem o tym zapomniałam! Wasza matka, szlachetna jej wysokość cesarzowa, dała mi paczuszkę, którą wasza wysokość miała otrzymać, kiedy dorosnie, na pamiątkę po matce. Niestety, gdy pani Dahl zaopiekowała się waszą wysokością, zapomniałam o podarunku, a później Dahlowie zniknęli z Christia-nii, nie wiedziałam, dokąd się wyprowadzili. Przez wiele lat gnębiły mnie wyrzuty sumienia. Nie śmiałam zaglądać do szuflady, do której schowałam paczkę, tak bardzo było mi przykro, że nie dotrzymałam słowa.

Erling pocieszył starowinkę:

— Stało się chyba najlepiej jak mogło, bo konsul Dahl z pewnością i tak sprzeniewierzyłby podarek.

— Dziękuję za te miłe słowa, ale... Czy można uznać, że jej wysokość jest dorosła?

— Oczywiście! Tiril powinna już otrzymać pamiątkę po matce. O ile, rzecz jasna, wciąż ją pani ma.

— Ależ tak! Ach, jak bardzo się cieszę!

Pospieszyła do bocznej izdebki, skąd przyniosła nieduże zawiniątko. W spłó-wiały aksamit zapakowano kilka przedmiotów.

Tiril spojrzała na nią pytająco.

— Czy mam to teraz otworzyć?

Ponaglali ją, podnieceni.

Zaciekawiona jak dziecko, ale i nie bez strachu, Tiril rozwinęła aksamit.

— Och! — westchnęła Catherine.

Tiril trzymała w dłoniach kunsztowny naszyjnik z szafirów.

— Masz do niego za krótką szyję — zaopiniowała Catherine. — Daj mi przy-mierzyć, zobaczymy, jak się prezentuje.

Tiril posłusznie podała jej klejnot. Erling trochę protestował, lecz Catherine już wkładała szafiry. Przy jej jasnych włosach i smukłej łabędziej szyi prezentowa-ły się iście królewsko.

— A teraz już go zdejmij. — Erling nie tracił czasu na zachwyty.

— Oczywiście — z żalem mruknęła Catherine.

— Masz tam coś jeszcze — odpowiedział Tiril Erling, wskazując na zawi-niątko.

Matka Tiril najwidoczniej owego pamiętnego wieczoru nosiła szafirowy na-szyjnik i wiedziona nagłym odruchem zapakowała go w kawałek aksamitu. Drugi podarunek leżał oddzielnie, w niedużej, pięknie haftowanej sakiewce.

— Pieniądze? — zastanawiała się Catherine.

— Niece. — Tiril z wahaniem obmacywała woreczek W końcu podała go Móriemu. — Taka jestem zdenerwowana. Ty go otwórz!

Móri wziął sakiewkę i zaraz wypuścił ją z rąk z sykiem, jakby się sparzył.

— Co się stało, Móri?

— Ty ją otwórz, Erlingu. Ja nie mogę.

Erling spojrział nań ze zdziwieniem, ale rozluźnił rzemyczki i wyjął z sakiewki nieduży przedmiot, stanowiący jakby fragment czegoś większego.

Catherine poderwała się z okrzykiem.

— Co się stało? — czujnie spytał Móri.

— Przecież ja mam coś podobnego!

Móri przypatrywał się baronównie ze złowrogim spokojem.

— Tak przypuszczałem. Miałaś to w domu i zabrałaś ze sobą w podróż?

— Oczywiście! Zawsze leży w moim worku z czarnoksięskimi środkami. Zraz wyjmę.

— Ale co to, na Boga, jest? — chciał wiedzieć Erling. — Dla mnie to tylko odłupany kawałek kamienia.

— Poczekaj, aż zobaczysz moją część — rzekła Catherine. — Oto i ona.

Pokazała fragment kamiennej figurki, który zabrała ze skarbca Mai i Kai.

Twarz Móriego przypominała pośmiertną maskę, trudno było z niej cokolwiek wyczytać. Przyglądał się, jak Catherine i Erling dopasowują kawałki.

Części wciąż brakowało, widać jednak było, że figurka przedstawia wykrzywionego w uśmiechu demona.

Przez długą chwilę nikt nie mógł wydusić z siebie słowa. Nie potrafili zrozumieć, co się dzieje.

W końcu Móri złowieszczo spokojnym głosem zażądał:

— Najwyższy czas, Catherine, abyś opowiedziała nam, skąd masz swoją część.

Baronówna natychmiast się rozjaśniła. Odzyskała pewność siebie.

Teraz ona miała grać pierwsze skrzypce, tak jak powinno być zawsze.

Tiril, widząc radość na twarzy Catherine, sama się ucieszyła. Lubiła, kiedy wszystkim dopisywał dobry humor.

Westchnęła szczęśliwa, że dane jest jej przebywać w towarzystwie wszystkich tych wspaniałych ludzi. Nikt już się nie smucił, a to dla niej było najważniejsze.

Rozdział 5

Zapytali staruszkę, czy nie zakłócają jej spokoju już zbyt długo, ona jednak, podniecona nadzwyczajną wizytą tak dostojnych gości, zaproponowała im herbatę w filiżankach z cieniutkiej porcelany i z dumą podała przepyszne ciasteczka. Tak jak i oni, ciekawa była dalszego rozwoju sytuacji. Nigdy nie zapomniała wydarzeń niezwyklej nocy na zamku Akershus, wspomnienie dawnych lat pozostawało wciąż żywe.

Catherine bez oporów rozkoszowała się uwagą wszystkich, która skupiła się teraz wyłącznie na niej.

Opowiedziała o latach spędzonych u staruszek w Romskog, o człowieku, który „pozostawił po sobie” ów niezwykle przedmiot, budzący taką grozę Móriego.

— Czego dowiedziałaś się o tym mężczyźnie? — pytał Erling?

— Niewiele. Wiem tylko, że zmierzał do Szwecji, by odnaleźć resztę tej figury diabła. Kaja wspomniała nazwę jakiejś miejscowości, ale jej nie zapamiętałam, nie przypuszczałam, że to może być ważne. Musiał być to jednak jakiś wysoko urodzony człowiek, staruszki nazywały go „jegomościem”.

— Twierdzisz jednak, że mimo wszystko go zabiły?

— Tylko na podstawie tego, co powiedziały: „Chyba tu zmarł”. Chichotały przy tym znacząco.

— Cóż za straszne zbrodniarki! — wykrzyknął z oburzeniem Erling.

— Nie gorsze niż większość ludzi — odparła Catherine wymijająco; sama wszak położyła kres kilku istnieniom, wierząc oczywiście, że spełnia dobry uczynek. Zwróciła się do Móriego. — To, co wyczuwałeś w moim domu i po drodze tutaj, to coś, co tak ci się nie podobało. . . Chodziło o tę figurkę, prawda?

— Z całą pewnością.

— Uważasz więc, że jest zła?

— Tak. Trzeba jej się pozbyć. Drugiej części także — rzekł, zwracając się do akuszerki i Tiril.

Tiril obracała w palcach swój kawałek.

— Istnieje więc jeszcze trzecia część. Ciekawe, gdzie jest?

Wzdrygnęła się i podała Erlingowi kamień.

— Pewnie już przed laty zapadła się pod ziemię — stwierdził Erling.

Móri na te słowa poczuł się nieswojo. Przywiodły mu na myśl księgi zła, które spoczęły w ziemi. Nie miał ochoty wszczynać poszukiwań kolejnych przedmiotów przesyconych złą mocą.

— Przypuszczam, że trzecia część znajduje się w Szwecji — bystrze zauważyła Catherine. — Ponieważ tam właśnie zmierzał ów „jegomość”.

Erling trzymał w rękach oba kawałki figurki. Jeszcze raz przyłożył je do siebie.

— Zobacz, Móri!

Przyjaciół cofnął się.

— Spójrz! Pomimo że kawałek brakuje, coś mnie w tym zastanawia — ciągnął Erling.

Móri zmusił się, by popatrzeć na niekompletną figurkę. Pozostali także się pochylili, by lepiej widzieć. Ze statuetki zachowała się głowa z wykrzywioną w uśmiechu twarzą i jeden bok. Demon siedział skulony, skrzydła wystawały poza ciało, a ramię, nie wiadomo dlaczego, jakoś niezgrabnie wyprostowane, także wychylało się poza podstawę figurki.

— Rozumiem, o co ci chodzi — stwierdził Móri. — Figurka została ukształtowana w dość szczególny sposób, przez te nierówne wystające fragmenty nie może stać na żadnej twardej powierzchni. .

— Właśnie. Ale dlaczego?

— Mnie o to nie pytaj. Nie chcę mieć do czynienia z tym paskudztwem.

Catherine zakrztusiła się ze śmiechu.

— Brakuje mu najszlachetniejszych części. Ciekawe, jak wyglądają. Czy też się tak zwieszają wystając, czy też. . .

Nikt nie podjął wątku i baronównę ogarnął wstyd. Poczuli się głupio i by zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, powiedziała prędko:

— Czy potraficie stwierdzić, w jakim kraju ją wykonano? Przyjrzeni się cząstkom dokładnie, lecz nic im nie przychodziło do głowy.

— Na pewno jest stara — orzekł Erling.

— Bardzo stara — zgodził się Móri. — Przypuszczam, że wywodzi się z wymarłej kultury.

Tiril, nieco oszołomiona, przyznała:

— Bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego moja prawdziwa matka mi go podarowała.

Wszystkie oczy zwróciły się na akuszerkę.

— Czy o niczym więcej nie dowiedziała się pani tamtej nocy? — spytał Erling.

— Kiedy poproszono panią o przekazanie podarków dziewczynce?

Staruszka z całych sił starała się coś jeszcze wydobyć z pamięci. Chude pomarszczone palce nerwowo bawiły się tym, co akurat znalazło się w ich zasięgu: filiżanką, kołnierzykiem, cienkimi włosami.

— Jej wysokość coś do mnie mówiła, ale w obcym języku. Pamiętam tylko kilka słów.

— Jakich? — dopytywał się Erling.

— Nic z tego nie zrozumiałam. Takie dziwne słowa. „Angdenken”.

— Andenken — jednogłośnie uznali Erling i Catherine. — Pamiętać.

— Takie znaczenie ma to słowo? No, wobec tego rozumiem, bo wspomniała także o ojcu. Jednocześnie.

— *Vater. Andenken seines Vaters?*

— Tak, właśnie tak!

— Pamiętka po twoim ojcu, Tiril — przetłumaczył Erling.

Dziewczyna poczuła, że Móri ściska ją za rękę. Odwzajemniła uścisk, wdzięczna, że zrozumiał jej zagubienie.

— Czy przypomina pani sobie coś jeszcze? — Erling nie przestawał nalegać.

— Jeszcze dwa słowa. Coś o ostach, „tistel”. I... „gortiven”?

— Po niemiecku *Distel i Dieben?* Złodzieje? Albo *Tiefen*, głęboki?

— Nie, wyraźnie powiedziała „tistel”. Przez „t”. I „gor... tiven”.

— W niemieckim nie ma takich słów. Naprawdę powiedziała tylko „tistel”?

— To nie było całe słowo, ale reszty nie pamiętam.

Catherine całą sobą dawała do zrozumienia, że jakiś pomysł wpadł jej do głowy.

— Dajcie mi się skupić! — poprosiła bez tchu.

Czekali. Tiril zamknęła dłoń Móriego w rozpaczliwym uścisku. Chodziło przecież o jej życie. O jej korzenie, podstawy istnienia na tym świecie.

— Już wiem — oznajmiła wreszcie Catherine. — Chodzi o nazwę miejsca, do którego wybierał się ów „jegomość”. Kaja mi o tym wspominała. Miało to jakiś związek z ostami. Tistel... Tistelholm? Nie. Tistelborg? Nie, nie przypomnę sobie, ale przysięgam, że miało to coś wspólnego z ostami!

— Pętla się zaciska — stwierdził Erling.

— Czy to znaczy, że następnym etapem naszej podróży będzie Szwecja? — zastanawiał się Móri. — Czy też Holstein-Gottorp? A może Austria?

— Szwecja — jednogłośnie zdecydowali Erling i Tiril, a Catherine kiwnęła głową.

— Ach! — westchnęła stara akuszerka. — Gdybym była o dziesięć lat młodszą, bez zwłoki pojechałabym z wami.

— Możemy pani zapewnić wygodną podróż — dwornie zaofiarował się Erling.

— Chętnie bym wyruszyła! Ale starość ma przypisane swoje dolegliwości, o większości z nich nie uchodzi wspominać. Obiecujcie mi tylko, że wrócicie tutaj i opowiecie, jak wam się powiodło! Czuję się odpowiedzialna za jej wysokość panienkę Tiril, bo tylko ja wiedziałam, że wywodzi się z cesarskiego rodu.

— Na pewno przyjedziemy — obiecał Móri.

— Bez wątpienia należy udać się do Szwecji. Tyle że Szwecja to duży kraj — zauważył Erling.

— Tamten człowiek jechał przez Romskog. Trzeba przyjąć, że to nie był przypadek.

Catherine uderzyła dłonią w stół, dając znak, że znów coś jej się przypomniało.

— Kaja wspomniała jeszcze o czymś, wydało mi się to kompletnie pozbawione znaczenia, ale być może się myliłam.

— Mówże więc — ponaglił Erling.

— Spokojnie, nie tak szybko! Powiedział jej. . .

Czekali w napięciu.

Catherine przyjęła sztuczną pozę, zamknęła oczy. Uwielbiała być gwiazdą.

Wreszcie rzekła niepewnie:

— To miało jakiś związek z czerwonymi kwiatami.

— Osty i czerwone kwiaty — mruknął Móri. — Co dalej?

— Pst! — uciszyła ich Catherine teatralnym szeptem. — Mój umysł pracuje!

Tiril miała ochotę wtrącić coś kąśliwego na temat umysłu Catherine, dla żartu, ale się powstrzymała. Nie znała poczucia humoru baronówny, poza tym ciekawa była, co ma ona do powiedzenia. Uznała więc, że lepiej przemilczeć.

— Niespotykane czerwone kwiaty — Catherine powtarzała monotonicznie. — Czerwone. . . czerwone. . .

Otworzyła oczy i popatrzyła na nich triumfalnie.

— Czerwone lilie wodne! — zawołała. — Chodziło o czerwone lilie wodne!

— Takich kwiatów przecież nie ma — zaprotestowała Tiril. — Lilie wodne są żółte albo białe. Kropka!

— Mówiłam przecież, że to rzadkie kwiaty — prychnęła Catherine, zła, że ktoś podaje jej słowa w wątpliwość. — Nic nie poradzę, że tak właśnie powiedziała ta stara baba. Przepraszam — mruknęła do innej „starej baby”, siedzącej po przeciwnej stronie stołu.

Erling wstał.

— Proponuję, abyśmy natychmiast wyruszyli do Szwecji, przez Romskog, drogą, którą pojechałby ów „jegomość”.

— Ja nie mogę pokazać się w tych okolicach — zauważyła Catherine. — Obedrą mnie tam żywcem ze skóry.

— Dlaczego?

— Ponieważ zabrałam to, co stare damy zapisały mi w testamencie. Ich krewni mieli całkiem inne zdanie na ten temat.

— No cóż, będziesz musiała podjąć ryzyko. A może wolisz już teraz zrezygnować z przygody?

Z pewnością przynajmniej jedna osoba pragnęła, by Catherine odpowiedziała twierdząco. Niestety!

— W żadnym wypadku — oświadczyła baronówna. — Skoro macie zamiar nawiązać kontakty w wyższych sferach, jedynie ja wam mogę pomóc. Ale... Tiril, jeśli dzięki mnie uda się odnaleźć twą prawdziwą matkę... Ojciec chyba też wchodzi w grę. Czy dostanę za to jakąś zapłatę?

— Oczywiście — powiedziała Tiril zakłopotana, słysząc taką propozycję. — Ale ja znów tak wiele nie posiadam.

— A naszyjnik z szafirów? — Catherine przeciągnęła się jak kot na słońcu.

— Doprawdy, tego nie masz prawa żądać! — zaprotestował rozgniewany Erling. — To spadek, pamiątka, może jedyna, jaką będzie miała po matce.

— Pamiątka, w której wcale nie jest jej do twarzy. Natomiast mnie...

— Dość tego, wystarczy! — przerwał jej Erling. — Porozmawiamy o wynagrodzeniu, kiedy na nie zasłużysz. A teraz podziękujmy naszej gospodynie za niezwykle życzliwe przyjęcie i miłą rozmowę. Bardzo też panią proszę, by w przyszłości bardzo uważała na to, kogo wpuszcza do domu. Jak już wspominałem, na życie Tiril nastają dwaj złoczyńcy, być może zdołali nas wyśledzić. Co prawda nie wiem jak, ale...

— Dobrze. Nic nie widziałam ani nie słyszałam. Nigdy nie pomogłam przy porodzie żadnej kobiecie wysokiego rodu — zapewniła go akuszerka.

— Doskonale! Proszę nikogo obcego nie wpuszczać za próg!

Starowinka podeszła do Tiril. Najpierw głęboko się przed nią pokłoniła, później ujęła jej twarz w dłonie i ucałowała w czoło. Popatrzyła Tiril w oczy, a jej serdeczny uśmiech trafił prosto do serca dziewczyny.

— Ja pierwsza ujrzałam waszą wysokość — szepnęła kobieta.

Tiril nie zdołała powstrzymać łez.

— Dziękuję — odszepnęła, nie precyzując, za co. — Wrócimy i opowiemy o naszej podróży.

— O, tak! Bardzo o to proszę!

— Uczynimy to na pewno — obiecał Erling.

Móri podczas wizyty u akuszerki pozostawał milczący. Kiedy opuścili Christianię, kierując się na wschód, w stronę Romskog, wciąż czuł się bardzo nieswojo.

— Co się z tobą dzieje? — spytał w końcu Erling. Od pewnego czasu jechali obok siebie.

— Mamy przy sobie coś, co nie powinno nam towarzyszyć — odparł Móri cicho. Zawsze, gdy chciał odgrodzić się od świata, naciągał na głowę kaptur swej peleryny, niemal całkiem skrywając twarz w fałdach materii.

— Chodzi ci o Catherine? — zaczępnie spytał Erling.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

— Czy kawałki kamienia naprawdę mogą być aż tak groźne?

— To bardzo niebezpieczna figurka. Na wskroś przesycona złem.
— Dlaczego więc chcemy odtworzyć jej historię? Odnaleźć brakującą część?
— Bo wszyscy z natury jesteśmy ciekawi. I ja także, chociaż wiem, że to może sprowadzić na nas nieznane niebezpieczeństwo. Nie jestem ani odrobinę lepszy, także pragnę poznać prawdę. Chcę też czuwać nad naszą podopieczną. Towarzyszy nam jednak jeszcze inna groźba. Erlingu, musimy chronić Tiril przed Catherine!

— Ależ dlaczego?

— Ona już zabiła.

— To zapewne tylko przechwałki.

— O, nie! Kiedy jej dotykam, potrafię odsłonić jej duszę.

— To ci dopiero! Moją także?

— Oczywiście!

— I jakie masz zdanie na mój temat? — niepewnie zaśmiał się Erling.

Móri przyglądał mu się skupiony, lecz w oczach czarnoksiężnika połyskiwały iskierki wesołości.

— Wiele mógłbym o tobie powiedzieć, Erlingu. Ale chyba już sam fakt, że ci ufam i że dobrze się czuję w twoim towarzystwie, mówi sam za siebie?

— Dziękuję! Mam też chyba jakieś złe strony?

— Naturalnie — Móri nie zwlekał z odpowiedzią. — Ale nikt z nas nie jest od tego wolny.

— O nic więcej nie będę już pytać. Sądzę jednak, że przesadzasz w sprawie Catherine. To tylko niepoważna rywalizacja.

— To coś więcej. Zazdrość.

— Zazdrość? Czyżby i ona się we mnie zakochała?

Móri zerknął nań z ukosa. W tym momencie Erling zdał sobie sprawę z tego, co powiedział.

— Ależ ze mnie chwali się! Wyjaśnij lepiej, co miałeś na myśli.

— Catherine jest bezwzględna. Przywykła, że dostaje wszystko, czego tylko zapagnie. Podbija serce każdego mężczyzny. Teraz pragnie uwieść nas obu i traktuje Tiril jako mało znaczącą, lecz kłopotliwą rywalkę.

— Co takiego? — zaśmiał się Erling. — Czyżby chciała podbić także twoje serce? Przecież ciebie w ogóle nie interesują miłosne przygody!

— Właśnie dlatego. Nie rozumiesz? Ona chce osiągnąć to, co nieosiągalne. Bardzo silny bodziec. W dodatku wielce ją pociąga cielesna miłość, jest bardzo zmysłową kobietą.

— Owszem, ja także to zauważyłem.

— Erlingu. . . — Móri zawahał się. — Ze względu na Tiril. . . Czy nie mógłbyś poświęcić Catherine więcej uwagi?

— Ale co powie na to Tiril? — spytał wzburzony Erling. Wyjątkowo Móri nie znalazł odpowiedzi. Po dłuższej chwili zaproponował:

— Możesz zalecać się do Catherine dyskretnie. Nie chcę, by Tiril było przykro.

Móri znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Wiedział wszak, że Tiril darzy Erlinga wielką sympatią, lecz zaufanie pokłada w nim, w Mórim. Nie miał jednak pewności, jakie są prawdziwe uczucia Tiril, który z nich znaczy dla niej więcej, Erling czy on. Czy traktuje ich obu jak przyjaciół, wiernych towarzyszy, czy też kocha się w którymś?

Naprawdę trudno to było rozstrzygnąć, bo Tiril tak bardzo lubiła ich obu.

Móri spojrział na przystojnego Erlinga, któremu los nie poskąpił niczego, i po raz pierwszy w życiu poczuł ukłucie zazdrości.

Tamtego wieczoru w zajeździe on i Tiril bardzo się do siebie zbliżyli. Ale jakie znaczenie miała dla niej jego obecność? Gdyby do jej pokoju przyszedł Erling... Czy obdarzyłaby go takim samym zaufaniem?

Móri zorientował się nagle, że ściska cugle tak mocno, jakby chciał z nich coś wycisnąć.

Nie pragnął jednak odebrać Erlingowi życia. Po prostu cierpiał. Powołanie do roli czarnoksiężnika, który wstrząśnie światem, w jednej chwili ogromnie mu zaciążyło...

— Jak chcesz — oświadczył Erling beztrąsko. — Mogę zalecać się do Catherine. Mogę też, jeśli przyjdzie co do czego, zaspokoić jej żądze, jest przecież taka ponętna. Ale ani słowa Tiril!

— Oczywiście — mruknął Móri, w panice zastanawiając się, do czego doprowadzi uknuta przez niego intryga. Przecież wcale nie chciał, by Erling zdradzał Tiril.

Ukradkiem obserwował towarzysza, ciesząc się, że udało mu się znaleźć dwoje przyjaciół w świecie, na którym czuł się tak obco. Wiedział, że Erling pragnie poślubić Tiril. Potomek hanzeatyckiego rodu z pewnością ją kochał. Ale jeśli miał wobec Tiril poważne zamiary... jak wobec tego mógł myśleć o miłosnych igraszkach z Catherine?

Takie postępowanie nie przystawało do zasad moralnych wyznawanych przez Móriego, a jeszcze mniej do jego pragnień.

Zakończył nie bardzo pewnym głosem:

— Postępuj jak uważasz. Jeśli sądzisz, że trudno jest ci robić coś za plecami Tiril, to nie przejmuj się Catherine!

Erling zerknął na niego i leciutko, ironicznie się uśmiechnął:

— Drogi przyjacielu, czego ty właściwie chcesz?

— Dobra Tiril. Nie chciałbym, by ktokolwiek ją zranił. A tym bardziej zabił z zazdrości.

Erling ze śmiechem pokręcił głową.

— Mój drogi, przez ostatni rok nie wiodłem życia mnicha, żaden mężczyzna nie powinien tak robić. Ale z tego powodu wcale nie kocham Tiril mniej! Ja także

pragnę jej dobra i chcę się nią opiekować. Od czasu, gdy utraciłem jej siostrę, Carlę, oddałem serce Tiril.

Móri stłumił westchnienie. Nie mógł zrozumieć takiego sposobu myślenia. Miłość była dlań rzeczą świętą. Nie miał jednak do niej żadnego prawa, zrezygnował z obcowania z kobietami, po części z powodu swego niezwyklego pochodzenia, a po części dlatego, że pragnął zostać czarnoksiężnikiem doskonałym. Przede wszystkim jednak nie chciał wciągać nikogo w swój straszny, przerażający świat.

Nagle poczuł falę krwi napływającą do twarzy. Co on właściwie robi? Oto siedzi na końskim grzbiecie i oskarża Erlinga o to, że zrani Tiril, zdradzając ją z inną. A co on uczynił Erlingowi poprzedniego wieczoru? Obcował z jego wybranką na granicy nieprzyzwoitości!

Nagle uśmiechnął się do Erlinga jednym ze swych rzadkich, ciepłych uśmiechów, budzących radość osób, do których były skierowane.

Słowa przestały już być potrzebne. Erling wiedział, że przyjaciel ma do niego pełne zaufanie.

Przenocowali w zajeździe i następnego dnia minęli Romskog. Catherine nie zgodziła się nawet na krótki przystanek w miejscowości, w której kiedyś mieszkała.

— Czy nie miałaś tu znajomego proboszcza? — pytał Erling.

— Owszem, poznałam go, ale tylko dlatego, że potrzebowałam mężczyzny — odparła, nie owijając w bawełnę.

— On nic nie wiedział o tamtym podróznym, przysięgam. Tiril patrzyła na nią wstrząśnięta, Móri więc pospiesznie zagadał:

— Na pewno nie mamy czego szukać w tej parafii. Catherine powiedziała już wszystko, co wiedziała.

— Właśnie, a nie zamierzam odgrzebywać trupów zakopanych koło domu — złościła się Catherine. — Siostrzyczki z pewnością obrabowały tego człowieka z całego majątku, no i dobrze. Jedźmy dalej! Droga do Östervallskog w Szwecji wiedzie tędy!

Wskazała kierunek i popędziła konia. Naprawdę nie chciała mieć do czynienia z mieszkańcami Romskog.

Catherine zostawiła powóz u znajomych w Christianii, wszyscy czworo więc jechali teraz wierzchem. Nero biegł obok, a raczej z przodu. Powóz poruszał się zbyt wolno, na wąskich leśnych drózkach mógł sprawiać zbyt wiele kłopotu, a na gościńcach niepotrzebnie przyciągać uwagę wędrownych rzezimieszków. Konno posuwali się o wiele szybciej.

Minęli granicę, nie bardzo nawet zdając sobie z tego sprawę.

— Zastanawiam się, dlaczego ów „jegomość” wybrał taką krętą, niewygodną

drogę do Szwecji — głośno myślał Erling. — Dlaczego nie pojechał głównym traktem? Na przykład tym trochę dalej na północ ku Arvika albo którymś bardziej na południe?

— Przypuszczam, że zmierzał do jakiegoś miejsca w pobliżu granicy — odparł Móri. — Catherine, przecież ty mieszkałaś u ciotki w Szwecji i wybrałaś tę właśnie drogę. Dlaczego?

— Błądziłam po okolicy — prychnęła. — Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, po prostu kierowałam się na zachód, do Norwegii.

— Gdzie w Szwecji mieszkała twoja ciotka?

— Na dworze w Värmland. Ale ona nie miała nic wspólnego z tą historią. Jediną namiętnością ciotki, najnudniejszej osoby pod słońcem, było liczenie słów w psalmach. Najdłuższy psalm liczy kilkaset słów. Uwielbiała go.

Po kilku godzinach jazdy przez bezludne okolice dostrzegli w oddali dom. Postanowili zasięgnąć języka. Decyzja okazała się trafna. Tam bowiem „jegomość” częściowo się zmaterializował, oczywiście nie dosłownie, ale w każdym razie coś zaczęło się wyjaśniać.

Rozdział 6

Przy drodze leżała chłopska zagroda, pełniąca także funkcję niedużego zajazdu; w najładniejszej izbie serwowano podróżnym posiłek za zapłatą. Zajazd nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale też niewielu podróżnych zapuszczało się w te okolice.

Wdali się w pogawędkę z gospodarzem, wyraźnie zaintrygowanym tak eleganckimi gośćmi. Dlaczego tędy przyjechali i dokąd zmierzają?

Catherine postanowiła zaryzykować i zagaiła beztrasko:

— Jeden z moich krewnych wybrał się w tę drogę, lecz spotkało go nieszczęście, zginął. Twierdził, że miał do załatwienia ważną sprawę. Próbuję odnaleźć jego ślady. Będzie to, rzecz jasna, szukanie po omacku, lecz uważam, że jestem mu to winna.

W oczach gospodarza pojawiła się czujność.

— A niby kiedy miał zaginać?

Na chwilę zbił ją z tropu.

— Ooo... to już wiele lat temu.

— Około piętnastu?

— To by się mniej więcej zgadzało. — Catherine postanowiła wykorzystać okazję. — A dlaczego pytacie? Czy coś o nim wiecie?

— Nie, ja nie. Ale mój sąsiad długo czekał na swego krewniaka, który nigdy do niego nie dotarł.

No, ładnie, pomyśleli towarzysze baronówny. Catherine wpadła w potrzask. Nie mogła przecież być spokrewniona z jakimś ubogim komornikiem z maleńkiej wioski na odludziu.

Pomylili się jednak. W okolicy leżał dwór, co prawda niewielki, ale widać było, że należy do szlacheckiej rodziny.

Kiedy przemierzali aleję, Tiril cicho wyznała Móriemu:

— Mam wrażenie, że przez ostatnie lata nic innego nie robię, tylko dokąś jadę.

— Ja także — uśmiechnął się do niej. — Przydałoby nam się gdzieś osiąść, i tobie, i mnie.

— Najchętniej razem — stwierdziła otwarcie.
Móri słysząc jej wyznanie musiał ukryć wzruszenie.
Przed nimi ukazał się dwór.
— A więc to tutaj mierzał „jegomość” Kai i Mai! — zawołała z tyłu Catherine.
— Nie wiadomo, czy chodzi o tego samego człowieka — powiedział Móri, odwracając się do niej.
— O, bez wątpienia! — odparła Catherine z niewzruszoną pewnością.
Teraz musieli zachować ostrożność. Catherine nie mogła ponownie popełnić głupstwa.
— Pozwól, abym ja z nimi porozmawiał — prosił Erling.
Państwa jednak nie zastali, co być może wyszło im na dobre. Spotkali jedynie ogrodnika, który zaiste świetnie znał się na swoim fachu. Zanim zdążyli przedstawić sprawę, z jaką przybywają, musieli wysłuchać wykładu o cięciu jabłoni i róż.
Owszem, ogrodnik wiedział, że państwo czekali na krewniaka, który nigdy do nich nie zawitał. Ach, tak, zginął po drodze? Szkoda, bo i on, i gospodarze mieli wielkie nadzieje na przyszłość.
Dlaczego? dopytywał się Erling.
No, niełatwo utrzymać taki wielki dwór, zwłaszcza gdy wiek zaczyna dokucać, tak jak państwu. Ale ich krewniak, Gustaf Wetlev, napisał bardzo optymistyczny list, twierdził, że wkrótce wszystko się ułoży. Jednak nie dojechał.
Poznali więc nazwisko podróżującego. Doskonale!
Popatrzylili po sobie. List?
Letni värmlandzki wieczór był niewypowiedzianie piękny. Wokół niedużego jeziora rosły wątle brzożki. Przepojone smutkiem, pomyślała Tiril. Wiedziała, że na zawsze zapamięta te chwile. Za wiele lat, mieszkając gdzieś w jakimś miejscu sama albo z ludźmi, których jeszcze nie zna, wróci pamięcią do swej przyjaźni z Mórim i Erlingiem. . .
Wzięła głęboki oddech, bo myśli stały się zbyt chmurne. Móri, Móri, nie mogę się z tobą rozstać! Wiem, że kiedyś to nastąpi. Odejdiesz swoją drogą, kiedy już się upewnisz, że splotły się wszystkie wątki mego życia i możesz mnie spokojnie opuścić.
Ale mnie bez ciebie nigdy nie będzie dobrze, Móri, wiedz o tym!
Erling przerwał jej rozmyślenia, bo zwrócił się do ogrodnika:
— Czy państwo długo zabawią poza domem?
— O, tak, przez całe lato. Pani musi brać ciepłe kąpiele na reumatyzm.
W lesie jakiś ptak monotonna wyśpiewywał swą melancholijną piosenkę. Tiril ogarnęło przygnębienie, próbowała pochwycić spojrzenie Móriego, niestety, stał odwrócony do niej tyłem.

— Powiedzcie mi, człowieku — odezwała się Catherine; nie była w stanie już dłużej milczeć. — Nie wiecie, co zawierał list od naszego przyjaciela Gustafa? Przybywam z tych samych powodów, on bowiem był krewnym. . .

Erling powstrzymał ją w porę. Nie mogli przecież zdradzić, że wcale nie znali szlachcica.

— Wiemy co nieco o tej sprawie — podjął. — I jeśli tylko zdołamy, pomożemy państwu. Nasz wspólny przyjaciel Gustaf wpadł na ślad czegoś, zachowywał się jednak bardzo tajemniczo. Mówił, że dowiemy się o wszystkim, gdy nadejdzie czas. Niestety, spotkało go nieszczęście. Nie wiecie, dokąd zmierzał?

— Nie, nie znam treści listu. Tylko to, co już mówiłem.

— Zdradził nam co nieco — ciągnął Erling. — Czy słowo „tistel” nic wam nie mówi?

Ogrodnik uśmiechnął się szeroko.

— „Tistel”? Oset! Chwast!

— No tak, i nic poza tym?

Zastanowił się. Otarł powalane ziemią dłonie o spodnie. Czwooro przyjaciół myślało o tym samym: Czy możemy się włamać do dworu, by odnaleźć list? Zgodnie odrzucili jednak ten zamysł. Nie wolno im było podejmować tak ryzykownych przedsięwzięć.

— No cóż. . . Nic innego nie przychodzi mi do głowy — z przykrością rzekł ogrodnik.

Nagle Tiril coś się przypomniało.

— A czerwone lilie wodne?

Ogrodnik spojrział na nią zdumiony.

— Panienczka słyszała o czerwonych liliach wodnych, chociaż jest z Norwegii?

Skamienieli.

— Niewiele — przyznała Tiril. — Ale Gustaf o nich wspominał.

Catherine wyrzucała sobie w duchu, że to nie ona wystąpiła z pytaniem o lilie. Głupia Tiril znów się popisała.

— Doprawdy, mówił o nich? — nie przestawał się dziwić ogrodnik. — To bardzo dziwne!

— Proszę opowiedzieć nam o tych kwiatach — poprosił Erling.

— Bardzo niewielu Szwedów wie, gdzie rosną czerwone lilie wodne. Znaleźć je można w jednym jedynym miejscu. A Gustaf Wetlev był Norwegiem albo Duńczykiem, dziwne więc, że o nich słyszał. Ja o nich wiem, ale to przecież łączy się z moim zawodem.

— Gdzie rosną te kwiaty? — spytał Móri. Ogrodnik napotkał jego niezgłębione spojrzenie i zdrętwiał niczym zahipnotyzowany ptak przed wężem. Nie pozostawało mu nic innego jak odpowiedzieć.

— Czerwone lilie wodne znaleźć można jedynie w głębokich lasach Tiveden, w maleńkim jeziorku, które nosi nazwę Fagertärn, w głębi lasu.

Czuli, jak ogarnia ich podniecenie. Oto zbliżali się do rozwiązania zagadki, tak przynajmniej się im wydawało.

— Tiveden...? — powtórzył Erling. — Gdzie to jest?

Mężczyzna patrzył na nich zdziwiony. Naprawdę nic nie wiedzą?

— Tiveden to bezkresne lasy, ciągnące się między jeziorami Wener i Wetter. Niech się strzeże ten, kto tam zabłądzi! To królestwo boginek leśnych, trolli i wszelkich straszycieli, które kryją się przed światłem dziennym. Najbardziej niebezpieczna część tych lasów zwie się Gôrtiven.

Gôrtiven...! A oto i dziwne słowo zapamiętane przez akuszerkę!

— Wiemy już, na czym stoimy — uradował się Erling.

Podziękowali za informacje i pożegnali się z ogrodnikiem.

Teraz droga wiodła ku Tiveden.

Tiril w jednej chwili powróciła dawna niezłomna radość życia.

— Ach, jak wspaniale nam się wiedzie! — zaśmiała się, szeroko rozrzucając ramiona. O mało przy tym nie spadła z konia. — Czeka nas prawdziwa przygoda! Jesteśmy zdrowi, jesteśmy razem i mamy życie przed sobą!

Swą radością zaraziła innych. Dowiedzieli się, gdzie znajdują najbliższy zajazd, postanowili zamówić najsmaczniejszy posiłek.

Czego więcej żądać od życia?

Kilka godzin później Tiril siedziała w swoim pokoju w zajeździe, gotowa do udania się na spoczynek. Ulokowała się teraz na podłodze, obejmując Nera, ale z oczu nie biła jej już radość.

— Nie mamy domu, przyjacielu — szeptała, tuląc czoło do miękkiej sierści psa. — Nie mamy swojego miejsca na świecie. Móri też, jego sytuacja jest tak samo trudna jak moja, a może nawet gorsza, bo on nie ma domu od czasu, kiedy jego matkę oskarżono o czary, od wielu, wielu lat. Ale Móri pragnie chodzić własnymi ścieżkami. Utracimy go, Nero, prędzej czy później go utracimy. Próbuje złączyć mnie z Erlingiem, twierdzi, że on jest dla mnie właściwą osobą, ale czy to prawda? Nie bardzo wiem, co myśleć o Erlingu, bo chociaż to przystojny, miły, inteligentny, bogaty i obyty mężczyzna, a czasami nawet wydaje mi się, że się w nim zakochałam, to czegoś mi brakuje.

Mocniej przytuliła psa.

— Ciągnie mnie ku śmierci, Nero. Ku Aniołowi Śmierci. On mnie poprowadzi do swego mrocznego świata, ostrzegał mnie przed tym, ale ja nie potrafię temu zapobiec. Tak bardzo za nim tęsknię, chciałabym pójść teraz do niego i wyplakać się na jego ramieniu. Ale nie mogę tego zrobić, on pewnie już śpi.

Zadrzała w cieniutkiej nocnej koszuli, jakby przez pokój przemknął nagle chłodny powiew wiatru.

— Boję się Catherine, Nero. To oczywiście bardzo niemądre z mojej strony, ale naprawdę się jej boję. Nie wiem, dlaczego ona mnie nie lubi. A zresztą, może mnie i lubi, ale jest moim wrogiem. Nie potrafię tego zrozumieć!

Znów pogłaskała Nera po grzbiecie.

— Móri jej pilnuje, jej i mnie. Móri wie, lecz nic nie mówi.

Ziewnęła.

— Erlingowi podoba się Catherine. Trochę mnie to irytuje, na pewno o tym wiesz. Chciałabym mieć swoich chłopców tylko dla siebie. Po co wybrała się z nami w tę podróż? Móriego też pragnie zdobyć. Nie wolno jej tak robić! Wiesz co, Nero? Nigdy nie przypuszczałam, że mogę być tak nieprzyjemna w stosunku do przyjaciółki, ale przyznam ci się, że odzywa się we mnie zazdrość! To okropne, zżera mnie od środka. Dlaczego nie mogę być taka jak dawniej? Jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, kiedy kochałam wszystkich ludzi, każdy wydawał mi się taki miły i dobry. Dlaczego nie wolno mi zachować iluzji? Dlaczego sama staję się zła?

Tiril z pewnością oceniała się zbyt surowo, ale ogromnie wstydziła się swych uczuć, w końcu zaczęła gorzko płakać. Szlochała w futro Nera, pies próbował dodać jej otuchy, lecz i on posmutniał.

W końcu zdołała jakoś wziąć się w garść. Zaśmiała się zawstydzona, potar-mosiła psie futro i powiedziała grubym jeszcze od łez głosem:

— Przynajmniej zdołaliśmy pozbyć się naszych prześladowców, wiesz, tych dwóch złych mężczyzn. Wjeżdżając do Romskog wywiedliśmy ich w pole. Na pewno wciąż czają się na nas w Christianii.

Do Tiveden było znacznie dalej niż przypuszczali. Żadne z nich nie bawi-ło wcześniej w tych okolicach, nie potrafili więc ocenić odległości. Catherine wprawdzie mieszkała przez jakiś czas w Szwecji, ale blisko granicy.

Nie wszystko układało się tak, jak trzeba. Tiril próbowała poprawić im na-strój, opowiadając niemądre, dziecinne historyjki, ale ta forma poczucia humoru była całkiem obca Catherine i baronówna często fukała na rywalkę, nakazując jej milczenie. Móri jawnie okazywał dystans wobec Catherine, co ona z kolei brała za oznaki miłości z jego strony. Uważała, że złamała czarnoksiężnikowi serce, że Móri cierpi, nie chce się do niej zbliżyć, ponieważ w hierarchii społecznej stoi o wiele niżej. Erlingowi przestało się podobać prymitywne życie, wieczorem tę-sknił za wygodami i kiedy przyszło im nocować pod gołym niebem, a zdarzyło się to dwukrotnie, zachowywał się wprost nieznośnie.

Tylko Nero dzielnie biegł naprzód, wiernie trzymając się w pobliżu wierz-chowca Tiril lub Móriego.

Pogoda na ogół im dopisywała, choć od czasu do czasu musieli się pogodzić z nagłym deszczem. Chronili się wówczas pod drzewem, a Catherine bezwstydnie korzystała z okazji, by przysunąć się jak najbliżej Erlinga, i otwarcie z nim flirtowała. On nie miał nic przeciwko temu, odpłacał jej tą samą monetą, przywykł do zalotnych konwersacji. Tiril nie odzywała się wtedy ani słowem i patrzyła prosto przed siebie. Bił od niej smutek samotności. Erling nie mógł wówczas oprzeć się wrażeniu, jakby oblano go zimną wodą, i z nagłym wyrazem powagi na twarzy wypuszczał Catherine z objęć. Baronówna z kolei obrażała się, nie rozumiejąc przyczyny jego nagłego chłodu. Takie sytuacje powtarzały się dość często.

Udało im się okrążyć północny kraniec Wener i znaleźli wspaniałą gospodę. Erling i Catherine nie mogli się wprost doczekać dobrodziejstw cywilizacji.

Kiedy już się najedli i napili, i właściwie byli gotowi udać się na spoczynek, Erling odciągnął Móriego na stronę.

— Móri, stary przyjacielu, czy nie mógłbyś przez jakiś czas zająć się Tiril? Zrobić tak, żeby zeszła nam z drogi? Może zabrałbyś ją na spacer?

— Mogę, oczywiście — zgodził się Móri. — Ale dlaczego?

Erling zachichotał niemądrze.

— Mam wielką ochotę uwieść dzisiaj Catherine.

W oczach Móriego zapłonęły iskielki.

— Jesteś pewien, że to tobie przypadnie rola uwodziciela?

— Co masz na myśli?

— Nic — zapewnił Móri. — Dobrze, zajmę się Tiril.

Tiril i Nero uradowali się propozycją przechadzki. Pies pomknął nad jeziorem, wzdłuż brzegu wiodła ścieżka.

— Czy możemy tak ich zostawić? — Tiril poczuła się winna, że odchodzą.

— Zatopili się w rozmowie, nie chcieli iść z nami — dyplomatycznie odparł Móri.

— No cóż!

Przez chwilę szli w milczeniu. Letni wieczór był piękny, nad wodą niosły się głosy ptaków.

— Mam wrażenie, że się gniewasz — powiedziała cicho Tiril — Czyżbym zrobiła coś złego?

— Ty nie — odrzekł niezwykle jak na niego gwałtownie. — Ty nic złego nie zrobiłaś.

Nie zaprzeczył jednak, że jest rozgniewany. Tiril, która dobrze go znała, wyczuła jego ponury nastrój.

Spytała nieśmiało:

— Może wolałbyś być razem z Catherine? Czy z tego powodu złościsz się na Erlinga? A może Catherine jest zazdrosna o to, że tak z tobą znikam?

Móri przystanął i westchnął zrezygnowany, na kilka sekund przymknął oczy.

— Ach, droga Tiril, nie odwracaj kota ogonem! Catherine w ogóle mnie nie interesuje, nawet jej nie lubię. Ona także nie zwraca na mnie uwagi.

— Owszem, ma na ciebie oko.

— Może i tak, ale tylko dlatego, że pragnie mnie zdobyć. Powoduje nią ciekawość i pragnienie triumfu.

— Pozwolisz jej na to? — cicho spytała Tiril.

— Nigdy! Cóż mi po niej, tej zużytej, ogarniętej manią wielkości intrygantce? Buzia dziewczyny rozpromieniła się w uśmiechu.

— Ale ona ma także zalety.

— Być może — przyznał Móri. — Ale po mistrzowsku je ukrywa.

Wziął Tiril za rękę i ruszyli dalej. Nero wsunął łeb w stos gałązek, po jego parskaniu i gwałtownym machaniu ogonem poznali, że wywęszył mysz.

— Wydaje mi się, kochana Tiril, że ostatnio wyglądasz na zmęczoną — łagodnie rzekł Móri. — Raduje cię nasza przygoda, lecz kiedy sądzisz, że nikt na ciebie nie patrzy, na twarzy maluje ci się zmęczenie i smutek.

— Nie, to tylko... — zaczęła wesoło, ale zaraz spoważniała. — To prawda, przyjacielu, jestem zmęczona. Nie męczy mnie nasza wyprawa, lecz poczucie niepewności. Dokąd naprawdę zmierzamy, ty i ja? Donikąd. Chyba bardzo potrzebuję domu, Móri, naprawdę go potrzebuję. Czasami myślę sobie: Jak tylko wrócę do domu, odpocznę. Ale nie ma takiego miejsca na ziemi, które mogłabym nazwać domem. Ty także go nie masz.

Pokiwał głową.

— Rozmawialiśmy o tym już wcześniej, ale sądzę, że ta potrzeba będzie nam coraz bardziej doskwierać. W pewnym momencie ochota na przygody mija i dobrze byłoby skulić się we własnej norce. A my jej nie mamy.

Tiril zastąpiła mu drogę, nie wypuszczając z uścisku jego ręki.

— Móri... Nigdy więcej już mnie nie zostawiaj! Wiem, że to brzmi prawie jak oświadczyzny, ale wiesz chyba, o co mi chodzi. Zawsze umieliśmy szczerze rozmawiać.

Uśmiechnął się.

— Nie popełnię już takiego głupstwa, nie opuszczę cię. Jeśli znów wpadnie mi do głowy jakiś szalony pomysł, zabiorę cię ze sobą, obiecuję.

— O, tak! — Uradowana klasnęła w dłonie. — Bo tam gdzie ty, tam jest mój dom! Wiem, że to brzmi trochę dziwnie, bo najpierw narzekam, że nie mam domu, a potem twierdzę, że jeśli będę mogła być przy tobie, to od razu poczuję się jak w domu. Przecież jesteśmy razem, a mimo to marudzę.

Roześmiał się, w pięknej twarzy załśniły białe zęby. Rzadko śmiał się tak otwarcie i swobodnie, Tiril z radości zakręciły się w oczach łzy.

— Jeśli powiem, że czuję dokładnie to samo, nic więcej chyba nie trzeba już dodawać — powiedział.

Poszli dalej, zatopieni w myślach, trzymając się za ręce.

— Móri — cicho odezwała się Tiril. — Nigdy nie wspominałeś o tamtej nocy w zajeździe. Żałujesz tego, co się stało?

— To najpiękniejsze z moich wspomnień, kochana. Nie chciałem po prostu, by zniszczyły je niepotrzebne słowa.

— I ja tak myślałam. Móri... Gdybyś kiedykolwiek... Tak, tak, wiem, wiem, że nie zostałeś stworzony do ziemskiej miłości, ale gdybyś chciał... — Kopnęła leżący na ścieżce kamyk. — Gdybyś kiedyś chciał jeszcze raz ją poczuć, to nie zapominaj o mnie! Jeśli pokochasz jakąś dziewczynę, to zupełnie inna sprawa, ale gdybyś potrzebował tylko... jak to nazwać? Rozładowania napięcia? Pomyśl wtedy o mnie! Tak bardzo chciałam ci pomóc. Nigdy nie podejrzewałam się o zazdrość, ale nawet nie zgadniesz, jakie to silne uczucie! Nie umiem znieść bodaj myśli, że mógłbyś się zbliżyć do innej!

Teraz Móri się zatrzymał i popatrzył na nią z uwagą. Chociaż starał się zmusić do uśmiechu, Tiril spostrzegła, że ma łzy w oczach.

— Tiril... Żadne inne słowa nie zdołałyby uczynić mnie bardziej szczęśliwym. Wiem, że nie mam do ciebie prawa, nie mogę wciągać cię w mroczny świat, który mnie otacza, tyle w nim zła, ale wiedz, że nigdy nie przyjdzie mi na myśl, by zwrócić się do innej. Możemy być sobie pomocą, tak jak stało się ostatnio, tak, abyś pozostała nieskalana dla twego przyszłego męża.

— Nie chcę żadnego innego, dobrze o tym wiesz!

Móri dotknął palcem jej ust.

— Jesteś jeszcze bardzo młoda. Wstrzymaj się z takimi zapewnieniami do czasu, aż spotkasz innych mężczyzn.

— Sądzisz, że zdołam znaleźć lepszego kandydata na męża niż Erling? A jego także nie chcę.

— Moja droga, twoje słowa świadczą o niedojrzałości. Miłość nie ma związku z doskonałością. Erling jest niemal ideałem, oboje o tym wiemy. Ale prawdziwa miłość nie na tym polega. Ona spada na człowieka jak grom. A wtedy wygląd, miłe usposobienie czy bogactwo przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie.

— W każdym razie niewielkie — roześmiała się. Ścisnęła go za rękę tak mocno, jakby chciała przyciągnąć ją do ziemi. W końcu zorientowała się, co robi, i puściła go. Móri dyskretnie rozmasował palce.

— Wiesz, Móri, niemal boję się spotkania z Catherine. Powiedz mi... czy ona naprawdę jest czarownicą?

Móri przez chwilę zastanawiał się w milczeniu. Delikatnie podtrzymał dziewczynę, gdy przechodzili po korzeniach, wijących się po ścieżce. Dawniej przykrywała je ziemia, musiała więc to być uczęszczana dróżka. Tiril przywiodły na myśl straszliwego Nidhogga, podgryzającego korzenie drzewa życia. Ze zdziwieniem odkryła, że myśli o przerażających niewidzialnych towarzyszach Móriego jak o przyjaciołach.

— Catherine wiele potrafi — wolno powiedział Móri. — Wie, jak odpędzić

ból zęba, usuwając poszczególne litery w specjalnych słowach czy nazwach i czyniąc przy tym określone znaki. Zna się na kąpaniu kamieni w celu stwierdzenia, skąd wzięła się choroba. Trzeba do tego podgrzać trzy płaskie kamienie, czarny, niebieski i czerwony, a potem kolejno zanurzać je w wodzie. Jeśli czarny kamień syczy najdłużej, oznacza to, że choroba przyszła z ziemi, niebieski, że dolegliwość dopadła człowieka na morzu. A jeśli najdłużej syczy czerwony, wtedy już prosta droga na cmentarz. W dwóch pierwszych przypadkach chorego leczy się wodą, w której zanurzono kamienie. To norweskie czary, nie islandzkie.

— Działają?

— Nigdy nie wypróbowałem tego sposobu. Catherine wie, jak poskromić agresywne zwierzę, jak rozpalić ognisko bez ognia, umie zaklinać diabła. Ale nie ma w tym magii. Brakuje jej iskry.

— Ty ją masz?

— Tak, ja się z tym urodziłem. Catherine się tylko uczyła. Każdy, także ty, może nauczyć się zakłęb stosowanych przy tamowaniu krwi albo formuł, którymi oczyszcza się z duchów nawiedzone domy, dowiedzieć się, jakimi ziołami leczyć choroby. Ale kiedy się nie ma wrodzonego daru, nabyte umiejętności nic nie pomogą.

— Rozumiem. Jeśli ja albo Catherine wyrzeźbimy magiczny znak na kawałku drewna, nic się nie stanie. Jeśli natomiast ty to zrobisz. . .

— Właśnie, na tym polega różnica. Poza tym gdyby była prawdziwą czarownicą, widziałyby tych, którzy mi towarzyszą. A tak nie jest.

— Popęłniła kilka strasznych pomyłek, zajmując się gośćmi w zajazdach, gdzie się zatrzymywaliśmy. Pamiętasz tego, który cierpiał na konwulsje? Musiałeś naprawiać jej błędy.

— Owszem, ale kilkakrotnie jej się udało. W leczeniu ziołami naprawdę dobrze sobie radzi. Gorzej jest, kiedy chce się posłużyć czarami, czarną magią czy jak to nazwiesz. Albo ma się ten dar i wtedy wszystko się udaje, albo się go nie ma i wtedy wychodzi pasztet. Przygotowany według przepisu, ale bez smaku.

Tiril uśmiechnęła się słysząc określenie „pasztet bez smaku”.

— To znaczy, że potrafi wykurować ludzi z niektórych chorób za pomocą swych umiejętności, ale nie magią. Doskonale, wiem już teraz, czego mogę się po niej spodziewać.

Poszli dalej, gawędząc o otaczającej ich przyrodzie i o Nerze, którego oboje tak bardzo kochali. Tiril nie mogła się zdecydować, czy opowiedzieć Móriemu o spotkaniu z jego towarzyszami. Móri frasował się krótkim psim życiem Nera, Tiril wiedziała zaś, że Zwierzę przedłużyło żywot jej ulubieńca, i dręczyły ją wyrzuty sumienia, ponieważ Móri cierpiał na myśl, że za kilka lat utracą wiernego przyjaciela.

Przyjdzie czas, że wyłoży wszystkie karty na stół, uspokoi co do Nera. Jeśli, oczywiście, wciąż będą mieli kontakt ze sobą. Ale inaczej być nie może!

Na razie jednak postanowiła o niczym nie mówić. Brakowało jej śmiałości.

Napotkała spojrzenie Móriego, uśmiechał się do niej z taką czułością, że zakreśliło jej się w głowie na myśl, iż ten osobliwy mężczyzna, urodziwy jak śmierć we własnej osobie, wyobcowany ze świata, uważa ją za swego najlepszego przyjaciela.

Pomyślała z bijącym sercem: Chciałabym, aby Móri zapragnął się do mnie zbliżyć już dziś wieczorem! Mnie także potrzebne jest rozładowanie napięcia. Ale tylko z nim. Nikomu innemu na całym świecie nie wolno mnie dotknąć!

Rozdział 7

Erling, chociaż wydawało mu się, że występuje w roli uwodziciela, doświadczył, co to znaczy być uwodzonym.

Dla obytego w świecie potomka hanzeatyckiego rodu cała ta historia okazała się wielce upokarzająca.

Ostrożnie zamknął drzwi do pokoju Catherine i przekręcił klucz w zamku. Baronówna obserwowała go spod w półprzymkniętych powiek.

Wyzaczyłam sobie jeden dzień na zdobycie Erlinga i z pewnością dopięłabym swego w tak krótkim czasie, myślała. Uznałam jednak, że powolniejsze, bardziej metodyczne działanie będzie ciekawsze. Wolałam, żeby sam wpadł w moje objęcia jak dojrzały owoc. Nie musiałam wcale się wysilać i stosować wyrefinowanych zasad „sztuki uwodzenia mężczyzny”.

Tiril jest głupia. Nawet nie próbuje schwytać w sieci tych mężczyzn, a przecież przy jej ograniczonych możliwościach wymaga to naprawdę wiele zachodu. Ja nic nie musiałam robić, a już ich mam. Jeden zaraz padnie do mych stóp, dłużej nie wytrzyma. Potem zajmę się tym drugim, czarnoksiężnikiem.

Z nim muszę postępować ostrożniej. To jego okropne, przenikliwe spojrzenie... Ale i on w końcu przyjdzie, będzie błagać o moje względy, tak jak Erling dzisiejszego wieczoru. Wydaje mu się, że jest zwycięzcą i że to on podjął inicjatywę. W rzeczywistości jednak wygrałam ja, i to bez odrobiny wysiłku.

Ale Móri? Jak się do niego zabrać? Przemówić do jego inteligencji? Czy raczej do znajomości wiedzy tajemnej? Muszę przyznać, że w tej dziedzinie okazał się lepszy ode mnie, drażni mnie to, ale może się opłacić. Poproszę go o radę, a kiedy będzie mi demonstrował tę swoją czarną magię, stanę przy nim tak blisko, żeby poczuł mój zapach. Otrę się piersią o jego ramię, delikatnie dotknę strategicznych punktów. Jest prymitywnym człowiekiem, a tacy zwykle łapią się na najprostsze sztuczki.

Na pewno zmięknie!

Rozmyślając tak Catherine dwa razy pomyliła się w ocenie Móriego. Po pierwsze, nie uprawiał on czarnej magii, tylko białą, a po drugie, Móriego żadną miarą nie dało się nazwać człowiekiem prymitywnym. Nauki i doświadczenie

życiowe, jakie zdobył u siry Eirikura z Vogsos i w Szkole Łacińskiej, do której uczęszczał, z pewnością dały mu więcej niż lekcje etykiety, muzyki i francuskiego pobierane przez Catherine na dworach.

Na razie jednak najważniejszy był dla niej Erling.

Erling Müller nie gonił za spódniczkami. Owszem, przeżył kilka przygód, lecz było ich mniej, niż można by się spodziewać. Zaręczony z młodziutką Carlą dochowywał jej wierności. Później, kiedy zakochał się w Tiril, także pozostawał jej wierny, dopóki nie zniknęła. Przypuszczając, że dziewczyna już nie żyje, wdał się w kilka romansów z kobietami równymi mu stanem.

Dobrze znał rutynę miłosnych podbojów i zawsze zdumiewało go, jak podobnie reagują kobiety. Z początku nieodmiennie należało spodziewać się nieśmiałości, udawanej bądź prawdziwej, potem przychodziła kolej na powolną ustępliwość, aż wreszcie z westchnieniem zadowolenia rezygnowały z wszelkiej walki i w pełni należały już do niego.

Nigdy nie zetknął się z kobietą taką, jak Catherine van Zuiden, i czuł się wstrząśnięty, przerażony i wyprowadzony w pole.

Catherine od samego początku przejęła inicjatywę. Rzuciła się na niego jak dzikie zwierzę, pociągnęła na szerokie łóżko, ujeżdżała go, śmiejąc się bez pamięci, zmuszała do zabawy w psa, wymyślała najprzeróżniejsze pozycje, które biednemu Erlingowi nigdy nawet się nie śniły. Z początku bawiło go to i ciekawiło, kiedy jednak skończył, a ona ciągle nie miała dość, przestało mu się to podobać. Wielokrotnie podczas tych uciech dochodził do wniosku, że igraszki, do jakich zmusza go Catherine, nie są godne mężczyzny, i w końcu, kiedy złapała go za jego męską dumę i zaczęła łaskotać, ze złością wyrwał się z objęć kochanki. Cóż za skandaliczne zachowanie!

Catherine uznała Erlinga za marnego amanta, a jego głęboko to uraziło. Nie przestawała chichotać, gdy się ubierał, próbując zachować resztki godności. Zdawał sobie sprawę, że nagle opuszczając jej pokój narazi się na jeszcze większą śmieszność, pochylił się więc nad nią i lekko pocałował, dziękując za upojne chwile, które w duchu nazywał zupełnie inaczej.

Ale Catherine ucieszyło jego pożegnanie. Ze łzami w oczach odpowiedziała na jego pocałunek.

Na koniec więc zachował się po jej myśli.

Najgorsze jednak, że gdy dziko swawolili w łóżku, Erlingowi przed oczami stanęła Tiril. Delikatna, bezbronna Tiril, co on jej zrobił? Razem z tą dziką z wyższych sfer?

Ta myśl położyła kres łóżkowym figlom Erlinga z Catherine.

Później zachowywał się wobec niej uprzejmie, ale z rezerwą. Dla wszystkich jednak stało się jasne, że postanowił utrzymać między nimi dystans.

Do czarta, przeklinała Catherine. Czyżbym popełniła jakiś błąd?

A przecież tak doświadczona kobieta powinna go zrozumieć. Erling Müller

był niezwykle dumnym mężczyzną, a jej się po prostu wydawało, że zwykłego kupca oszołomi możliwość zaznania miłosnych uciech z arystokratką.

No cóż, obędzie się bez takiego kochanka. I tak osiągnęła to, co chciała: zaciągnęła go do łóżka.

Teraz nadszedł czas, by zarzucić sieć na Móriego.

Często zdarzało się, że właściciele zajazdów i przypadkowo spotkani ludzie krzywo patrzyli na Móriego. Budził przerażenie swą niezwykle urodą, kojarzącą się z czymś niezmiernym, i swym przenikliwym, jakby wszytkowidzącym wzrokiem. Dobrze, że był z nimi budzący zaufanie Erling. Pomagały także naiwne, życzliwie spoglądające oczy Tiril, a nawet przykurzona elegancja Catherine przyczyniała się do tego, że czwórkę przyjaciół w końcu akceptowano. Nero, wielka, czarna bestia, odstraszał być może tych, którzy mieli ochotę zaatakować Móriego ze względu na jego osobliwy wygląd i towarzyszące mu cienie.

Czarnoksiężnik z północy Islandii miał więc dobrą ochronę.

Nie był jednak przygotowany na atak „z wewnątrz”. Catherine, po częściowej kłęsce z Erlingiem, skoncentrowała się na Mórim.

Na niewiele jednak się to zdało, Móri wydawał się całkiem odporny na jej umizgi. Cieszyło to i Tiril, która widziała, co się dzieje, i Erlinga, nie mogącego jeszcze dojść do siebie po wstrząsie wywołanym nocnymi swawolami.

Ostatniego dnia przed dotarciem do Tiveden, wielkiego pasma lasów między Wener i Wetter, postanowili przenocować w Ramundeboda. Chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o Tiveden, bo tak naprawdę te okolice były im całkiem nieznane.

Tego wieczoru Catherine przekradła się do pokoju Móriego.

Móri stał przy oknie, obserwując Tiril i Erlinga pochłoniętych grą w palanta na trawniku na tyłach zajazdu. Szczebiotliwy śmiech Tiril docierał aż do pokoju, a Móriemu krwawiło serce: Ci dwoje tak świetnie do siebie pasują. Rozbawiony Nero przez cały czas usiłował złapać piłkę.

Gdy weszła Catherine, Móri odwrócił się do niej.

— Po co przyszłaś? — spytał oschłym tonem, jeszcze mniej życzliwym niż słowa.

— Pomyślałam sobie, że mógłbyś nauczyć mnie trochę magii — odparła zakłopotana, nie spodziewała się bowiem tak bezpośredniego pytania. Oczekiwała raczej serdecznego powitania i okrzyków radości.

Spotkało ją jednak co innego. A tak starannie się przyszykowała! Codziennie przygotowywała go na ten moment, ocierała się o niego, gdy tylko nadarzyła się okazja, posyłała obiecujące spojrzenia, schlebiała, rzucała wiele mówiące uwagi, wydawało jej się, że powoli doprowadza go do obłędu. . .

A on pyta: „Po co przyszłaś?”

Móri znów odwrócił się do okna. Catherine stanęła przy nim i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie przejmuj się Erlingiem — szepnęła. — On nic dla mnie nie znaczy.

— Erling? — powtórzył roztargniony. — Co takiego z Erlingiem?

Stracił jej dłoń.

— Co się stało? — spytała uśmiechając się zalotnie. — Oparzyłeś się?

— Nigdy nie lubiłem, by ludzie z nadto się do mnie zbliżali. Nie sprawia mi to przyjemności.

Catherine nie zdołała się powstrzymać od złośliwej uwagi:

— Wygląda jednak na to, że tobie i Tiril dobrze jest razem.

Natychmiast pożałowała swych słów, a jeszcze mniej spodobała jej się odpowiedź Móriego, zwłaszcza że w jego oczach pojawił się wyraz czułości.

— Owszem, z Tiril tak. Ale jesteśmy bardzo ze sobą związani, połączyły nas wspólne przeżycia.

— O ile dobrze zrozumiałam, wyjechałeś, porzucając ją na pastwę losu — rzekła ostro.

Twarz Móriego spochmurniała.

— To wyłącznie sprawa moja i Tiril. Czego chciałaś się dowiedzieć?

Catherine musiała improwizować. Chodziło wszak o to, by zachować pozory.

— Widzisz, czasami trudno mi wybrać odpowiednią kurację. Co twoim zdaniem jest najlepsze przeciwko koszmarom sennym? Zawiesić na szyi krzywą gałązkę świerku, brzozy albo sosny, czy też wbić nóż w okrycie od spodu? Ostrze powinno wystawać i kiedy zmora się pojawi, by się na człowieku położyć, nadzieje się na nóż. Wtedy następnego dnia człowiek, który wysłał zmorę, zostanie znaleziony martwy, z nożem w piersi.

Móri patrzył na nią bez słowa, mówiła więc dalej:

— A co byś polecił na wywołanie wiatru? Czy lepiej dmuchnąć w fujarkę i zaraz zdeptać ją nogami, czy też wbić miech w ziemię, ustawić na nim beczkę, nadmuchać go powietrzem i potem gwałtownie je wypuścić?

— Dlaczego mnie o to pytasz? Przecież sama znasz odpowiedzi.

— Pytałam o twoje zdanie, bo jestem pełna podziwu dla twych czarnoksięskich umiejętności.

Móri znów wyjrzał przez okno.

— To, o czym mówisz, to norweska magia. A poza tym ten pierwszy sposób, o którym wspomniałaś, jest dla koni, nie dla ludzi. Ja posługuję się islandzkimi czarami.

— Naucz mnie ich!

— Nie. Nauka i tak poszłaby w las.

Catherine nie śmiała pytać, dlaczego. Nie chciała znać odpowiedzi.

Sięgnęła po inny sposób. Z kącika oka wycisnęła kilka łez.

— Móri, ty jedyny mnie rozumiesz, tamci są na to zbyt prości. Jestem tak rozpaczliwie samotna. I wszystkie te nauki o czarnej magii sprawiają, że w nocy dręczą mnie koszmary. Czy nie mogę zostać u ciebie na noc? Boję się spać sama w pokoju, który mi przydzielono. Wydaje mi się, że jest nawiedzony.

— Potrafisz chyba oczyścić miejsce z upiorów? Poza tym moich zaklęć nie nazywam czarną magią.

Przez cały czas nie spuszczał oka z grających. Nagle twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu.

— Przestań, Tiril, okropnie oszukujesz!

Catherine, słysząc dobiegający z zewnątrz śmiech, wpadła we wściekłość. Czy mam go dotknąć we wrażliwe miejsce? Zadawała sobie w duchu pytanie. Czy też może rozebrać się, żeby rozbudzić w nim żądze? Nie będzie mógł nad sobą zapanować, cóż za triumf!

Nie śmiała jednak ryzykować, że zostanie wyrzucona. Znow obudziła się jej nienawiść do Tiril i Catherine zaczęła snuć plan, jak pozbyć się dziewczyny raz na zawsze. Gdyby tylko nie towarzyszyła im w podróży, obaj mężczyźni należeliby wyłącznie do niej.

Znała wiele sposobów na unicestwienie wroga. Najpewniejsze były trujące rośliny. Które z nich miała wśród swoich zapasów?

Najgorsze jednak było, że bliskość Móriego już ją rozpałała. Nie mogła zapanować nad drżeniem. Całą siłą woli powstrzymywała się, by się do niego nie przytulić, taki był przystojny, taki fascynujący. Kochać się z nim to jakby obcować z kimś, kto nie jest człowiekiem, lecz boską istotą, demonem czy innym stroniącym od światła stworzeniem. Tak bardzo go pragnęła. . .

A on widział tylko Tiril. Zabije ją, postanowiła Catherine. Uczynię to na pewno, skończę z tą dziewczyną.

W tej samej chwili powietrze w pokoju pociemniało, spowił ich gęsty, szary mrok. Catherine zdrętwiała. Kątem oka coś dostrzegła, coś strasznego, ohydneho czołgało się po podłodze, ale nie pokazało się w całości. Coś innego czaiło się za jej plecami, coś olbrzymiego wznosiło się nad nią i chciało wyrządzić jej krzywdę. Zabrakło jej tchu.

— Musisz uważać na swoje myśli, Catherine — powiedział Móri, nie odwracając się. — Teraz najlepiej będzie, jak sobie pójdziesz. A jeśli kiedykolwiek tkniesz Tiril, czeka cię straszliwa, powolna śmierć.

Catherine zacisnęła powieki, żeby nie patrzeć na to, co ją otaczało, po omacku dotarła do drzwi, otworzyła je i zamknęła za sobą z głośnym trzaskiem.

— Dziękuję! — Móri odwrócił się w stronę pustego pokoju. — Dziękuję za pomoc!

— Z tą piękną modliszką sam byś sobie poradził — usłyszał głos swego nauczyciela: — Wiemy jednak, że twoim czułym punktem jest Tiril. Czuwamy więc nad nią. Dla ciebie.

— Jeszcze raz wam dziękuję. Nie zasłużyłem na jej wierność ani na waszą pomoc.

— To prawda, nie zasłużyłeś. A teraz żegnaj!

Znów zostałem sam.

— Boże — szepnął. — Jak mogłem tak zagmatwać swoje życie?

Catherine, łkając z przerażenia i gniewu, pobiegła prosto do swego pokoju i z płaczem padła na łóżko.

Cóż za nieprawdopodobnie potężny czarnoksiężnik, myślała, czując, jak żal ścisła jej serce. W jaki sposób zdołał wywołać tę ostatnią iluzję? W dodatku to nie pierwszy raz, poprzednio było tak samo, kiedy chciałam zaatakować to przeklęte zero.

Ale on jest taki wspaniały! Pragnę go dotykać, przycisnąć się do jego bioder, poczuć, że mnie pożąda, zerwać z niego pelerynę i zobaczyć go takim, jakim jest naprawdę!

Podniecenie ogarnęło ją, jeszcze zanim weszła do pokoju Móriego. Teraz nie mogła dłużej nad sobą zapanować, ściągnęła suknię i sama się zaspokoila. Ciało miała tak rozpalone, że nastąpiło to prawie natychmiast.

Z jękiem opadła na poduszki.

— Ale ja go zdobędę! Będzie jadł mi z ręki, zebrał o moje względy, padnie mi do stóp i zapomni na zawsze o przeklętej Tiril, porzuci ją gdzieś po drodze i dalej pojedzie tylko ze mną. Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Rozdział 8

Gospodyni prowadząca zajazd wiele wiedziała o Tiveden.

O zmierzchu zasiedli wraz z nią w ogrodowej altanie. Chętnie dzieliła się z gośćmi wiadomościami.

Catherine „wybaczyła” Móriemu jego wcześniejszy chłód, Tiril i Erling zakończyli grę w palanta, w przeciwieństwie do Nera, który z najlepszą w zajazdzie szmacianą piłką w zębach zachęcał Erlinga do dalszej zabawy.

W końcu udało im się jakoś uspokoić rozdokazywanego psa i mogli skupić się na rozmowie.

— Tak, tak, Fagertärn! Położone jest stąd na południe, bliżej Wetter. Byłam tam kiedyś, leśna dróżka biegnie niemal tuż nad jeziorem. Ale jest prawie niewidoczna. W Tiveden łatwo zabłądzić.

— Sądzi pani, że zdołamy ją sami odnaleźć? — spytał Móri. — A potem trafić do jeziora?

Właścicielka zajazdu popatrzyła mu w oczy i przeniknęła ją dreszcz. Czyżby Szatan we własnej osobie wstąpił na Ziemię, by swą nieodpartą urodą uwodzić jej mieszkanki? Dyskretnie mu się przyjrzała. Nie, nie widać kopyt ani ogona. Ale pewnie potrafi je dobrze zamaskować.

Ponieważ jednak drugi mężczyzna — przystojny młody człowiek, sympatyczna panienska i ekstrawagancka baronówna zdawali się w pełni akceptować swego niezwyklego towarzysza, należało chyba przypuszczać, że jest on człowieczego rodu.

— Nie wiem — odparła niepewnie. — Może lepiej, aby poprowadziło was jeszcze dwóch mężczyzn. Z Tiveden nie ma żartów. Głębokie lasy wiele w sobie kryją.

Umilkła zamyślona, tylko raz po raz zerkała przez ramię na Móriego.

— Zwierzęta? — cicho zapytał Erling.

— Owszem, są tam dzikie zwierzęta i rozbójnicy, uciekający przed prawem. I wiele innych stworzeń, o których nie należy mówić głośno. . .

Podniosła głowę.

— Przyjechaliście z tak daleka tylko po to, by zobaczyć kilka marnych lilii wodnych?

— Właściwie nie — wyznała Tiril. — Szukamy czegoś innego, ale przy okazji wspomniano o tych kwiatach.

— A czegoż innego chcecie szukać w Tiveden? — zdziwiła się gospodyni.

Tiril uśmiechnęła się niepewnie.

— Tej nocy, kiedy przyszedłam na świat, o liliach wspomniała moja matka. Widać pani, pragnę dowiedzieć się czegoś o moim prawdziwym pochodzeniu. Pomagają mi przyjaciele. Mamy dwa ślady, które prowadzą tutaj, do Tiveden. Pierwszy to dwa kawałki pewnej figurki. Drugi, oprócz lilii wodnych, o których już mówiliśmy, to dwa słowa wypowiedziane przez moją matkę. Osoba, która je usłyszała w noc moich narodzin, nie pamięta ich całych. Jedno zaczynało się od „tistel”.

Gospodyni popatrzyła na dziewczynę z niedowierzaniem.

— Nie, to niemożliwe, na pewno nie o to chodzi — uznała wreszcie.

— Tak właśnie nam powiedziano.

— Tistelgorm?

— Możliwe.

Przysunęli się bliżej z zaciekawieniem. Zaintrygował ich wyraz twarzy kobiety. Malowała się na niej niepewność, jakby nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Catherine szepnęła spięta:

— Tę nazwę wymieniła Kaja.

— Tistelgorm? Ależ to przecież tylko legenda!

Przemówił Móri, z naciskiem i żądaniem w głosie. Gdy odzywał się w taki sposób, nikt nie mógł mu się oprzeć.

— Czy moglibyśmy usłyszeć tę legendę? Zechce nam pani ją opowiedzieć?

Gospodyni wzruszyła ramionami.

— Owszem, ale to do niczego was nie zaprowadzi.

— Po pani mowie poznaję, że jest pani wykształconą i odcytaną damą — rzekł Móri. — Czy może nam pani opowiedzieć wszystko, co pani wiadomo na temat Tistelgorm? To nazwa jakiegoś miejsca, prawda?

— Tak.

Usiadła wygodniej, słowa Móriego wyraźnie ją ucieszyły.

— Jeśli mam wam wszystko opowiedzieć, to musimy się cofnąć daleko w czasie. Pamiętajcie jednak, że to tylko legenda. Z Tiveden wiąże się wiele niesamowitych opowieści i mitów.

— To nam bardzo odpowiada — powiedziała Tiril. — Bardzo lubimy historie, o których nie do końca wiadomo, czy zostały wymyślone, czy też tkwi w nich ziarenko prawdy.

— Dobrze, jak sobie chcecie!

Poleciała służącej przynieść coś dobrego do jedzenia i picia, a potem w łagodny letni wieczór zaczęła snuć opowieść o Tistelgorm.

— Dawno, dawno temu, tak dawno, że zapomniano już, w którym stuleciu to było, żył niemiecki hrabia von Tierstein. Zaprzedał duszę diabłu, uprawiał czarną magię...

— To znaczy czarnoksiężnik — wtrąciła Catherine. Móri zerknął na nią z ukosa.

— Można go tak nazwać. Znał się na tym doskonale, dokonał wielu niesamowitych rzeczy. Ów hrabia miał trzech synów. Syn jednego z nich nosił imię Rudolf i wzenił się w ród Habsburgów. Poślubił Itę, córkę grafa Wenera Pierwszego z Habsburgów. Wiecie zapewne, że z upływem czasu pozycja Habsburgów stawała się coraz mocniejsza, zostali cesarzami.

Pokiwali głowami, nie wspomnieli jednak, że Tiril prawdopodobnie wywodzi się z tego właśnie rodu.

— Ale to była tylko dygresja — ciągnęła wykształcona właścicielka zajazdu. — Wróćmy do uprawiającego czary hrabiego von Tierstein. Drugi z jego trzech synów poślubił szwedzką księżniczkę, wnuczkę jednego z naszych pierwszych królów, nikt nie potrafi z całą pewnością powiedzieć, którego. To bardzo stare dzieje, sądzę, że cofnęliśmy się do okresu między dziesiątym a dwunastym wiekiem, ale trudno to dokładnie ustalić. Małżonkowie, syn hrabiego z Niemiec i jego szwedzka księżniczka, wybudowali zamek, podobno niedaleko od Fagertärn.

— W Gôrtiven? — spokojnie zapytał Erling.

Gospodyni natychmiast skierowała wzrok na niego.

— Skąd znacie tę nazwę, panie?

— Tak brzmiało drugie słowo, które moja matka powiedziała akuszerce — wyjaśniła Tiril. — Nie mogliśmy doszukać się w nim żadnego sensu, dopóki ktoś nie wspomniał, że tak nazywa się najbardziej niebezpieczny rejon Tiveden.

— W istocie — potwierdziła gospodyni. — To najbardziej niedostępna część lasów. Nie poszłabym tam za nic w świecie!

— Dlaczego jest taka niebezpieczna? — chciał wiedzieć Móri.

— O, przyczyn jest wiele! Niezwykle trudno tam dotrzeć. Podobno trolle i olbrzymy zabawiały się kiedyś rzucaniem i usypywaniem w stopy ogromnych kamiennych bloków. Ale to nieprawda, bo w Tiveden nie ma trolli. Są tylko boginki, strzygi, upiory i rozmaite duszki, istoty związane ze światem przyrody. Ale trolli i olbrzymów nie ma, one należą do świata baśni.

— To bardzo mądre, właściwe rozróżnienie — rzekł z uznaniem Móri.

— Dziękuję — pokraśniała z zadowolenia. — No cóż, Gôrtiven... Niektórzy zmieniali tę nazwę na Trolltiven, ale nie mieli racji. Gôrtiven to nieprzyjazny teren, zamieszkały przez duchy przyrody, poza tym grasują tam dzikie zwierzęta, wilki i niedźwiedzie.

Tiril z lękiem zerknęła na Nera. Może lepiej go tu zostawić?

Móri pokręcił głową.

— Nie bój się o niego. Poza tym nie wiadomo, czy będziemy wracać tą samą drogą. Proszę mówić dalej!

— Dobrze — gospodyni podjęła opowieść. — Syn hrabiego, który osiedlił się w tutejszych lasach, odziedziczył po ojcu zainteresowania wiedzą tajemną. Powiadają, że zamku nie zbudowały ludzkie ręce, pomogli w tym niewidzialni mieszkańcy Tiveden.

Tiril uznała, że historia zaczyna robić się straszna.

— A trzeci syn? — dopytywała się Catherine.

— Nie znam jego imienia, ale podobno osiadł gdzieś na północy Niemiec albo w południowej Danii, a jacyś jego potomkowie przez małżeństwa noszą nazwisko Wetlev. Nie są szlachcicami, zresztą ta gałąź rodu już raczej wymarła.

Catherine pokiwała głową. Spodziewała się, że prędzej czy później natrafią na jakiś związek z „jegomościem”, Gustafem Wetlevem.

— Trudno sobie wyobrazić, by w bezludnych, nieprzejezdnych lasach stał zamek — zauważył Erling.

Gospodyni uśmiechnęła się.

— Bo wcale tak nie jest. Nikt go nie widział, chociaż twierdzi się, że człowiek obdarzony odpowiednim wzrokiem może go ujrzeć nocą podczas pełni księżyca. Ja w to nie wierzę.

Móri rzekł najłagodniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

— Nie opowiedziała nam pani jeszcze całej historii zamku Tistelgorm.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

— Skąd możecie to wiedzieć?

— Proszę mówić — odparł tylko Móri.

— Podobno hrabia von Tierstein, ojciec trzech braci, podarował synom klucz, otwierający dostęp do dwóch tajemnic. Do niezmiernych skarbów, pochodzących z jego wypraw łupieżczych w wielu krajach. . .

— Jak mógł dać trzem synom jeden klucz? — spytał Erling.

— Tego nie wiem — odrzekła gospodyni. — Owszem, to brzmi dość dziwnie, ale legenda wspomina tylko o jednym kluczu.

Popatrzyli po sobie, teraz już wiedzieli, czym naprawdę była mała figurka demona.

Nie zastanawiali się dłużej nad kluczem, bo gospodyni kontynuowała swą opowieść:

— Jak to często bywa, między braćmi zapanowała nieprzyjaźń, każdy też osiadł w innym kraju i podobno skarbu nigdy nie odnaleziono.

Czworo przyjaciół w milczeniu pokiwało tylko głowami. Przypuszczali, gdzie może się znajdować trzecia część kamiennej figurki.

Jeden z synów wzenił się w austriacki ród Habsburgów. Stamtąd pochodziła częśćka figurki, którą matka Tiril przekazała córce w spadku. Drugą część Cathe-

rine zabrała z domu Mai i Kai. Miał ją przy sobie Gustaf Wetlev, który wyruszył w drogę do Tiveden.

Czy po to, by odnaleźć fragment należący do trzeciego, złego brata, czarno-księżnika?

Trzy części klucza, podarowanego trzem braciom w zamierzonych czasach, miały się więc teraz, po wielu stuleciach, nareszcie połączyć.

Ale gospodyni twierdziła, że zamek, Tistelgorm, nigdy nie istniał.

Oni byli innego zdania.

Znajdował się wśród nich człowiek obdarzony niepowседневną mocą: Móri. Jeśli ktokolwiek mógł ujrzyć zaklęty zamek, to tylko on.

Świadczyła o tym zwłaszcza odpowiedź na kolejne zadane przez Erlinga pytanie.

— Wspomniała pani o dwóch tajemnicach, do których drogę otwierał ów klucz?

— Tak — odparła gospodyni i zadrżała zdjęta nagłym chłodem, chociaż wieczór był ciepły. Nad jej głową z piskiem, jakby wystraszona, przeleciała jaskółka. — Oprócz wielkich bogactw kryło się tam coś jeszcze. Jak już wspominałam, zarówno ojciec, jak i najmłodszy syn, który osiedlił się tutaj w Szwecji, znali się na czarach. Podobno ojciec pozostawił jakąś straszną rzecz, mającą związek z wiedzą tajemną.

Zniżyła głos do szeptu. Przyjaciele zerknęli na Móriego, ale jego twarz pozostawała nieruchoma, jak wyrzeźbiona w kamieniu.

Na chwilę zapadła głucha cisza, w końcu jednak Catherine otrząsnęła się z zamyślenia:

— Ale spodziewam się, że na pytanie, gdzie ukryty został skarb, nie otrzymamy odpowiedzi?

— Pewnie nie — westchnął Erling. — Prawdopodobnie leży gdzieś w Niemczech. W Tierstein? Ciekawe, gdzie to jest. Skarb musi znajdować się w miejscu, gdzie mieszkał ojciec.

— Nie ma co się nad tym zastanawiać — stwierdziła Tiril. — Mnie osobiście nie interesują żadne skarby. Chcę się tylko dowiedzieć czegoś o moim pochodzeniu.

— Ja nie miałabym nic przeciwko bogactwom — rozmarzyła się Catherine. — Moja garderoba zaczyna się już wydzierać, nie zawsze też można liczyć na zaproszenie na obiad zakrapiany winem.

Móri uznał, że dość już powiedzieli.

— Przede wszystkim musimy odnaleźć Tistelgorm, zamek, o którym wspomniała matka Tiril.

Z wdzięcznością przyjęli propozycję wynajęcia ludzi, którzy będą ich eskortować przez leśne bezdroża. Udziałem w wyprawie zainteresował się sam właściciel

gospody, równie uczony jak jego małżonka. Zamierzał wziąć ze sobą najsprytniejszego parobka.

Kiedy udawali się już do swoich pokoi na spoczynek, Tiril zauważyła nieśmiało:

— Wiecie, coś mi się tu nie zgadza.

— Co takiego? — zainteresował się Erling.

— Jedna z części klucza miała znajdować się w posiadaniu Habsburgów, rodu mej matki, a ona przecież powiedziała akuszerce, że to „pamiątka po ojcu dziecka”! Jak to się łączy?

Przystanęli w korytarzu, rozmyślając.

— Ech, nie róbmy tej sprawy jeszcze bardziej zawikłaną, niż jest w rzeczywistości! — wzruszyła ramionami Catherine. — To przecież nieistotne! Spróbujmy najpierw odnaleźć zaginiony zamek!

— To wcale nie jest nieistotne — zaproponował Erling. — Jeśli to ojciec Tiril wywodził się z Habsburgów, kim wobec tego była jej matka?

— Nie, nie, źle myślicie — wstrzymał ich Móri. — Tiril, pamiętasz naszą wizytę u akuszerki w Christianii? Podała ci paczuszkę, obwiązaną aksamitem, mówiąc, że dostała ją od twej matki, która wyjaśniła jej, że to pamiątka po twoim ojcu.

— Tak.

— Pamiątką po ojcu mógł równie dobrze być naszyjnik. Matka mogła otrzymać go od niego w prezencie i chciała przekazać córce.

— Masz nację — zgodził się z nim Erling. — Już sam fakt, że wzięła go ze sobą podczas potajemnego wyjazdu do Christianii, świadczy o tym, że miał on dla niej szczególne znaczenie. A nazwa Tistelgorm łączyła się z pewnością z wyjaśnieniem na temat figurki-klucza. Pamiętajcie, akuszerka nie znała języka matki Tiril. Wyłapała zaledwie kilka słów.

— Tistelgorm to absurdalna nazwa dla zamku — stwierdziła Catherine. — Co to ma znaczyć?

— To po szkocku — wyjaśnił Erling, który w związku ze swym zajęciem wiele jeździł po świecie. — O ile dobrze pamiętam, w Szkocji jest miejscowość o takiej nazwie, Thistlegorm. Ale nie twierdzą tego z całą pewnością.

— Szkocja? — jęknęła Catherine. — Czyż nie dość już krajów zamieszanych jest w tę historię? Czy to ma znaczyć, że będziemy musieli objechać cały świat w poszukiwaniu tych nieciekawych rodziców Tiril?

— Z pewnością nie będzie to konieczne. — Erling przemówił tonem tak surowym, że Catherine się zaczerwieniła. — Powinnaś jednak wiedzieć, że rody książęce zawierały małżeństwa wyłącznie między sobą. W całej Europie utworzyły w pewnym sensie sieć. Nie wiem, dlaczego zamek w Tiveden otrzymał szkocką nazwę, i pewnie się tego nigdy nie dowiemy, zbudowano go wszak przed setkami lat. Ale chodźmy już spać! Jutro czeka nas ciekawy dzień.

Wszyscy się z nim zgodzili. Udali się na spoczynek, tej nocy każde zasnęło w swoim pokoju.

Las czekał.

Kto dobrze wsłuchał się w nocną ciszę, mógł usłyszeć potęgający się i opadający szum boru.

Nigdy dotąd do owianego legendą Tistelgorm nie wyprawiał się człowiek, który miał do tego większe prawo. Prawowity dziedzic ukrytych, wymyślonych bądź rzeczywistych skarbów, nie zapuścił się jeszcze w leśną głębinę.

Tiveden szumiało i szeptało. Falujący, rozhuśtany chór rozbrzmiewał głośniejsze, to znów cichł. Król lasu, łoś, podniósł przystrojony potężnymi łopatami rogów łeb i nastawił uszu. W pięknych czarnych oczach zwierzęcia błysnął strach.

Łoś znał wszystkie zamieszkujące las stworzenia, i te żywe, i te, które nie ukazywały się ludziom podróżującym przez jego królestwo.

Łoś wiedział.

Ludzie go nie obchodzili. Gdy zachowywali ostrożność, cało i zdrowo udawało im się przejść przez knieje. Gdy nie poddali się prawom Tiveden, zjawiały się istoty, za których sprawą zaczynali błądzić po bezkresnych leśnych połaciach, zapuszczając się coraz głębiej...

Potem nikt już ich nie widział. Las czekał. W ciężkim poszumie koron drzew rozbrzmiewał złowróżbny ton.

Rozdział 9

Jeszcze nie zniknęła z listków poranna rosa, kiedy spora grupa ludzi wyruszyła z zajazdu. Pojechali starą Mnisią Ścieżką z klasztoru w Ramundeboda.

Rozpoczęła się podróż przez Tiveden.

Przed opuszczeniem tych lasów wiele miało się zmienić, czekały ich wstrząsające przeżycia, nikt nie wyszedł stamtąd bez uszczerbku na duszy.

W to jednak Tiril nigdy by nie uwierzyła, kiedy o poranku śmiała się głośno, dając wyraz swej radości życia, podniecona czekającą ich przygodą.

Catherine ogarnął zapał myśliwego. Kusily wielkie skarby, a ponadto dowiedziała się, że rejonu Tiveden strzeże niezwykle męski i ponętny leśnik. Od razu nabrała na niego ochoty. Z Erlingiem sprawa była już zakończona, a przy Mórim czuła się mała i niepozorna. To nowe, nieprzyjemne doświadczenie dla dumnej baronówny.

Teraz potrzebowała prawdziwego mężczyzny!

Niezmordowany Nero biegł przed końmi. Erling, widząc cel na horyzoncie, poczuł przyptyw energii. Pieniądze i bogactwo zawsze miały dla niego spore znaczenie, rozmyślał więc szczególnie o ukrytych skarbach, ciekaw, czy istnieją naprawdę, czy też są tylko wytworem ludzkiej fantazji.

Móri milczał nieswój. Jako jedyny przeczuwał, co może ich spotkać w zakętym lesie. Obecność jego przerażających towarzyszy była jeszcze bardziej wyraźna niż zwykle, wszyscy zwrócili na to uwagę. Nie wszyscy wprawdzie o nich wiedzieli, lecz uważali, że orszak wydaje się znacznie większy, niż był w rzeczywistości.

Tiril i Móri już wielokrotnie słyszeli podobne komentarze. Ludzie twierdzili, że w otaczającym ich powietrzu coś się czai, nie potrafili jednak tego zdefiniować. Móri dobrze znał owo uczucie niepokoju, winni mu byli jego niewidzialni towarzysze, lecz tym razem i jemu dawało się ono we znaki bardziej niż kiedykolwiek. I im widać nie podobała się ta wyprawa.

— Uważajcie na Tiril — poprosił cichutko, tak aby nie usłyszał go nikt z żyjących.

Nie doczekał się żadnej wyraźnej odpowiedzi, usłyszał tylko delikatny szum.

Parobek Arne, nieśmiały, a jednocześnie otwarty chłopak, przyglądał się Catherine z nieskrywanym podziwem. Nie zepsuj i jego, pomyślał Erling z gniewem. Dostyc już miał wybryków baronówny. Po wspólnie spędzonej nocy uciekał od niej jak od zarazy.

— Czy wierzy pan w legendę o Tistelgorm? — spytała Tiril. Po ciągle dość szerokiej Mnisiej Ścieżce jechała koło właściciela zajazdu, Tobiasa Fredlunda.

— Hm — mruknął Fredlund. — Ta historia fascynowała mnie od zawsze; z radością więc się do was przyłączyłem. Nie mam jednak pojęcia, w którym miejscu Görtiven miałby leżeć zamek. W tym zaklętym lesie możemy tylko na oko obrać kierunek.

— To znaczy, że rejon Görtiven jest spory?

— No cóż... Tak się wydaje, kiedy już się tam jest. Wystarczy kilka chwil, żeby zabłądzić.

— Mówi pan, że to zaklęty las? Pewnie z Tiveden łączy się wiele legend?

— Jeszcze ile! Opowiedzenie ich wszystkich zajęłoby cały dzień. Większość mówi o boginkach, o wodnicy i małym ludku, który wygląda zza pni. Będziemy też przejeżdżać przez wiele nawiedzonych miejsc. Najbardziej przerażająca jest jednak opowieść o Tistelgorm.

— Pewnie wielu podróżnych zniknęło w tych lasach? — spytał jadący z nimi Erling.

— O, tak — odparł Fredlund. — Wielu przepadło i wszelki śluch po nich zaginął. Niektórzy ukazują się jako duchy.

Erling zamyślił się i podjechał bliżej.

— Nie wspominaliśmy jeszcze o tym, lecz mamy szczególne powody, by odnaleźć Tistelgorm.

— Jakże?

Pokazali mu dwa kawałki kamiennej figurki.

— Cóż to, na miłość boską, jest? — zdumiał się gospodarz.

Erling wyjaśnił, w jaki sposób kawałki znalazły się w ich posiadaniu i jak doprowadziły ich do Tiveden.

Fredlund odrzekł zaskoczony:

— Rzeczywiście znam legendę o „kluczu”, który hrabia von Tierstein wręczył swoim trzem synom. Zawsze mnie ona zastanawiała. Teraz nareszcie zrozumiałem. Hrabia rozłupał klucz, tę okropną diabelską figurkę, na trzy części i dał po jednej każdemu synowi. Dziwne, że do tej pory kawałków nie połączono w całość!

— Brakuje nam trzeciej części.

— To prawda, lecz gotów jestem przysiąc, że znajdziecie ją tutaj, jeśli Tistelgorm naprawdę istnieje. Teraz poszukiwanie zamku będzie jeszcze bardziej emocjonujące!

Zdradzili mu kilka dodatkowych szczegółów, wyjawili, jaką rolę Tiril odgrywa w całej sprawie i skąd Catherine ma drugi kawałek statuetki demona.

— Sądzę, że wyciągnęliście słuszne wnioski — przyznał Tobias Fredlund. — Jasne jest, że wszystkie drogi prowadzą tu, do Tiveden. Wasza historia sprawia, że Tistelgorm staje się bardziej realne. Właściwie zaczynam wierzyć, że zamek istnieje!

— Nigdy go pan nie widział?

— Nie, chociaż szukałem od dzieciństwa. Dla małych chłopców to niezwykle emocjonująca opowieść. Ojciec zawsze mi towarzyszył, bo dzieci nie powinny samodzielnie wypuszczać się do tego lasu. Szukaliśmy więc obaj. Niestety, żaden z nas nie miał predyspozycji, by ujrzeć zamek. Nawet w blasku księżyca.

— Jest z nami ktoś, komu być może się to uda — cicho powiedział Erling.

— Domyślam się — rzekł Fredlund. — Powiedzcie, czy tylko mnie się wydaje, że on przybył z najmroczniejszych otchłani, ciągnąc za sobą całą sforę psów piekielnych? Nie, nie za sobą, ze sobą!

— Nie, nie tylko panu — potwierdziła Tiril. — Ma pan rację, rzeczywiście towarzyszy mu ktoś, lecz nie są to istoty piekielne. Móri pewnego razu zawędrował w odległe światy i przywiódł je ze sobą. Ale może pan być spokojny, one nic panu nie zrobią. Towarzyszą mu, by nad nim czuwać, a jednocześnie go pilnują. Jeśli przekroczy pewne granice, zabiorą go do siebie. Nas nie tkną.

— Widziałaś je, Tiril? — z niedowierzaniem spytał Erling.

Zawahała się.

— Tak. Ale nie wspominajcie o tym Móriemu! On nic nie wie.

Erling uśmiechnął się szeroko.

— Potrafisz mieć jakieś tajemnice przed Mórim, Tiril? Tego się nie spodziewałem.

— Co on takiego zrobił, że się go uczepliły? — zainteresował się Fredlund.

Tiril westchnęła.

— Nie wiem, ile wolno mi zdradzić.

— E, to w niczym nie zaszkodzi — doszedł do wniosku Erling. — Chodziło o tę magiczną księgę, „Rödskinne”, prawda? I jakiegoś biskupa, jak to się on zwał?

— Gottskalk Okrutny — odrzekła Tiril. — Widzi pan, panie Fredlund, Móri i jeszcze jeden młody chłopak postanowili wskrzesić z martwych złego biskupa właśnie po to, by zdobyć „Rödskinne”. Tego drugiego spotkał straszny los, bo on był bardziej aktywny. Móriemu także ułożyło się nie najlepiej.

— Chcecie powiedzieć — Fredlund nie wierzył własnym uszom — chcecie powiedzieć, że udało im się wskrzesić zmarłego?

— I to nie jednego! Wielu biskupów powstało z grobu. To wydarzyło się na Islandii. Pojechałam tam i odnalazłam Móriego, stojącego już jedną nogą w grobie.

Fredlund wystraszony obejrzał się do tyłu na Móriego.

— Jesteście pewni, że on żyje? Moim zdaniem wygląda raczej jak Śmierć we własnej osobie.

— Nie pan pierwszy to mówi — uspokoiła go Tiril. — Sama nazywam go Aniołem Śmierci. Ale to bardzo dobry, samotny i nieszczęśliwy człowiek. Nie prosił o to, by urodzić się czarnoksiężnikiem. Ponieważ jednak okazał się obdarzony niezwykłymi zdolnościami, postanowił je wykorzystać jak najlepiej.

— Wyobrażam to sobie! A może należałoby raczej powiedzieć: jak najgorzej?

Opuścili Ramundeboda. Nigdzie nie widać już było domów. Wjechali w Tiveden.

Jak na razie Tiveden wydało się Tiril całkiem zwyczajnym lasem, ale też znajdowali się dopiero na jego skraju.

Ścieżka wciąż jeszcze była dostatecznie szeroka, by mogli jechać obok siebie. Erling zwrócił się do Fredlunda:

— Chciałbym pana jeszcze ostrzec, że Móri nie chce mieć nic wspólnego z owymi dwoma kawałkami figurki demona, które wieziemy ze sobą.

— Ach, tak? A to dlaczego?

— Twierdzi, że otacza je aura zła. Jest zdania, że powinniśmy zaniechać tej wyprawy.

— A mimo wszystko bierze w niej udział?

— Oczywiście! Czuwa nad Tiril. I nade mną. Jesteśmy jego jedynymi przyjaciółmi.

Fredlund zniżył głos.

— A baronówna?

— O, ona jest z nami na doczepkę. Staramy się utrzymywać z nią przyjacielskie stosunki, a ona — poróżnić nas. Co prawda bez powodzenia. Wiemy jednak, że i w niej tkwi dobro, chcielibyśmy je z niej wydobyć.

— A jakie jest twoje zdanie na temat tej statuetki, panie Müller?

— Moje? No cóż, ja dostrzegam jedynie dwa kawałki pokracznej figurki.

— Ja także. Z pewnością zauważyłeś jednak, że te wystające krawędzie mogłyby pasować do jakiejś dziurki? Na uparte go można by powiedzieć, że do dziurki od klucza. Rzecz jasna brakuje co najmniej jednej wypustki.

— Owszem, nawet już o tym rozmawialiśmy.

Fredlund podniósł głowę i popatrzył przed siebie. Na jego twarzy malowało się zdecydowanie. Postanowił odnaleźć tajemniczy zamek.

Wkrótce opuścili porośnięte sosnami piaski i wszyscy musieli się pochylić pod gałęziami pierwszych świerków.

Na co my się właściwie porywamy? — myślała Tiril.

Tiveden zamknęło się wokół nich.

Niesamowity las! Taki... mistyczny. Przeróżający. Żywy!

Pierwsze wrażenie dziewczyny nie było przyjemne, chociaż zachwyciło ją także niezwykle piękno tej krainy. Tiril jednak nie miała nastroju, by się nim napawać.

Catherine podjechała do właściciela zajazdu.

— Proszę mi opowiedzieć o leśniku — zagruchała. — Gdzie on mieszka?

— Ten leśnik ciągle jej w głowie — szepnęła Tiril Erlingowi.

— Głowa nie jest chyba tą częścią ciała, o którą chodzi — prychnął w odpowiedzi. — - Miejmy jednak nadzieję, że go spotkamy, może uwolnimy się od niej na jakiś czas.

— Pokój z nią — syknęła Tiril przez zęby. Jechali obok siebie przez polaną zaścieloną sosnowymi szpilkami. Erling położył rękę na kolanie Tiril.

— Dobrze się miewasz, moja droga?

Ucieszyła się jego troskliwością.

— Wyśmienicie, Erlingu. Wszystko jest takie ciekawe! Brakuje mi tylko domu.

— Ja dam ci dom.

Do licha! Że też skierowała rozmowę na ten temat! Uśmiech, jakim mu odpowiedziała, wypadł blado.

Gawędząc, jednym uchem przysłuchiwali się przenikliwemu głosowi Catherine i spokojnym odpowiedziom Fredlunda. Wyjaśnił baronównie, że leśnik jest cudzoziemcem, kawalerem, i mieszka w przeciwległej części Tiveden, a więc tam, dokąd teraz zmierzali.

— Wspaniale! — Catherine bardzo się ucieszyła.

Ty suko, pomyślała Tiril. Ale rób co chcesz.

Słońce przeświecające przez korony wysokich drzew ogrzewało brunatną Ziemię, krzewinki i korzenie tworzyły na niej coraz to piękniejsze wzory. Wkrótce jednak las, stał się bardziej gęsty. Na razie wciąż jechali po mniej więcej równym terenie. Ale Fredlund już wcześniej przestrzegał, że w Gôrtiven jazda będzie o wiele trudniejsza. Nierówne podłoże, pełne zdradliwych głębokich rozpadlin, mokradeł i jezior, stromych pagórków, a przede wszystkim „kartaczy olbrzymów” — wielkich bloków skalnych porzrzucanych tu bezładnie przez lodowiec.

Cieszyli się więc, że przynajmniej na razie jazda nie sprawia kłopotów.

Tiril odwróciła się, by spojrzeć na Móriego.

Jego zachowanie nie dodawało otuchy. Jechał z podniesioną głową, z twarzą zwróconą ku koronom drzew. Malowała się na niej złowieszcza czujność.

Nie podoba mu się ta podróż przez las, pomyślała. A jakie niebezpieczeństwo może się tu kryć? Drzewa nie stanowią chyba żadnego zagrożenia? Fredlund ostrzegał nas przed drapieżnikami, ale jedziemy tak liczną grupą, że nie ośmielią się nas zaatakować. Ich nie musimy się bać.

Fredlund podkreślił „ich”. Co innego więc miał na myśli?

Jeszcze raz zerknęła na Móriego i wyraz jego twarzy wcale jej nie uspokoił.

Nagle Fredlund się zatrzymał. Zeskoczył z konia i podniósł z ziemi kilka gałązek. Przy ścieżce leżał usypany stos gałęzi, on dorzucił tam swoje.

— Co to ma znaczyć? — dopytywała się Catherine.

— To ofiara. W takich miejscach zginęli ludzie. To był akurat zbiegły żołnierz. Wszyscy powinniście coś rzucić na stos, gałązki albo kamienie, by upewnić się, że duch zmarłego nie będzie nas prześladować.

Tiril pytająco popatrzyła na Móriego. Kiwnął głową, zsiadł więc z koni. Nero źle zrozumiał ich zachowanie, potraktował je jako wesołą zabawę w aportowanie patyków, w końcu jednak przekonali go, że rzucane przez nich gałązki powinny zostać na stosie.

Podczas jazdy bezustannie czuwali, aby Nero zawsze był w pobliżu. Bali się, by nie zaczął tropić zwierzyny.

Po jakimś czasie dotarli do miejsca, w którym stał, jak nazwał go Fredlund, Kamienny Ołtarz. Zarządził tam postój, by ludzie i zwierzęta mogli odpocząć.

Kamienny Ołtarz był ogromnym blokiem z szaroróżowego kamienia. Z jego szczytu mnisi zwykli odprawiać nabożeństwa dla okolicznych mieszkańców. Wędrowcy usadowili się w cieniu, rozpakowali przygotowany przez panią Fredlund obfity prowiant, w którym znalazło się także wino. Posiłek na trawie smakował wybornie. Wszyscy się rozprężyli, nawet Móri.

Wraz z końcem postoju nadszedł także kres pogodnej części ich wędrówki.

Słońce dawno już minęło najwyższy punkt na niebie, w lesie pomrocniało, wszystko dokoła zrobiło się nagle bardziej ponure, straszniejsze.

Móri coraz częściej przerażał Tiril nagłym odwróceniem głowy, jakby dochodziły go niepokojące dźwięki z głębi lasu, i pochmurnym spojrzeniem, jakby na ścieżce dostrzegał coś, czego nie widzieli inni.

W końcu podjechała do niego i popatrzyła pytająco. Znali się już tak dobrze, że nie potrzebowała nic mówić. I tak wiedział, o co jej chodzi.

— Wiele złego się tu wydarzyło, Tiril — powiedział cicho, aby nikt oprócz niej go nie słyszał. — Spokojnych wędrowców napadali rozbójnicy. Zbłąkane dzieci bywały porywane przez dzikie zwierzęta. Ludzie marli z głodu. Samotność, strach...

— Rozumiem — rzekła cichutko. — Mój drogi przyjacielu, tak mi przykro, że musisz tego wszystkiego doświadczać! Czy ty ich widzisz?

— Widzę albo słyszę, czasem po prostu wyczuwam.

— Czy są tu upiory?

— O, tak! Ciesz się, że nie masz zdolności, by je zobaczyć!

Nadeszła odpowiednia chwila, by opowiedzieć Móriemu o wieczorze w Bergen, kiedy ujrzała nie tylko kobietę-zjawę, lecz także jego wszystkich straszliwych towarzyszy. Pomógł jej w tym specjalny magiczny znak.

Catherine uniemożliwiła to jednak, zanim jeszcze Tiril zdążyła otworzyć usta.

— O czym wy tak bez przerwy szepczecie? — spytała zniecierpliwiona. — Czy nie możemy dołączyć?

Móri posłał jej tylko krzywy uśmiech i zaczął rozmawiać z innymi.

Tiril nie zdawała sobie sprawy, że wciąż bał się zazdrości Catherine. Nawet przez chwilę nie ufał norweskiej czarownicy.

Chwilę później jego wzrok spoczął na drobnej postaci przyjaciółki. Czułość i oddanie bijące z jego oczu ogrzałyby jej serce, poczułaby się całkiem bezpieczna.

Nie widziała jednak tego spojrzenia.

O dziwo, niekiedy trafiali w gęstym lesie na ślady zabudowy. Fredlund wyjaśnił, że w dawnych czasach mieszkało tu sporo ludzi, zwłaszcza po pojawieniu się Finów, którzy zdobywali ziemię, wypalając połacie lasu. Od imigrantów, sprowadzonych do Szwecji przez gorliwego króla, pochodziła nazwa Finnerödja, miejscowości na południe od Ramundeboda.

Teraz jednak w lesie nie zostało wiele domów. Z rzadka rozrzucone torfowe chaty, miejsca, gdzie pozyskiwano żelazo, chałupy ludzi zajmujących się wypalaniem węgla drzewnego. Niczego jednak nie dało się stwierdzić na pewno. Ten las zapewniał mieszkanie najuboższym. Gdy nastały ciężkie czasy albo krajem rządzili surowi władcy, ludzie z równin przenosili się na wyżyny Tiveden. Mroczne głębie lasu dawały schronienie przed karzącą ręką prawa i okrutną koroną. Tu można było żyć i robić to, na co przyszła ochota.

Wśród rozproszonej ludności Tiveden pragnienie wolności pozostało nader silne. Żyli oni niemal w całkowitej izolacji, tak wielkie odległości dzieliły poszczególne zagrody. Oczy tych ludzi otwierały się na ów inny świat, wyobrażenia miała pole do popisu. Nawet Fredlund wierzył, że oni naprawdę widzą nadprzyrodzone istoty, o których ośmielano się mówić tylko szeptem. Między Finami spotkać wszak można było ludzi obdarzonych potężniejszymi zdolnościami jasnowidzenia niż inni, o tym nie wolno zapominać.

Przynajmniej troje w ich grupie przyjęło jego słowa bez protestów: Tiril, Móri i parobek Arne. Catherine zachichotała, a na twarzy Erlinga odmalował się wyraz niechęci. Tiril jednak nie mogła się zorientować, czy przyjacielowi chodzi o nadprzyrodzone istoty, czy też raczej o śmiech Catherine. Jej samej wydawało się, że za każdym pnem dostrzega duszka.

Płynęły godziny. Znów zaczął dokuczać im głód. Kiedy nagle między drzewami dostrzegli niedużą chatę z torfu, postanowili tam wejść, by porozmawiać z kimś naprawdę dobrze znającym zakłęty las.

Przed dość prymitywnie wykonanymi słupami z kamienia stał niski, chudy Fin. Zajęty był odprawianiem jakiegoś rytuału.

Natychmiast wzbudził zainteresowanie Móriego.

Gdy się zbliżyli, starzec odwrócił się i zmrużył oczy, by lepiej widzieć pod słońce. Na krótkich nogach prędko wbiegł do chaty, tam pospiesznie wyrzucił

z siebie kilka słów i wyszedł, już z uczesnymi na mokro włosami. Pokłonił się im nisko.

Po szwedzku, lecz z mocnym fińskim akcentem powitał ich w swych skromnych progach. Odpowiedzieli mu równie uprzejmie, wszyscy, z wyjątkiem Catherine. Ona tylko, marszcząc nos, przybrała najłaskawszą z baronowskich min.

Tiril nie mogła tego dłużej znieść i syknęła rozgniewana:

— Jeśli nie będziesz się zachowywać przyzwoicie, jak ludzie, wepchnę cię do najbliższego jeziora!

Zdumieni popatrzyli na zwykle tak łagodną dziewczynę.

— Proszę, proszę — jadowitym głosem powiedziała Catherine. — Nasze Zero udaje ważną! Poza tym nie jestem „jak ludzie”. Jestem szlachcianką, arystokratką.

— Rzeczywiście, do ludzi ci daleko.

— Dosyć, już wystarczy — uspokajał je Móri. Zwrócił się do mieszkańca lasu i przedstawił wszystkich po kolei. Wyjaśnił, że przybywają do Tiveden w pewnej szczególnej sprawie, i dlatego pragną pomówić z nim, dobrze znającym te okolice.

Starzec popatrzył na niego spod oka.

— Tak, tak, wiele wiem o tym lesie. Ale Tapio nie jest dziś zadowolony.

— Tapio... Leśny bożek, prawda? Władca lasu?

— Tak, właśnie tak. Od razu zrozumiałem, że posiadasz wielką wiedzę.

— Móri pochodzi z Islandii, jest czarnoksiężnikiem — wyjaśnił Erling. —

Przypuszczam, że podobnie jak wy, ojczulku?

— Może i tak, może i tak — zarechotał stary.

— Czym się zajmowaliście, kiedy nadeszliśmy?

Fin spojrzał na swych kamiennych bożków.

— Próbowaliśmy dzisiaj przeróżnych modłów i rytuałów, ale Tapio odrzuca wszelkie ofiary. Rozgniewał się. Tapio nazywany bywa także Korvenkuningas, bogiem pustkowi. Jumala, ten obok, także się gniewa.

Móri potraktował jego słowa z powagą.

— Może ma to jakiś związek z naszym przybyciem... .

W tej samej chwili z chaty wyszła równie nieduża staruszka i zaprosiła ich do środka na poczęstunek. Tiril w ostatnim momencie powstrzymała Nera przed podniesieniem nogi przy kamiennym posążku boga.

Po gwałtownych zapewnieniach, że nie przybyli tu, by objeść mieszkańców lasu ze wszystkich zapasów, i protestach gospodarzy, że na pewno tego nie zrobią, wszyscy zasiedli przy stole w małym, lecz przytulnym domku. Jedzenie było dość osobliwe, lecz smaczne i nawet Catherine nie śmiała się skrzywić. Wybuch Tiril odrobinę ją przestraszył.

Fin dopytywał się o sprawę, z jaką przybywają, krótko mu więc ją przedstawił. Pokazali mu kawałki figurki. Stary długo się im przyglądał.

— Tistelgorm — powtórzył, oddając części „klucza”.

— Oczywiście, słyszałem o tym zamku.

— On nie istnieje — zaprotestowała żona.
Starzec milczał. Popatrzył w oczy Móriemu. Przez moment Tiril wyczuła prądy wzajemnego zrozumienia łączące obu mężczyzn.
— Nigdy go nie widziałem — rzekł w końcu Fin.
— Ale mówisz, że twoi bogowie są wzburzeni — powiedział Móri. Zwracał się do staruszka na ty, jakby byli sobie równi. Chcesz przez to powiedzieć, że strzegą Tistelgorm przed nami?
— Tego nie twierdzę. Sądzę, że są przerażeni. Uważam, że powinniście zawrócić.
— Przez cały czas tak mówię — Móri uśmiechnął się krzywo. — Ale moi towarzysze nie chcą o tym słyszeć.
— Towarzysze — zadumał się Fin. — Których towarzyszy masz na myśli?
— Tych, których widzisz.
— Chodzi ci o tych, których widzą inni przy stole?
W izbie zapadła cisza. Dwaj wtajemniczeni nie spuszczała z siebie wzroku.
Wreszcie Fin ośmielił się spytać:
— W coś ty się właściwie wplątał?
Móri wstał.
— Czy zechcesz wyjść ze mną i nauczyć mnie o swoich bogach? Powiem ci o moich przeżyciach.
Wyszli. Ponieważ nikogo innego nie poproszono o dotrzymanie im towarzystwa, wdali się w pogawędkę ze starą Finką. Dowiedzieli się o życiu polegającym na ciągłej walce z siłami przyrody, z głodem i samotnością. Tiril jednak pojęła, że dwojgu starym ludziom dobrze jest razem. Wzruszyła się, gdy zrozumiała, jak silni muszą być ci, którzy taką walkę podejmują.
— Pomaga nam Tapio i jego żona Mielikki — mówiła pogodnie staruszka. — Dzikie zwierzęta to ich dobytek, pilnują, by nie wyrządziły nam krzywdy. Uważają za swoją własność także naszą trzodę, o nią także dbają. Mój mąż ma dobre układy z władcami lasu. Ich służący i służące, *tapionkansa*, zajmują się naszym dobytkiem.
Nawet Catherine poczuła szacunek dla takiego rozumienia świata.
Staruszka westchnęła.
— Ale wiele złego dzieje się teraz w naszym lesie. Córkę sąsiada wtrącono do ciemnicy w Askersund. W bagnie odkryto *äpärrä*.
— Co to jest *äpärrä*? — dopytywała się Catherine.
— Dziewczyna wpadła w kłopot. Podejrzewano ją o to, ale zaprzeczała, dopóki nie znaleziono *äpärrä*. Urodziła dziecko i zabiła je. Wrzuciła w bagno. Miało odcięty język.
— Dlaczego? — zadrżała przerażona Tiril.
— Trzeba tak zrobić, żeby dziecko nie stało się prawdziwym *äpärrä*. Inaczej będzie się błąkać po lesie, płakać, skarżyć się albo śmiać.

— Jest ptak, który potrafi wydawać takie odgłosy — mruknął Fredlund. — Proszę, mówcie dalej.

— Dziecko wzywa złą matkę i właśnie po to, by nie mogło zdradzić jej imienia, odcina mu się język.

— A więc *äpärrä* to to samo, co *myling* po szwedzku — stwierdził Fredlund.

— A *utburd* po norwesku — uzupełnił Erling. — Noworodek porzucony na śmierć. Co się teraz stanie z tą biedną matką?

— Nie chcę tego wiedzieć — zasmuciła się Finka. — To dobra dziewczyna, ale ojca miała zbyt surowego. Powiadają, że ojcem dzieciaka był jej stryj, ale on, rzecz jasna, uniknie kary.

Tiril czuła, że płacz dławi ją w gardle.

— Tiril sporo wie o gwałtach w rodzinie — wyjaśnił Erling, kiedy dziewczyna wypadła na zewnątrz rozslochana. — Ojczym napastował jej siostrę.

Tiril nie mogła dłużej siedzieć w chacie. Szybko otarła łzy, żeby Móri przypadkiem ich nie zobaczył.

Przywitał ją z uśmiechem.

— Nasz przyjaciel przybył tu z Finlandii jako dziecko — oznajmił. — Tapio, Jumala i inni bogowie otrzymają ofiary, żeby nam się powiodło. Staruszek trochę się niepokoi.

— Chyba nie składacie w ofierze zwierząt? — Tiril wystraszyła się nie na żarty.

— Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy — zapewnił ją Fin. — Dzielimy się z nimi jedzeniem.

Tiril bardzo się to spodobało.

Podziękowali za ciepłe przyjęcie i wyruszyli w dalszą drogę. Spotkanie z parą Finów było bardzo miłe, Móri twierdził też, że wiele się nauczył.

Staruszek jednak ostrzegał przed Tistelgorm. Bogowie nie chcieli, aby się tam wyprawiali, a ich należało słuchać.

Na chwilę zatrzymali się przed olbrzymim głazem w kształcie garnka, tylko po to, by podziwiać, co potrafi stworzyć sama natura. Minęli także dość szczególny blok skalny, Fredlund zademonstrował, co w nim dziwnego. Wraz z Arnem wdrapali się na samą górę, a wtedy głaz nieco się przechylił. Gdy zeszli na dół, powrócił do poprzedniej pozycji.

Chwilę się tym pobawili i ruszyli dalej. Nastrój po beztrioskiej zabawie nieco się poprawił, śmiali się też pijąc wodę z Mnisiego Źródła. Wyobrażali sobie dzielnych mnichów, wędrujących między Ramundeboda do Olshammar nad jeziorem Wetter. Stary bór Tiveden był wszak mroczną okolicą, pełną zdradliwych moczarów i nieprzebytych kniei. W tamtych czasach roiło się tu od drapieżników, a dróg nie było, tylko ścieżki, wydeptane przez mnichów.

Sześcioro ludzi i pies byli spragnieni i spoceni. Napili się, ochlapali wodą i żartując pojechali dalej. Potem już nie było im tak wesoło.

Rozdział 10

— Co właściwie oznacza nazwa Tiveden? — spytał Erling.

— Las boga Tyra — odparł Fredlund.

— No tak, powinienem był się tego domyślić — mruknął Erling.

— Tutejsze nazwy nawiązują do legend i mistycyzmu — ciągnął Fredlund.

— Jest tu na przykład Likmossen — Trupi Mech, Tjuvberget — Góra Złodziei, i Dösjön — Jezioro Zmarłych. Ludzie zajmujący się wypalaniem węgla drzewnego opowiadają, że kiedyś drzwi do ich szałasów same się otwierały albo do środka zaczynał walić gęsty dym. Widywali wtedy zawsze boginkę siedzącą na szczycie pobliskiego wzniesienia. Śmiała się z nich. Mijamy teraz nieprzyjemną okolicę — zakończył ściszonego głosem. — Lepiej wziąć psa na smycz.

— Dlaczego?

— Zbliżamy się do Vargaklämman — Wilczego Jaru.

Potem wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

Tiril naturalnie zaniepokoiła się o Nera i pospiesznie zaczęła się zsuwać z końskiego grzbietu. Zanim jednak zdążyła zeskoczyć na ziemię, spostrzegła szary cień znikający za ogromnymi głazami, wśród których wiła się ścieżka.

Nero pomknął za nim jak strzała wypuszczona z łuku.

— Och, nie! — jęknęła Tiril.

Krzykiem nawoływali psa, gwizdali, ale Nero, wytropiwszy wilka, niczego nie słyszał. A przecież zawsze był taki posłuszny!

Tiril, wiele się nie zastanawiając, skoczyła w las za ulubieńcem. Towarzysze próbowali wołać i za nią, lecz na próżno. Cała grupa rzuciła się w pogoń najpierw za Nerem, a potem także za Tiril.

Dziewczyna biegła po śliskich sosnowych szpilkach i podstępnych korzeniach, potykała się o kamienie, drapały ją gałęzie świerków i brzoź. Przez cały czas kierowała się podnieconym ujadaniem Nera. Pies, nie mogąc dogonić wilka, chwilami piszczał zniecierpliwiony.

Nera nigdy nikt nie układał do polowania, w ogóle nie był psem łowczym, lecz instynkt pogoni za uciekającą zwierzyną odzywa się u wielu ras. Wilkowi udało się wyprowadzić Nera w pole, Tiril po jego szczekaniu zorientowała się, że pies

zatacza krąg, kręci się w kółko po lesie, który wilk znał przecież na wylot.

Wybuchnęła płaczem strachu i rozpacz. Wiedziała, że Nero nie zdoła dogonić drapieżnika, ale wilków mogło, być więcej, gdyby zagroziły mu drogę, otoczyły go...

Dotarło do niej w końcu, że towarzysze ją nawołują. Usłyszała głos Catherine tuż-tuż, brzmiał w nim nieskrywany gniew.

— Stój! Co za głupia gęś! — fukała Catherine. — Chcesz, żebyśmy wszyscy się pogubili?

Nagle obie się zatrzymały.

Przeżalone patrzyły przed siebie na wzgórze między dwiema sosnami.

Stał na nim leśnik, nie wyglądał na zachwyconego.

— Złapcie tego potwora, inaczej ja się z nim rozprawię — nakazał łamanym szwedzkim.

Istotnie wiele było prawdy w tym, co o nim powiadano! Tiril nie spotkała jeszcze mężczyzny, od którego biłaby taka męskość. Catherine, rzecz jasna, także to zauważyła i westchnęła w uniesieniu.

Tiril jednak nie wydał się tak bardzo przystojny. Zorientowała się, że nieco dalej Móri zdołał złapać Nera, przyjrzała się więc leśnikowi uważniej. Mógł liczyć dobrze ponad czterdzieści lat, ciemne włosy i brodę przyprószyła już siwizna. Z oczu wyzierał chłód, lecz ich barwy z takiej odległości nie dawało się określić. Mężczyzna nie był wysoki, lecz nadrabiał to wrodzoną władczością, która przerażała i zniewalała. Skórzane ubranie skrywało muskularne ciało, na nogach nosił buty do konnej jazdy. Długi nóż przytroczony do pasa wydawał się jego jedyną bronią.

Jak więc zamierzał zabić Nera?

Wyraźnie natomiast znał swój las i nie bał się mieszkających w nim drapieżników.

Catherine stała jak zaklęta, ale też i miała inny gust niż Tiril.

Niemniej jednak właśnie baronówna zdołała pierwsza dojść do siebie. Postąpiła o kilka kroków bliżej leśnika, lecz on rzekł tylko:

— Słyszę, że złapaliście już tę bestię. Nigdy więcej nie puszczajcie psa luzem! Odwrócił się na pięcie i prędko odszedł.

Catherine przez chwilę stała zawiedziona, w końcu zawołała:

— Poczekaj! Potrzebujemy kilku informacji!

— Catherine — szepnęła Tiril. — Nie biegnij za nim!

Ale baronówna już pomknęła w las, przez chwilę jeszcze widać ją było między drzewami, zaraz jednak zniknęła Tiril z oczu.

Musiałam pobiec za Nerem, kiedy pociągnęła go przygoda, pomyślała dziewczyna. Lecz nie mam zamiaru gonić Catherine. Przywykła do tego, by radzić sobie sama, czyni to na własne ryzyko.

Erling i Fredlund podbiegli do niej.

— No, przynajmniej ty się znalazłaś, Tiril. Móri i Arne czekają na ścieżce z Nerem. A gdzie Catherine?

— Zjawił się leśnik — niechętnie wyjaśniała Tiril. — Skrzyczał nas. Catherine za nim pobiegła, to dość atrakcyjny mężczyzna.

Erling syknął przez zęby: „przekłeta dziwka”. Tiril postanowiła puścić to mimo uszu. Fredlund już przygotowywał się do wyruszenia na poszukiwanie Catherine, kiedy ona sama wyłoniła się nagle pomiędzy strzelistych pni sosen, mrocznych w zapadającym zmierzchu.

Rzeczywiście, dzień chylił się ku zachodowi, Tiril dopiero teraz się zorientowała. Słońce skryło się już za chmurami, ale przecież było lato! Jeszcze długo będzie widno.

O zmroku jednak las jest straszniejszy.

Catherine przybiegła zdyszana i zirytowana.

— Nie dogoniłaś go? — spytał złośliwie Erling.

— Nie, okazał się szybszy ode mnie. Nie przywykłam do tego, by mężczyźni...

Odgarnęła jasne włosy z czoła.

— Wybaczcie, że uczucia wzięły górę nad rozsądkiem — frywolnie uśmiechnęła się do mężczyzn. — Ale to taki przystojniak! Teraz wy będziecie musieli mi wystarczyć.

Towarzysze wyglądali na umiarkowanie ucieszonych. Tiril jednak dostrzegła w oczach Catherine zdecydowanie graniczące z fanatyzmem. „Zdobędę tego leśnika”, mówiły.

W jaki sposób chciała to osiągnąć, Tiril nie wiedziała. Może będzie wypytywać, gdzie jego chata?

Nikogo by to nie zdziwiło.

— Czy możemy ruszać w dalszą drogę? — oschłym tonem spytał Fredlund. — Wkrótce musimy rozłożyć się gdzieś na noc, a nie chciałbym robić tego w pobliżu Vargaklämman.

— Co to właściwie jest Vargaklämman? — chciał wiedzieć Erling.

— Poczekajcie, aż tam dojedziemy, wtedy wam pokażę. Cała grupa znów więc była razem. Tiril powitała podnieconego Nera odpowiednio dobranymi karcącymi słowami, wypowiedzanymi jednak pieszczotliwym tonem, który odebrał im powagę. Móri na moment objął Tiril, dając do zrozumienia, jak bardzo się o nią lękał.

Wkrótce dotarli do niezwykle wysokiego zwałowiska gładkich głazów, zgromadzonych po jednej stronie ścieżki. Wśród bloków skalnych widniały wejścia do licznych jaskiń.

— Vargaklämman — oznajmił Tobias Fredlund.

— Bardzo interesujące — stwierdził Erling. — Człowieka ogarnia nieprzepar-ta ochota, by się tam wczłogać.

— Na miłość boską, nie wolno tego robić — ostrzegł Fredlund. — Cieszcie się, że pies nie pobiegł tu za wilkiem. Groty są wielkie, długie, to ulubione miejsce schronienia wilków.

Tiril zadrżała.

— Ale dlaczego to się nazywa Vargaklämman?

— Bo chłopci z okolic Tiveden znają to miejsce i podczas polowania zapędzają tu wilki. Łatwiej je wtedy schwytać.

Dziewczyna odwróciła głowę.

— Nie chcę o tym słuchać — powiedziała z żalem w głosie. — Wilki są także żywymi istotami. Nero przecież czuje, one więc na pewno także.

— Jesteś zbyt słaba, Tiril — stwierdziła Catherine. — Wielokrotnie uczestniczyłam w polowaniach, uwielbiam to!

Móri, jadący obok Tiril, położył dłoń na jej ręce. Ucisnęła ją mocno.

Minęli jeszcze jedną zadziwiającą formację skalną. Fredlund powiedział, że nazywają ją Olbrzymem z Almedalen. Był to bardzo długi, wąski głąz przyciśnięty do oszlifowanego przez masy lodu skalnego zbocza. Ze śmiechem stwierdzili, że głowa olbrzyma trochę się odsunęła od korpusu. W końcu Tobias Fredlund, którego z każdą niemal chwilą darzyli coraz większym szacunkiem, oznajmił:

— Tu skręcimy z drogi. . .

Tiril zastanawiała się, co ich teraz czeka. Całodzienna jazda wierzchem dawała się już we znaki, czuć ją było w całym ciele, oczy piekły ze zmęczenia.

Owszem, przywykła do konnej jazdy, lecz nie na tak długich odcinkach, niemal bez odpoczynku, w dodatku po bardzo nierównym terenie. Napięcie nie opuszczało jej nawet na chwilę, bo nigdy nie było wiadomo, czego mogą się spodziewać w zakętym lesie. Olbrzymie, porośnięte mchem głązy w cieniu między pniami sosen, połyskujące jeziora, uroczyska, na których woda lśniła jak oczy w głębokich jaskiniach. . . Wszystko stwarzało nastrój trudny do opisanego słowami. Miało się wrażenie, że wtargnęło się w najgłębsze tajemnice przyrody, że las owija człowieka wielką zieloną jak mech peleryną. A w mroku przemykały się tajemnicze istoty. Milczące, bezszelestne, podstępne. . .

Tiril przeszedł dreszcz, wzrokiem natychmiast poszukała Móriego. On jednak jechał przodem, zniknął już za ogromnym kamieniem.

Tiril poczuła się bardzo samotna.

Nera prowadzili teraz na smyczy. Sprawował się przykładowie, grzecznie biegnąc u boku jej konia.

Drzewa przeredziły się, błysnęła zza nich woda kolejnego jeziora.

Fredlund wstrzymał konia.

— Fagertärn — oznajmił, zeskakując.

Zsiedli z koni i w nabożnym niemal nastroju zeszli na brzeg. Tutaj także zie-

mię pokrywał dywan sosnowych szpilek, spod których wylaniały się poplątane korzenie. Drzewa po drugiej stronie jeziora majestatycznie odbijały się w mrocznej, przejrzystej wodzie. Dwie smukłe brzozy wraz ze swym odbiciem na tle mrocznego lustra wody zdawały się cienkimi paskami srebra. Obraz był tak piękny i wzruszający, że nie tylko Tiril ścisnęło się serce.

— Spójrzcie! — zawołała Catherine. — Spójrzcie na lilie wodne!

Tiril już zobaczyła białe i żółte kwiaty w zatoczce, przy której stali. Teraz dostrzegła coś jeszcze, przeniosła wzrok w miejsce wskazane przez Catherine.

— Jakie wielkie! — szepnęła. — Jaki prześliczny kształt!

— Większe niż moja dłoń — z niedowierzaniem powiedział Erling.

— To największy ze wszystkich istniejących gatunków lilii wodnych — rzekł Fredlund. — Kwiaty mają średnicę trzy i pół cala.

W jego głosie słyhać było dumę, jakby to on był właścicielem czerwonych lilii z Fagertärn.

— I rosną tylko tutaj? — dopytywała się Catherine.

— Tylko tutaj.

— Muszę zabrać kilka roślin do domu, do Vestfold — stwierdziła.

— Nie, Catherine, nie rób tego — powstrzymał ją Móri. — Nie wspominając już o tym, że nie przetrwają przenosin, zniszczysz coś, nie rozumiesz?

— Uważasz, że to źle, iż znajdują się w jeszcze innym miejscu? Że Norwegia także będzie miała swoje?

— Zniszczysz legendę, legendę o Fagertärn, jedynym miejscu na świecie, gdzie rosną czerwone lilie wodne.

Zastanowiła się przez chwilę.

— Chyba masz rację — przyznała w końcu.

Tiril stała oszołomiona z zachwytu. Wprawdzie zabrakło już słonecznego blasku i światło wieczoru tłumiło nieco kolory, lecz i tak dostrzegła różnorodność odcieni kwiatów. Niektóre były jasnorożowe, niemal zbliżające się do białego. Większość miała łagodną różową barwę, ale znajdowały się wśród nich także ciemnoczerwone okazy. Tiril, której serce zawsze gorąco biło dla przyrody, poczuła przyływ szczęścia.

— Takie doskonałe... Dziękuję panu, panie Fredlund, że pan nas tu przypro-wadził!

Mruknął coś pod nosem, wzruszony i zakłopotany pochwałą. Pewnie sam nie bardzo wiedział, co mówi.

— Przegryziemy coś? — zaproponował. — Sporo czasu upłynęło od ostatniego posiłku. Konie też pewnie zgłodniały.

Rozłożyli się na polance nad jeziorem. Tym razem jedzenie smakowało jeszcze bardziej, bo długi i męczący etap podróży był już za nimi. Dotarli do celu, o którym „jegomość”, Gustaf Wetlev, wspominał Mai i Kai. Mówił o czerwonych liliach wodnych i oto je znaleźli.

Fredlund raczył ich dramatycznymi, niesamowitymi opowieściami z Tiveden. Mówił o głazie w Skamlösadalen, gdzie wędrowcy zwykli kłaść kamyk w szczelinie, by uchronić się przed nieszczęściem w podróży. Kiedyś zamordowano tam człowieka, jego zwłoki znaleziono przy kamieniu, który zaczarował. Od tego czasu wydarzyło się w tym miejscu wiele niesamowitych rzeczy.

— Nie będziemy tamtędy przejeżdżać — uspokajał ich Fredlund.

— A samo Fagetärn? — spytał Erling. — Czy żadna legenda nie wiąże się z tym jeziorem?

— Oczywiście. Mówi, skąd wzięła się czerwona barwa kwiatów.

— Proszę nam ją opowiedzieć!

— Kiedyś mieszkał tu rybak, zwał się Fager. Ale w jeziorze niewiele było ryb. Pewnego dnia wypłynął łodzią sprawdzić sieci, a wtedy z toni wyłonił się wodnik. Obiecał rybakowi obfite połowy w zamian za jego córkę. Fager długo się wahał, ale ryby stanowiły jego jedyne źródło utrzymania. Wreszcie przystał na propozycję wodnika, umówili się jednak, że wodnik dostanie dziewczynę dopiero, gdy skończy ona osiemnaście lat. Od tej pory sieci rybaka były zawsze pełne ryb, mógł wymieniać je na inne produkty.

Tiril zorientowała się, że z emocji wstrzymała oddech. Westchnęła głośno. Zerknęła na mroczną wodę, toń jeziora była gładka jak tafla lustra.

Prędko odwróciła wzrok w obawie, że zmaci ją wodnik. Oczywiście pociągała ją ta wodna istota, tak jak wszystkie romantyczki fascynuje to, co tajemnicze i przerażające. Znów zasłuchiwała się w opowieść Fredlunda, chociaż obawiała się własnych reakcji. Gdyby to ona była córką rybaka. . .

— Dziewczyna wyrosła na prawdziwą piękność — ciągnął Fredlund. — Pewnego dnia, gdy skończyła osiemnaście lat, włożyła swe najlepsze ubranie, ukryła w nim nóż i wypłynęła na jezioro. Zjawił się wodnik. „Teraz jesteś moja, powiedz. Moja narzeczona!” „Wiem o tym, odparła dziewczyna. Ale żywej mnie nie dostaniesz.” Wyciągnęła nóż i wbiła go sobie w serce. Krew spłynęła do ciemnej wody jeziora i na zawsze zabarwiła część białych lilii na czerwono. Z żalu i na cześć panny te lilie są odtąd większe od innych.

Tiril ukradkiem otarła łzy, ale, co dość typowe dla niej, bardziej jej było żal wodnika.

— Po tych lasach krążą jeszcze inne historie — podjął Fredlund. — Na przykład o Dziadu z Kolar, rąbiącym drwa na stos, z którego wypala się węgiel drzewny. Podobno słychać uderzenia kamiennego toporka. Dziad pilnuje stosu i szturchać budzi tych, którzy zaśpią do pracy. Znane są historie o drzwiach szałas, które jakaś niesamowita siła wyrwała i cisnęła do jeziora, o drzewach, posiadających uzdrowicielską moc. Nad jednym z jezior w okolicach Mosshult rośnie powykęcany suchy świerk. Podobno tkwią w nim wszelkie choroby świata, niebezpiecznie jest go dotykać. Jeśli komuś zrobi się na przykład wrzód, trzeba nakłuć go ostro zakończonym patyczkiem, a potem wbić patyk w biedne drzewo. To

samo opowiadają o świerku z Ekemo, podobno czarodziejskim. Rośnie, bo nikt nie ma odwagi go ściąć, wówczas bowiem ściągnie na siebie wszelkie najstraszniejsze zarazy.

Jest też Kamień Młodego Myśliwca, nie będziemy koło niego przejeżdżać. To największy głaz w całym lesie, stoi dziwnie na krawędzi. Wasz rodak, norweski myśliwy, pokochał dziewczynę z rodu króla Sverkera. Prześladowcy zagonili ich aż do tego kamienia, gdzie po nierównej walce dziewczynie ścięto głowę. Młodzieniec umknął do Norwegii, ale o zmierzchu czasami można zobaczyć, jak krąży wokół głazu, nosi kapelusik z piórkiem, a na plecach upolowanego głuszca. Czasami ujrzeć też można pannę bez głowy.

— Dobrze, że tam nie jedziemy — zadrzała Catherine. — W towarzystwie Móriego nigdy nie wiadomo, co może się pojawić.

Aha, zdołałaś to już zauważyć! — Tiril poczuła ukłucie zazdrości. Nikomu oprócz niej nie wolno widzieć tego co Móri.

Ale przecież i jej było do tego daleko. Roześmiała się z własnej małostkowości. Nie miała nic złego na myśli.

Znów ogarnęła ją gwałtowna fala serdeczności do wszystkich w ich grupie. Tak dobrze im było razem.

— Wieczór zapada — zauważył Arne. Nie dało się o nim powiedzieć, że jest gadułą. — Może powinniśmy rozbić tu obóz na noc?

— Jest jeszcze jasno — zaprotestował Erling. — Skorzystajmy z dobrodziejstwa letniej nocy i przybliżmy się bardziej do celu.

Przyznali mu rację. Wstali, posprzątali po sobie, co zajęło trochę czasu. Potem musieli jeszcze złapać konie. Wreszcie gotowi byli do następnego etapu podróży. Nie zdawali sobie sprawy, na co się porywają, wyruszając na spotkanie z tajemnicami nocy.

Rozdział 11

Zapadła noc. Długo jechali przez las, a potem podziwiali lilie wodne i nie zorientowali się, że czas upływa tak szybko.

Móri siedział na koniu prosty jak świeca. Podniósł wzrok na niebo i wymówił jedno jedyne słowo:

— Pełnia.

Poczuli się nieswojo, popatrzyli po sobie. „Powiadają, że przy pełni księżyca można zobaczyć Tistelgorm. Ale to tylko legenda”.

W tej chwili, której Tiril nigdy nie miała zapomnieć, trudno było traktować opowieść o Tistelgorm wyłącznie jako legendę. Gdy tak stali, skamieniali, pogrążeni w strasznych myślach, księżyc zyskiwał coraz większą władzę nad światem. Na jezioru pojawiło się srebrzyste pasmo, na którym kwiaty lilii zaznaczały się jako nieco ciemniejsze punkciki. W jednej chwili w monotonnej zielonoczarnej ścianie lasu pod skropionymi srebrem gałęziami pojawiły się ostre, głębokie cienie.

Niektórzy dosiedli już koni. Przypominali duchy rycerzy z zamierzchłych czasów, gotowe do ataku. Oświetlona blaskiem księżyca twarz Móriego w swej niesamowitej bledości jaśniała pięknem. Oblicze Erlinga skrywał cień padający od szerokiego ronda kapelusza, Catherine zaś przypominała Białą Panią, najbardziej znanego upiora Szwecji.

Nero kręcił się między drzewami jak czarny diabelski pies.

Tiril, wciąż stojąc na ziemi przy swym sympatycznym koniku, poczuła się nagle opuszczona. Przez moment nie mogła oprzeć się wrażeniu, że towarzysze odjadą i zostawią ją samą w błękitnym świetle księżyca.

Dwaj mężczyźni z Ramundeboda pomogli jej jednak wsiąść na konia i sami dosiedli swych wierzchowców. Mogli ruszać.

Erling spojrzął na niebo, gdzie księżyc wyglądał zza pędzących chmur.

— Pełnia księżyca! — powtórzył. — Jeśli mamy ujrzyć zamek, musi to nastąpić dziś w nocy.

Parobek zadrżał.

— Może powinniśmy zrezygnować...

— Zamknij się! — nakazała Catherine najostrzejszym szlacheckim głosem.
— Fredlund, wskazuj nam drogę!

Typowe dla arystokratki było zwracanie się do niższego urodzeniem człowieka tylko po nazwisku. Tiril spostrzegła, że oberżysta poczuł się urażony, był wszak mądrym, godnym szacunku człowiekiem.

Postanowiła go udobruchać:

— Sądzi pan, że potrafi odnaleźć właściwy kierunek, panie Fredlund?

Uśmiechnął się do niej. Tiril od początku zyskała sobie jego sympatię.

— Jesteśmy nad Fagertärn, a to powinno nam ułatwić sprawę. Zamek leży podobno dość daleko stąd, w głębi lasu, gdzie nikt nie spodziewałby się już ludzkich siedzib. Ale kierunek jest prosty. Musimy jechać tędy. W stronę Görtiven. — Machnął ręką by podkreślić swą pewność.

— Ludzka siedziba? — drżącym głosem powtórzył parobek. — Pana na Tistelgorm trudno nazwać człowiekiem. Powiadają, że był czarownikiem. Zaprzedał się Złemu.

— Chyba raczej chodziło o ojca — wtrąciła się Catherine.

— Syn także — mruknął Fredlund. — Arne, pojedziesz ostatni, dopilnujesz, abyśmy nie zgubili po drodze któregoś z naszych gości.

Chłopakowi zrzędał mina.

Móri uratował go z opresji.

— Jeśli nie macie nic przeciw temu, chętnie pojedę na końcu. I zapewniam pana, że się nie zgubię.

Fredlund długo mu się przyglądał.

— Wierzę. I wcale nie będzie pan ostatni, prawda?

Móri uśmiechnął się leciutko. Jego przyjaciołom pewne poczucie bezpieczeństwa dawała świadomość, że nie muszą obawiać się napaści od tyłu. Gromada niewidzialnych towarzyszy Móriego zabezpieczała ich przed takim atakiem.

Oberżysta poprawił się w siodle.

— Jedźcie więc za mną, ale nie liczcie, że odnajdę zamek, bo, jak mówiłem, nikt nie wie, w którym dokładnie miejscu go szukać. — Po chwili dodał: — Nigdy jeszcze nie wierzyłem w tę legendę tak mocno jak dzisiejszej nocy! Częstki figurki... Ciekawe, czy uda nam się odnaleźć brakujący kawałek?

Ruszyli z wolna. Erling zagadał:

— Musi pan pamiętać, że nawet jeśli uda nam się odnaleźć zamek i trzecią część klucza, nie jest wcale pewne, czy skarb znajduje się właśnie tutaj. Ojciec trzech braci mieszkał w Tierstein, gdzieś w Niemczech. Przypuszczam, że tam ukrył skarb.

Fredlund odwrócił się zdziwiony.

— Czyżby moja żona nie opowiedziała wam legendy do końca? Hrabia przybył w odwiedziny do syna w Szwecji, aby dalej nauczać go wiedzy tajemnej. Rozchorował się i przez wiele lat nie opuszczał łóżka. W końcu zmarł tutaj.

— Możliwe więc, że... że skarb został tu ukryty?

— Owszem, nie należy tego wykluczać.

Tiril zerknęła na Móriego. Wiedziała, że nie kusiły go kosztowności. Bardziej interesował go zbiór czarnoksięskich formuł, który musiał znajdować się w posiadaniu czarnoksiężników. Gdyby udało mu się go odnaleźć, stanowiłby cenny dodatek do jego wcześniejszych zdobyczy.

Od Catherine nie mógł się niczego nauczyć, norweskie czary były bowiem o wiele słabsze od islandzkich, choć wywodziły się z tego samego źródła. Islandczycy wszak pochodzili z Norwegii. Na Islandii, odizolowanej wyspie, mogli jednak bardziej swobodnie rozwijać swe nadprzyrodzone zdolności. Polowanie na czarownice rozpoczęło się tam później niż na stałym lądzie.

Móri był ogromnie ciekaw wiedzy, jaką posiadli niegdyś dwaj niemieccy czarnoksiężnicy.

Tiril dostrzegła natomiast w jego oczach co innego. Jechali blisko siebie, ich spojrzenia mogły się spotykać. Zobaczyła wahanie.

Zrozumiała, o co chodzi. Móri na Islandii otrzymał wyraźne ostrzeżenie. Nie był pewien, czy powinien dalej zdobywać wiedzę tajemną. Ale jego oczy wyrażały także coś, od czego krew gwałtownie napłynęła do jej policzków. Móri wahał się z jej powodu! Zachwiał się w swym postanowieniu, że zostanie najpotężniejszym czarnoksiężnikiem, ponieważ...

Czy miała w to uwierzyć? Uwierzyć, że odkrył, czym może być miłość? Odrzucił ją wszak. Ale teraz nie był pewien, czy postąpił słusznie.

Nie, nie wolno jej wyobrazać sobie zbyt wiele. Móri nigdy nie powiedział wprost, że ją kocha. Byli dobrymi, a nawet bardzo dobrymi przyjaciółmi. Okazywał jej oddanie i największe zaufanie.

Ale miłość?

Do niej jeszcze daleko.

Nagle odkryła, że towarzysze się zatrzymali.

Zapadła cisza, nie słychać było nawet oddechów.

— Boże, dopomóż nam — szepnął Erling.

Tiril zrozumiała, że opuścili jasny, bezpieczny świat ludzi.

Ich oczom ukazał się niesamowity krajobraz.

— Jesteśmy w Gôrtiven — ponuro oznajmił Fredlund. — Albo, jak mówią, w Trolltiven...

Rzeczywiście walczyli tu chyba kiedyś mityczni olbrzymi. Ogromne głazy wznosiły się na niezwykłą wysokość, wsparte o siebie. Sosny wyciągały się ku niebu, by spoza tych kolosów dotrzeć do światła. Wyglądało to, jakby olbrzymi, zaskoczeni słońcem, przestali obrzucać się kamieniami i skulili się, przykucnęli, ramionami osłonili głowy przed niszczącymi promieniami słońca i tak zastygli. Potem przez tysiące lat porośli mchem. Ludzie zaczęli więc sądzić, że są głazami, a nie potworami z zamierzchłych czasów, które obróciły się w kamień.

Tiril wydawało się, że wśród tych bezkształtnych formacji czai się straszne niebezpieczeństwo. Poniosła ją wyobraźnia, ale mroczne pustkowia Görtiven ze swymi dzikimi kniejami i omszałymi głazami z epoki lodowcowej wydało jej się nieopisanie groźne. Nie wchodźmy tam! Nie wchodźmy! — chciała krzyknąć do swych przyjaciół, lecz gardło miała jak zasznurowane.

Móri czuł podobnie. Wszyscy zsiadli z koni i stali oszołomieni, tacy mali wobec tego wybryku natury, tego świata, do którego wstęp powinny mieć tylko trolle i huldry. Móri mocno ujął Tiril za rękę.

— Powinniśmy zawrócić — rzekł głośno i wyraźnie.

— Ale dlaczego? — spytał poirytowany Erling. — Mamy przecież pełnię księżyca, następna taka noc się nie powtórzy.

— Poczekajmy więc, aż nastanie dzień — zaproponował Móri.

— Cóż znowu za głupstwa! Boisz się? — drwiła Catherine.

— Tak — odparł Móri spokojnie.

Nic nie mogło bardziej ich wystraszyć niż to króciutkie słowo.

Arne stanął po stronie Tiril i Móriego. Było więc ich troje na troje. Nero się tym razem nie liczył, za swymi najbliższymi skoczyłby w ogień i wodę, nie opuściłby ich bez względu na okoliczności.

Fredlund próbował ich przekonać:

— Wiem, wiem, Görtiven może się wydawać przerażające i takim jak tej nocy jeszcze nigdy nie widziałem tego miejsca. Ale to tylko złudzenie. Bywałem tu wielokrotnie i wiem, że jedyne, czego możemy się obawiać, to wilk, niedźwiedź, ryś albo rozgniewany łoś.

— Nie — pokręcił głową Móri. — Dzisiejszej nocy zjawiły się tutaj inne istoty, które nie powinny tu przebywać.

Czekali w niepewności. Tiril miała wrażenie, że duszki już się na nich czają.

— Przyjdzie nam się wobec tego rozdzielić? — zmartwił się Erling. — I tak nie możemy w ten straszny teren zabrać koni. Ale muszę mieć ze sobą Móriego. Inaczej...

— Co takiego? — dopytywała się Tiril. — Bez niego sobie nie poradzisz?

Milczenie Erlinga znaczyło, że zgadła.

— Naprawdę chcecie tam wejść? — upewniał się Móri.

— Oczywiście!

— Dobrze, pójdę więc z wami — westchnął.

I oni także odetchnęli z ulgą. Za Mórím poszli Tiril i Arne.

Znaleźli bezpieczne miejsce dla wierzchowców, Móri odmówił nad nimi zakłęcie, odpędzające dzikie zwierzęta i strachy. Rozpoczęli wspinaczkę po wielkich, oślizgłych głazach.

Fredlund, idący przodem, odwrócił się i zawołał w dół do innych:

— Wyszliśmy prawie prosto na Stenkällan, Kamienne Źródło. Musimy je miąć. W starożytności było to źródło ofiarne, składano tu ofiary pogańskim boż-

kom.

— Co składano w ofierze? — spytała Catherine.

— No cóż, nie wiem i nie chcę wiedzieć — krótko odparł Fredlund.

Droga pod górę do Stenkällan kosztowała wiele wysiłku. Tu rozpoczął się prawdziwie zaklęty las. W jasnym blasku księżyca wszystko ukazywało się z niezwykłą ostrością. Uwydatniała się chropowatość kory sosen, na mchu pokrywającym głązy światło księżyca i cienie tworzyły zagmatwane wzory. Tiril wydało się, że widzi potworne wizerunki wykrzywionych demonów i zawoalowanych dam. Daleko w dole spostrzegła jezioro, jakby czekające, że któreś z nich potknie się i spadnie, by mroczna woda mogła pochłonąć człowieka, intruza. Gładkie zbocza sprawiały wrażenie utworzonych z lodu i szkła.

Niezwykły był widok Móriego bez szerokiej „mniszej opończy”. Zostawił ją przy koniach. Tiril widywała go bez peleryny już wcześniej, lecz nieczęsto i nigdy długo. Odnosiło się wrażenie, że Móri chce ukryć swą osobowość pod płaszczem z islandzkiej ciemnobrunatnej owczej wełny. Móri — jego imię znaczyło „brunatny jak ziemia” i „upiór”.

Wspinał się przed nią, czasami posuwał się po wąskich półkach skalnych. Tiril nawet na moment nie spuszczała zeń wzroku. W chłodnym blasku księżyca stanowił niecodzienny widok, był tajemniczy i zmysłowy zarazem. Biodra miał wąskie jak u pantery, a czarne jak węgiel włosy opadały na potężne ramiona. Ciemną bluzę przytrzymał pas. Pod nią nosił białą koszulę z dużym kołnierzem i szerokimi rękawami.

Usłyszała, że Catherine na widok Móriego wzdycha z zachwytem.

— Muszę go zdobyć — syknęła baronówna. — Zburzę mur tej jego lodowatej cnotliwości.

Tiril nic się na to nie odezwała. Zaciśnęła zęby, przeklinając pod nosem.

Przed nimi wyrosła kolejna skalna ściana, którą musieli sforsować. I nagle nie widziała już Fredlunda ani Móriego, znaleźli się na położonym wyżej występie. Pozostała czwórka z całych sił starała się dotrzymać im kroku. Tiril miała wrażenie, że w ustach czuje smak krwi, lecz oczywiście była to przesada.

Okrażali właśnie sporą kałużę, która utworzyła się na dużej półce skalnej, kiedy dobiegł ich jakiś głos. Tiril i Catherine już wcześniej słyszały ten mocny obcy akcent.

— Co robicie w moim lesie?

Znów zjawił się leśnik.

Arne pisał przerażony. Erling już się wyprostował, szykując do odpowiedzi, ale Catherine go uprzedziła:

— Ponieważ jest akurat pełnia księżyca, wyruszyliśmy na poszukiwanie Tistelgorm, legendarnego zamku, chyba o nim słyszeliście.

Mężczyzna zwrócił na nią surowe spojrzenie. Zmierzył ją wzrokiem od stóp

do głów. Catherine natychmiast wykorzystała okazję. Wyginała się uwodzicielsko, aż Tiril się za nią zawstydziała.

— Tistelgorm? Zamek nie istnieje — rzekł krótko. Wyraźnie usłyszeli teraz obcy akcent. Tiril domyślała się, że to może być duński, niemiecki bądź holenderski.

— Wcale nie jesteście tacy pewni — odpowiedziała Catherine. — Mamy...

Erling przerwał jej:

— Oczywiście wiemy, że to tylko legenda. Ale mamy ochotę przeżyć przygodę, nic poza tym.

— A gdyby zamek istniał... — ostrożnie spytała Tiril. — Gdzie by się znajdował?

Straszne oczy popatrzyły na nią z uwagą.

— Jesteście na właściwym obszarze — odrzekł. Jeszcze raz spojrzął na Catherine, jak się Tiril wydało, z namysłem, i odchodząc rzucił przez ramię:

— Zakłóćcie spokój leśnym zwierzętom, wynoście się stąd!

— Odejdziemy — wyjąkał Arne, zdrętwiały ze strachu.

Gdy leśnik zniknął im z oczu, Erling wzdrygnął się i powiedział:

— Cóż za okropny człowiek!

— To prawda — zgodziła się Tiril.

— Tak myślicie? — zdziwiła się Catherine. — Moim zdaniem jest niezwykle interesujący. Widzieliście spojrzenie, jakie mi posłał? Płonęło w nim tłumione pożądanie!

— Mnie się wydawało, że raczej bił z niego gniew — chłodno zauważył Erling.

— Ależ skąd! W tym wzroku tkwiła obietnica i pytanie. On jeszcze wróci, wierzcie mi!

— Pewnie jego także zechcesz zaciągnąć do łóżka?

— To by dopiero było przeżycie — przyznała Catherine. — Zazdrosny?

Erling odwrócił się na pięcie.

— Chodźmy, musimy ich dogonić.

Tiril ogarnęło nieprzyjemne uczucie, że tych dwoje coś łączy. Ale Erling? Jej drogi przyjaciel? Nie, nie mogła w to uwierzyć.

— A co ty o tym myślisz, Arne? — zwróciła się do małomównego chłopaka.

— On był straszny — szepnął chłopiec, żeby przypadkiem nie usłyszała go Catherine. — Panna Catherine jest dla niego zbyt dobra.

No cóż, pod tym względem się nie zgodzimy, pomyślała Tiril. Rozgniewała się na siebie. Dlaczego przez Catherine wychodzą na wierzch jej najgorsze cechy? Tiril zawsze uważała się za osobę, która potrafi współżyć z bliźnimi i pragnie dobra innym ludzi. Zachowanie baronówny sprawiało, że pokazywała kolce.

Musiała wziąć się w garść. Catherine była po prostu samotną młodą kobietą,

której w życiu nie dopisywało szczęście. Nie miała nikogo bliskiego poza Erlingiem, Móri i nią, Tiril.

Móri i Fredlund czekali wraz z Nerem przy Stenkällan. Miejsce to było doprawdy imponujące. Spod trzech olbrzymich przylegających do siebie głazów wytryskiwało nieduże źródło. Źródło ofiarne. Tiril po plecach przebiegł zimny dreszcz, ogarnął ją też niewypowiedziany smutek. Świątynia w lesie była taka piękna, lecz jednocześnie wyczuwało się tu wiele zła i przelanych łez.

— Odejźmy stąd — poprosiła cichutko.

— Dobrze — zgodził się Fredlund. — Niedaleko stąd jest punkt, z którego będziemy mieć doskonały widok na Górtiven.

Erling po drodze zdał im relację ze spotkania z leśnikiem. Ani Móri, ani Fredlund go nie zauważyli.

— Na właściwym obszarze? — ucieszył się przewodnik.

— To dobra informacja. Chociaż i tak wiedziałem, że Tistelgorm powinno leżeć mniej więcej tutaj.

Dotarli do miejsca, z którego roztaczał się widok na porośniętą gęstym lasem okolicę. Księżyc wciąż świecił jasno, niejedno z nich poczuło się jak schwyte w pułapkę tym pogańskim królestwie.

Popatrzyli na Mórieo, w jego zachowaniu bowiem coś się zmieniło. . .

Powoli obracał głowę, spoglądając na piaski i bagniska, jeziora i ciemne plamy lasu.

— Widzisz coś? — cicho spytał Erling.

— Niewidzę — odrzekł z wahaniem. — Jesteśmy w niedobrym miejscu. Stąd nic nie widać.

— Leśnik mówił przecież, że znajdujemy się na właściwym obszarze — ostro sprzeciwiła się Catherine.

— Owszem, na obszarze, ale to dość szerokie pojęcie. Musimy iść bardziej na wschód.

— W stronę Trollkyrka, Zaczarowanego Kościoła? — zdziwił się Fredlund. — Prawdę mówiąc, tak właśnie myślałem. Tam las jest najstraszniejszy, aż dreszcz przechodzi na samą myśl. I tam jest naprawdę świetny punkt widokowy.

— Co to takiego Trollkyrka? — chciała wiedzieć Tiril.

— O, to taka formacja skalna, właściwie powinno być ją stąd widać. Trollkyrka to góra, która wygląda jak kościół z wieżą. Zdarza się, że gromady z wolnego kościoła odprawiają tam nabożeństwa, bo jak zapewne wiecie, ich działalność jest zabroniona. Przed wiekami było to miejsce pogańskich obrzędów, naprawdę strasznych. Gdy ktoś niewtajemniczony przypadkiem był świadkiem rytuałów, zmuszano go do milczenia. Albo przyłączał się do gromady, albo, jeśli odmówił, zniknął na zawsze w którymś z nieprzeliczonych bagnisk w niedostępnym lesie. Ale ruszajmy tam.

Rozpoczęła się najtrudniejsza część wędrówki. Odnalezienie Tistelgorm wydawało się czymś nieosiągalnym. Nigdy nie widzieli bardziej dzikiej przyrody. Głębokie rozpadliny na przemian z wysokimi ścianami głazów.

Drogę zagrażały olbrzymie kamienie, a las także był zdradliwy, niekiedy przez gęstwinę nie dawało się przedrzeć, innym razem, kiedy przydałyby się gałęzie, których mogliby się uchwycić, żeby nie spaść, drzew nie było, tylko oślizgłe, porośnięte mchem skały. A wśród cieni krążyły tajemnicze istoty...

Nigdy stąd nie wyjdziemy, pomyślała Tiril. Móri, bądź przy mnie, potrzebuje twojej bliskości, wyczuwam obecność upiorów, chcą mnie porwać!

Móri jakby usłyszał jej błaganie. Natychmiast się zatrzymał i zaczekał na nią. Bez słowa pomógł wspiąć się na występ skalny, potem, upewniwszy się najpierw, czy Catherine tego nie widzi, delikatnie pogładził ją po plecach.

Catherine jednak nie przestawała mówić o swym leśniku, na razie z jej strony nie było więc żadnego zagrożenia.

— Przeklęty las! — syknęła, kiedy spódnica zaczepiła się o gałąź. — Gdyby nie nadzieja, że jeszcze raz zobaczę leśnika, już dawno zawróciłabym do koni. Przecież on powiedział, że Tistelgorm nie istnieje, po co więc tak się mordujemy?

Tiril była skłonna przyznać jej rację. Wszystkim zresztą zmęczenie dawało się we znaki.

Móri spojrzał na niebo.

— Musimy się pospieszyć — stwierdził zatroskany. — Księżyc rozpoczął już wędrówkę w dół.

— Jesteśmy u stóp Trollkyrka — pocieszył go Fredlund.

— Dzięki Bogu — mruknął ktoś, wyrażając uczucia całej grupy.

W drodze pod górę Fredlund potknął się i skręcił nogę.

— Tego nam tylko brakowało — syknęła przez zęby Catherine.

Móri natychmiast zajął się przewodnikiem. Zbadał stopę.

— To nic poważnego — uspokajał Fredlunda. — Może się pan opierać na tej nodze, choć przez jakiś czas będzie to sprawiało ból. Spróbuję go złagodzić.

Patrzyli, jak wyjmuje coś z kieszeni i naciera tym stopę poszkodowanego.

— Szczyt jest tuż przed nami, pójdziemy więc przodem — zdecydował Erling. — Pozostał już tylko kawałek.

— Dobrze — zgodził się Fredlund. — Zaraz was dogonimy.

Móri z lękiem spojrzał na Tiril. Dziewczyna przez moment się zawahała, ale nie dostrzegła żadnego zagrożenia. W dole poniżej stromizny lśniły wody jeziora, odbijał się w nich wędrujący już w dół księżyc. Poszła wraz z innymi.

Widok z góry okazał się w istocie zachwycający. Jasne też się stało, dlaczego skałę nazwano kościołem. Kościołem dla niewidzialnych mieszkańców lasu, zbudowanym przez przyrodę.

— Czekamy na was! — zawołali z góry. — Musicie to zobaczyć!

Chodziło im szczególnie o Móriego. Tylko on mógł odnaleźć Tistelgorm. Tiril nic nie widziała. Owszem, dookoła wznosiły się skały najprzeróżniejszych kształtów, nie przypominające jednak zamku.

Nagle Catherine, wskazując przeciwległą stronę, zawołała:

— Spójrzcie! To znów nasz przyjaciel leśnik!

— Nie nazwałbym go przyjacielem — skrzywił się Erling.

— Muszę zejść na dół, pomówić z nim! Wiem, że przyszedł do mnie. Wasza obecność mu przeszkadza.

Zanim zdolali ją powstrzymać, zaczęła schodzić. Ześlizgnęła się po gładkich skałach i pobiegła przez las.

— Kompletnie oszalała! — westchnął Erling. — Wracaj, Catherine!

Widzieli, jak rozmawia z leśnikiem. Dopiero teraz rzuciło się w oczy, jaka jest wysoka, równa wzrostem strażnikowi lasu.

— Przeklęta baronówna — mruknął przygnębiony Erling.

— I po co nam to?

Catherine wreszcie podniosła głowę w ich stronę, miała jednak inne plany niż oni.

— Idę z naszym nowym przyjacielem. Spotkamy się przy koniach.

— Nie możesz tego zrobić! — krzyczał rozpaczliwie Erling.

— Pomyśl o skarbie, chcesz, żeby ci przeszedł koło nosa?

— Ee, ten wasz wymyślony zamek! Szukajcie go sobie dalej! Johan twierdzi, że on nie istnieje, a przecież kto jak kto, ale on powinien wiedzieć.

— Ach, tak, a więc to Johan — powiedział Erling. — Catherine! Wracaj!

Ona jednak tylko pomachała rozgniewanemu Erlingowi i wraz z leśnikiem weszła w las. Wkrótce zniknęli im z oczu.

— Do kroćset! — zdenerwował się Erling, który zazwyczaj nigdy nie przeklinał. — Do stu tysięcy piorunów!

— Czy ona tak wiele dla ciebie znaczy? — żalosnym głosem spytała Tiril.

— Catherine? Nie, na miłość boską, ale przyczynia nam tylu dodatkowych kłopotów. A jeśli będziemy musieli na nią długo czekać? Nie mam zamiaru zostawać w tym przekętym lesie ani przez moment dłużej, niż to konieczne!

— Tu jest niestychanie pięknie — wolno rzekła Tiril. — Ale zgadzam się z tobą. Tęsknię już za moim kochanym koniem.

Móri i lekko utykający Fredlund wdrapali się na górę.

— Co się dzieje? — pytali.

Erling, z twarzą pociemniałą z gniewu, opowiedział o kolejnym wybryku Catherine.

— Głupia kobieta — oświadczył Móri. — Zawsze myśli tylko o sobie. Przecież tak bardzo jej zależało na odnalezieniu skarbu, czyżby już o tym zapomniała?

— Najwidoczniej. Bardziej wierzyła słowom tego mężczyzny niż naszym dowodom na istnienie zamku.

— Teraz jej nie dogonimy — westchnął Móri. — Miejmy tylko nadzieję, że stawi się przy koniach we właściwym czasie. Ma wszak własnego przewodnika.

Tiril uznała, że dość już powiedzieli o Catherine.

— Móri, teraz cała nasza nadzieja w tobie. Jeśli nie dojrzymy zamku stąd, to nie zobaczymy go wcale. A my nic nie widzimy.

Czarnoksiężnik wolno powiódł wzrokiem we wszystkich kierunkach.

W końcu znieruchomiał, zapatrzony w część lasu, w której jeszcze nie byli.

Czekali w napięciu.

— Naprawdę go nie widzicie? — spytał zdumiony.

— Czego?

— Zamku! Tistelgorm!

Z całych sił wyteżali wzrok.

— Wybacz nam, zwyczajnym śmiertelnikom — rzekł wreszcie Erling. — Widzimy jednak tylko las i skały.

Móri stanął za nim i objął go za ramiona.

— Patrz teraz.

Erling czekał.

— O mój Boże! — jęknął wreszcie.

— Czy ja też mogę zobaczyć? — poprosiła Tiril.

Móri przysunął się teraz do niej, przekazując jej odrobinę ze swych nadprzyrodzonych zdolności. Potem przyszła kolej Fredlunda, a na końcu Arnego. Żadne nie zdołało powstrzymać się od okrzyków zdziwienia.

Ujrzeni, że grzbiety skał wystające ponad lasem są czymś więcej, niż wydawało się w pierwszej chwili. Przed oczami nie ukazał im się nagle wspaniały zamek, o, nie, wyraźnie jednak widać było ruiny wielkiej budowli. Porozrzucane resztki murów, prawdopodobnie z grubo ciosanego kamienia. Ruiny, czy też resztki ruin, rozpościerały się po drugiej stronie trudnego do przebycia uroczyska, lecz nie przerażająco daleko. Mogli dotrzeć tam dość szybko.

— Zapomnijmy teraz o baronównie i ruszajmy tam natychmiast! — w głosie Fredlunda zabrzmiał nowy zapal. Nawet Arne się ożywił, wróciła mu odwaga.

Znaleźli mocny kij, którym mógł podpierać się Fredlund, i zaczęli schodzić.

Erlinga ogarnęły wątpliwości.

— Rzeczywiście z Trollkyrka udało nam się zobaczyć ruiny Tistelgorm. Ale jeśli znów zagłębimy się w pradawny las... jak odnajdziemy zamek?

— Wcale się o to nie boję — stwierdził Fredlund. — Jest przecież z nami czarownik.

— Czarnoksiężnik — poprawiła go Tiril.

Przed wejściem do lasu zatrzymała się na moment.

Podniosła twarz ku niebu i nasłuchiwała. Z oddali doszedł ją jakiś dźwięk.

Wołanie, czy też raczej żalosny jęk?

Czyżby płacz? Kwilenie niemowlęcia porzuconego na pastwę losu?

Może kogoś wołano? Jakieś imię? Nie wyłapała, jakie.

Móri czekał na nią, pomógł jej zejść na dół.

— Co się stało?

Znalazła się wreszcie na płaskim terenie.

— Wydawało mi się, że ktoś woła. Jakieś imię. Krzyk poniósł się pod niebem.

— Chyba ci się wydawało. Ja niczego nie słyszałem. Dziś w nocy poza nami nie ma tu żadnych ludzi.

Czy to miało być pociechą? Tiril zadrżała, jakby owiał ją lodowaty wicher strachu.

Rozdział 12

Księżycowa noc.

Tiveden. Pradawny krajobraz. Welony mgły unoszące się nad moczarami. Atmosfera czarów i pogaństwa. . .

Tiril wyczuwała to wszystko, przedzierając się przez podmokłe tereny wokół Trollkyrkosjön, Jeziora Zaczarowanego Kościoła. Zostało ich pięcioro, no i oczywiście Nero. Prowadzili go teraz na smyczy, nie mieli czasu na nie zaplanowane wycieczki.

Przez ciągnące się przed nimi bagnisko porykując przeszedł łoś. Nieoczekiwane spotkanie przestraszyło go tak samo jak ich. Poruszając się długimi susami zniknął w zaroślach.

Potem przeleciała wielka sowa, mocno bijąc skrzydłami. Omal nie uderzyła Arnego w głowę. Zaraz jednak i ona zniknęła.

— Jaka olbrzymia! — zdumiał się Erling.

— To puchacz — wyjaśnił Fredlund. — Wielu twierdzi, że nie istnieje, że to tylko bajka. W każdym razie to rzadki ptak.

— Zapewne grozi mu wyginięcie, jak wielu innym pięknym zwierzętom. — W głosie Móriego dzwięczał gniew.

— Czy to nie dziwne, jak wielu tak zwanych badaczy przyrody rzuca się na rzadkie zwierzęta i ptaki? Zakłócają ich rytm życia, zagląдают do orlich gniazd. . . a pewien jestem, że nikt nie zajął się zbadaniem życia wróbli albo srok. Są zbyt powszechne i dlatego nieciekawe, a przez to nic o nich nie wiemy.

Tiril cały czas starała się trzymać jak najbliżej Móriego. Właściwie być może popełniała błąd, wszak to on dostrzegał niewidzialne dla innych stworzenia, przyciągał je do siebie. Ale też i on mógł ją przed nimi ochronić, odpędzić od niej.

Erling być może dawał większe poczucie bezpieczeństwa, nie potrafił jednak przeciwstawić się mrocznym stworom grasującym tej nocy.

Tiril ani przez moment nie wątpiła w ich istnienie. Czyż nie widziała roztańczonych elfów na bagnie, które mijali? Czy nie słyszała ich szeptu, kuszenia? Ścisnęła wtedy Móriego za rękę jak wystraszone dziecko.

Móri zrozumiał ją, bo on także widział te istoty, poznała to po spojrzeńcach ukradkiem rzucanych w tamtą stronę.

Nagle Tiril doznała olśnienia: ujrzała je właśnie dlatego, że trzymała Móriego za rękę!

Roześmiała się pomimo dławiącego ją strachu. Mogła teraz puścić Móriego, by uniknąć widoku innych stworów, nie zdecydowała się jednak na to.

Kobieca logika bywa czasami naprawdę zaskakująca.

W leśnych otchłaniach coś się poruszało, w grotach pod głazami błyszcząły czyjeś ślepie, słychać było szelest kroków, jakiś krzyk w oddali...

Nagle Tiril przypomniał się zasłyszany w dzieciństwie wierszyk mający odgonić strach w ciemności. Wprawdzie zwykle wypowiadano go w pomieszczeniu, uznała jednak, że i w tej sytuacji nie zaszkodzi:

„Coś w kącie się czai
na progu szeleści
a kysz, a kysz, a kysz!”

Ostrożnie zerknęła za siebie. Trollkyrka wznosił się majestatycznie niczym pomnik pradawnych pogańskich rytuałów, odprawianych tu w zamierzchłych czasach. Od podnoszących się z ziemi welonów mgły niebo nad ziemią zaczynało tracić swą wyraźną granatową barwę. Księżyc świecił ostrym, irytującym blaskiem.

Z drugiej strony bagien rozległo się przeraźliwe, piekielne wycie.

— Wilk — lakonicznie stwierdził Fredlund.

Inny wilk odpowiedział przeciągle, jakby skarżył się srebrnemu księżycowi.

— Chyba wracam do domu — oznajmiła Tiril

Roześmiali się z jej słów, lecz w śmiechu dało się wyczuć niepewność.

Móri zatrzymał się, by wybrać kierunek. Musieli zagłębić się w las, a tam odnalezienie drogi nie przychodziło łatwo.

— Zabłądziliśmy? — cicho spytał Erling.

— Nie — odparł Móri. — Nie to. Ale...

Tiril uprzedziła jego słowa.

— Jesteśmy obserwowani, prawda?

— Tak. Wiemy, że las ma tysiąc oczu. Śledzą nas sowy, kruki i jastrzębie. Ale nie tylko...

— Łoś? Wilk? Niedźwiedź? A może ryś albo lis? — dopytywał się Fredlund.

— Nooo — Móri unikał odpowiedzi wprost.

Tiril mocno szarpnęła go za ramię.

— Spójrzcie! Tam, w lesie!

Popatrzyli w stronę, którą wskazała.

— Co to było? — dziwił się Erling. — Nic nie widziałem.

— Tiril dostrzegła to samo co ja, ponieważ trzyma mnie za rękę — odpowiedział Móri. — Nie ma się czym przejmować. To były tylko cienie. Nie wiem dokładnie, co. Jedne z tajemniczych istot mieszkających w lesie. Nic nam nie robią.

— Czy pan w nie wierzy? — ze sceptycyzmem pytał Fredlund.

— Dla kogoś, kto otrzymał dar, albo, jak kto woli, na kogo spadło przekleństwo, to nie kwestia wiary, lecz wiedzy. Mówiąc, że jest tu coś jeszcze, myślałem o tym, że wyczuwam opór. Dotąd wolno nam było dojść. Ale nie dalej.

— Chyba teraz nie zawrócimy! — sprzeciwił się Erling.

— Nie, choć powinniśmy. Ktoś chce wyrządzić nam krzywdę. Czuję to, odkąd wjechaliśmy w Tiveden. W Gôrtiven to przecucie się spotęgowało.

— Czy daleko jeszcze do Tistelgorm? — nieśmiało zagadnął Arne. W blasku księżycy jego wargi zdawały się całkiem białe.

Móri podniósł głowę jak wężące leśne zwierzę.

— Nie — odparł wolno. — Jesteśmy zbyt blisko.

Ciszę znów przerwało wycie. Drgnęli przerażeni. Odgłos echem odbił się od skał i rozpląnął w powietrzu. Fredlund szepnął przerażony:

— To nie było wycie wilka.

— Macie rację — potwierdził Móri.

Przeszukał kieszenie i wręczył każdemu ochronny znak, tylko Tiril nie dostała, bo i tak miała ich już ze trzy. Móri krótko objaśnił, czym są magiczne runy. Wyznał przy tym, że nigdy jeszcze nie brał udziału w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu.

— Nie wiem, co się stanie ani kogo spotkamy. Posłużę się całą swoją wiedzą, by zapobiec nieszczęściu. Postaram się, aby nikogo z nas nie spotkało nic złego. Erlingu, czy możesz zaopiekować się Nerem? Jeśli psa coś przerazi, Tiril może go nie utrzymać, a nie chcę, by Nero się od nas oddalał. Trzeba pilnować, żeby się nie wyrwał.

Erling od razu przejął smycz z ręki Tiril. Fredlundowi Móri nakazał zaopiekować się Arnem. W ten sposób każdy z trzech „silniejszych” otrzymał zadanie dopilnowania podopiecznego. Tiril uradowała się, że Móri zajmie się właśnie nią.

Prawdę mówiąc nie bez ulgi przyjęli nieobecność baronówny.

— Przyznam się, że nie pojmuję gustu Catherine — odezwała się Tiril — Co ona zobaczyła w tym leśniku? Toż to stary dziad!

Fredlund stanął jak wryty. Widząc jego reakcję, wszyscy się zatrzymali.

— Stary dziad? — powtórzył zdumiony.

— No, może nie dziad, ale za stary jak dla Catherine.

— Mnie też się to rzuciło w oczy — przyznał Erling. — Co prawda nieźle się trzyma, ale włosy i brodę miał posiwiate.

— I był taki niski — przyłączył się do nich Arne. — Brudny. Wystraszyłem się go.

Fredlund zdziwiony przenosił wzrok z jednego na drugie.
— Powiedzcie mi, o kim wy właściwie mówicie?
— O leśniku, rzecz jasna!
Po chwili złowróżbnego milczenia oberżysta z Ramundeboda oznajmił:
— Leśnik z Tiveden to mężczyzna w pana wieku, panie Müller. Wysoki, chudy Fin o jasnych, pszenicznych włosach. Nie nosi brody.
Nastała chwila milczenia.
— Ani pan Fredlund, ani ja go nie widzieliśmy — rzekł wreszcie Móri. — Nie bardzo więc możemy się wypowiadać.
— Ten, z którym zniknęła Catherine, na pewno nie był Finem — oznajmiła Tiril — Mógł być Duńczykiem, Niemcem albo Holendrem.
Erling i Arne przytaknęli.
— To samo pomyślałem — dodał Erling.
— Czy powiedział, że jest leśnikiem? — spytał Móri. W jego oczach zapłonęły źle wróżące iskielki.
— Nie... — przyznała Tiril. — Ale kazał nam się wynosić z jego lasu. Twierdził, że zakłócamy spokój zwierzętom. A może to Młody Myśliwiec? Norweg, który tu straszy?
— Nie bądź niemądra! — ofuknął ją Erling.
— Skąd wiesz, że nie był Finem? — spytał Tiril Móri.
— Finowie mówiący po szwedzku akcentują wyrazy na pierwszą sylabę, podobnie jak ten miły staruszek, którego spotkaliśmy. Ojczystą mową leśnika jest któryś z języków germańskich, gotowa jestem to przysiąc.
Erling i Arne jednogłośnie przyświadczyli.
— Ale z kim wobec tego poszła Catherine? — zachodziła w głowę Tiril.
Fredlund zamyślił się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.
— No cóż, mogli sprowadzić jeszcze jednego leśnika, ja nie muszę o wszystkim wiedzieć. Wszak Ramundeboda od Olshammar, głównej wioski po wschodniej stronie, z której zwykle pochodzą leśnicy, dzieli całe Tiveden.
— Och, oczywiście, że tak — Erling ucieszył się z takiego wyjaśnienia.
Pomaszerowali dalej.
Tiril jednak spostrzegła, że Móriego to nie przekonało.
Dotarli do obszaru, gdzie podszycie stanowił miękki mech. Przy każdym kroku stopy zapadały się głęboko, była to przyjemna odmiana po długiej wędrówce po skałach i ubitym piasku. Las jednak rósł tu gęściej, spowity w mrok. A potem stało się to, czego tak długo się obawiali.
Nad horyzontem kłębiły się chmury. Od czasu do czasu któraś odłączała się i gnała po niebie, na kilka sekund zasłaniając księżyc.
Tak właśnie stało się teraz, lecz tym razem chmura była znacznie większa.
Tiril odruchowo mocniej ścisnęła Móriego za rękę.
— Do diaska! — mruknął Erling.

— Tak — szepnął Móri. — Bo chyba dotarliśmy na miejsce.

Stali przed kolejnym usypiskiem głazów.

— Czy mamy dostać się na górę? — zaniepokoił się Arne. — Tego się po prostu nie da zrobić!

— Nie. Tuż przed zniknięciem księżycy coś zobaczyłem — powiedział Móri.

— Co takiego?

— Od dawien dawna zarośniętą ścieżkę w mchu. Wiodła wprost w skałę.

— Czyżby do jakiejś grotty? — domyślił się Erling.

— Możliwe. Musimy to sprawdzić.

Księżyc okazał im co nieco życzliwości i wyjrzał zza chmury na moment, dostatecznie długi, by mogli się przekonać, że w istocie biegła tamtędy stara ścieżka. Fredlund nazwałby ją raczej prastarą drogą, musiała bowiem niegdyś być dość szeroka. Pospieszenie starali się określić kierunek i zaraz księżyc znów zniknął.

Jakże ciemność utrudniała im dalsze działanie! Tiril zrozumiała, ile mieli szczęścia, wędrując całą noc w blasku księżycy.

— Rzeczywiście, jest tu jakiś otwór. — Erling dotarł do skały pierwszy. — Ale naprawdę trudno go zauważyć, ścieżka przy skale gwałtownie opadała w dół. Kiedy już znaleźli się przy otworze, zorientowali się, że grotta jest całkiem spora. U wejścia do niej znajdowały się dwa głazy. Na górze stykały się ze sobą tak, że ledwie można się było domyślić, gdzie się który kończy, na dole jednak było między nimi dużo przestrzeni.

Kiedy ześlizgnęli się na dół do wejścia, okazało się, że mogą się swobodnie wyprostować.

— Równy, gładki korytarz — zdziwił się Erling. — Pewnie w dawnych czasach, zanim głazy głębiej zapadły się w ziemię, dało się nawet przejechać tędy konno.

— Pewnie tak — burknął Fredlund.

Ich głosy echem odbijały się od ścian.

— Korytarz pnie się pod górę — zauważył Arne. Najpewniej był rad, że towarzyszy mu trzech dorosłych mężczyzn.

Nero gorączkowo obwąchiwał ziemię.

— Spokój! — nakazał mu Erling, którego pies ciągnął z całych sił. — Nie bój się, pójdziemy dalej.

— Na pewno znalazł jakiś trop — uśmiechnął się Fredlund. — W każdym razie bardzo stary. Albo gorzej. Słuchaj, Nero, nie życzymy tu sobie spotkania z wilkami! Nie mamy na to czasu.

— Rzeczywiście, ta jama świetnie by się nadawała na kryjówkę wilka — stwierdził Erling. — Może to one wydeptały ścieżkę?

Tiril uznała, że mówią o zbyt strasznych rzeczach, nie omieszkała też im tego wypomnieć. Zajrzała pod masywne skalne ściany, ale w ciemności nic nie widzia-

ła. Nie poprawiło to jej nastroju. Fantazja zaczęła pracować, wyobraziła sobie, co może się tam kryć, śledzące ślepia istot gotowych do ataku.

Nagle Móri się zatrzymał. Stanął na środku korytarza jak wryty.

Towarzysze, idący za nim, z konieczności także przystanęli.

— Wyczuwam opór — oświadczył cicho.

Teraz i oni wyczuli, że niewidzialny miękki mur zagroził im drogę. Sprężysty, lecz bardzo mocny. Odchylał się, ale nie puszczał.

— Co to jest? — zdumiał się Fredlund.

— Czarodziejska moc. Nie przejdziemy.

— Może bokiem — zaproponował Erling i skierował się w lewo.

W tej samej chwili wszyscy zanieśli się krzykiem i odskoczyli. Z mroku, w który próbował zagłębić się Erling, wypadło kilka istot i ze świstem przeleciało im nad głowami.

Tiril osłaniała się, ale i tak kilka stworzeń uderzyło ją w twarz. Wrzasnęła, lecz udało jej się pochwycić jedno z nich.

— Nietoperze — stwierdził Móri akurat w momencie, gdy sama je rozpoznała.

— Są niegroźne, zostawmy je!

Na szczęście mała bestyjka, którą złapała Tiril, zdołała się uwolnić, obie więc wyszły z tego bez szwanku. Za moment wyleciało jeszcze kilka nietoperzymaruderów, a potem zapanowała cisza.

— Ale to nie koniec — rzekła Tiril z niechęcią. — Są tu jeszcze inne istoty.

— Owszem — potwierdził Móri — Wyjmijcie swoje ochronne znaki, spróbujcie przełamać ten mur. Gdybym tylko znał ich tajemną formułę...

Zrobili tak bez najmniejszych protestów. Tiril usłyszała, że Arne szeptem odmawia modlitwę. Doskonale, pomyślała. To na pewno nie zaszkodzi.

Nagle zorientowała się, że coś wielkiego, bezkształtnego tkwi pod skałą koło niej. Z pewnością nie był to niedźwiedź. To coś miało więcej wspólnego z istotą, o której opowiadał jej kiedyś Móri, z ciężkim potworem leżącym w nogach łoża siry Jona Magnussona ze Skutilsfjördhur, zesłanym na niego przez dwóch czarnoksiężników.

Historia się powtarzała. Jak wtedy na Islandii, także teraz potworną istotę sprowadzili dwaj czarnoksiężnicy, ojciec i syn. Sira Jon, choć był bogobojnym człowiekiem, w dodatku księdzem, nie zdołał zwyciężyć ich mocy.

Czy Móriemu, potężnemu czarnoksiężnikowi, uda się pokonać stwora?

Nero także odkrył, że w korytarzu coś jest. Warczał cicho, lecz powstrzymał go charakterystyczny dla psów strach przed zjawiskami nadprzyrodzonymi. Cofnął się trochę, schował za mocno trzymającym go Erlingiem.

Fredlund spytał, czy ma zapalić pochodnię, lecz Tiril zaprotestowała. Chyba nie ona jedna była tego zdania.

Wąski pasek światła wpadał od góry z prześwitu między blokami skalnymi, trochę blasku dochodziło też z tyłu i odrobinę z przodu. Błede niebieskawe światło

nocy, zbyt słabe, by do czegoś się im przydało.

Trzymali się więc blisko siebie. Arne po omacku odnalazł krawędź bluzy Tiril, a dziewczyna się nie odsunęła. Sama przylgnęła do Móriego najbliżej jak się dało.

Słyszała ciężkie oddechy mężczyzn.

Potem rozległ się głos Móriego.

Tiril słyszała już, jak zaklinał po islandzku, dla innych natomiast było to niespodzianką.

Magiczna pieśń uczyniła na nich niesamowite wrażenie. Echo w skalnym korytarzu potęgowało ją jeszcze bardziej, jakby wszystkie tajemne rytuały z pradawnych czasów skupiły się w tym jednym monotonicznie wypowiedzanym zaklęciu.

Tiril i Arne zauważyli coś jeszcze.

— Móri — szepnęła dziewczyna. — „To” podpełza bliżej.

— Wiem — odparł, na chwilę przerywając rytuał. — Ale ja muszę skoncentrować się na tym, co stawia opór. Ta moc jest potężniejsza. Wyjmij najsilniejszą z run, które ode mnie dostałaś, tę należącą kiedyś do mnie. Wyciągnij ją w stronę tego zdusza czy stworza czającego się pod skałą!

Cóż za straszne słowa! Nie przypuszczała, że kiedykolwiek je usłyszy z ust Móriego.

Ale nawet Móri nie potrafił właściwie nazwać istoty wyciągającej się teraz ku nim i powoli owijającej duszącą wełnistą ciemnością.

— Móri! — zawołał Arne. — Ono nas pochłonie!

— Stójcie spokojnie — nakazał Móri. — Jeśli rzucicie się do ucieczki, będziecie straceni. Tylko przy mnie jesteście bezpieczni. Tiril, znalazłaś odpowiedni znak?

Tiril wymacała kawałek drewna z wyrytą na nim magiczną runą, o który prosił Móri.

— Tak. Czy wystarczy, że będę go trzymać? Może powinnam coś powiedzieć?

— Po prostu trzymaj. — Po głosie poznali, jak bardzo jest spięty. A wy... Jeśli znacie jakąś modlitwę, odmówcie ją teraz.

I znów zaklęciami próbował obalić wyrosły przed nimi niewidzialny mur. Jak wcześniej włączył w nie imię Boga lub Chrystusa.

Fredlund, Arne i Erling głośno odmawiali Ojciec nasz. Wszyscy poza Mórim skupili się na tajemniczej istocie, która z każdą chwilą stawała się coraz większa. Na dźwięk słów modlitwy i na widok podniesionego przez Tiril w górę magicznego znaku stwór zawahał się jakby i odrobinę cofnął, lecz nie zrezygnował.

Móri zakończył już swą monotonną czarodziejską pieśń, teraz jedno po drugim odmawiał zaklęcia, mocniejszym, bardziej władczym głosem. Stojąca najbliżej niego Tiril spostrzegła, że wyciągnął nowy magiczny znak, rzucił go w stronę niewidzialnego muru, wykrzykując przy tym kilka słów, których nie mogła zrozumieć, wyczuwała jednak, że mają niesamowitą moc. I nagle w grocie zapadła niezwykła cisza.

Mroczna bezkształtna istota powoli wycofała się w cień, jakby zniknęła, lecz nie mogli tego stwierdzić na pewno, w ciemności bowiem nic nie widzieli. Z piersi Arnego wyrwał się głuchy szloch.

Móri postąpił o parę kroków w przód i podniósł z ziemi swój drogocenny magiczny znak.

— Opór przestał istnieć — oznajmił. W jego głosie wyczuwało się jednocześnie napięcie, dumę i zmęczenie.

— Teraz zdołamy przejść.

Tiril ośmieliła się spytać:

— Co to za istota wyłoniła się z cienia? Pan na zamku?

— Nie, nie, to tylko plód czarnej magii. Stworzony, by czuwać nad wejściem, pilnować niewidzialnego muru.

— Czy ci, którzy tu mieszkali, byli wielkimi czarnoksiężnikami?

— Posiedli niezwykle potężną, groźną moc. Powędrowali dalej wznoszącym się lekko w górę korytarzem. Fredlund powoli odzyskiwał normalny oddech.

— Nigdy więcej nie będę się wyśmiewać ze starych historii o duchach! Wszyscy powinniśmy się cieszyć, że dziś w nocy towarzyszy nam Móri.

— O, tak! — rzekł Arne z przekonaniem. Bardzo niechętnie szykował się do zwrócenia swego magicznego znaku.

— Nie, zatrzymajcie je — powiedział Móri. — Jeszcze przez jakiś czas możecie potrzebować ochrony.

Te słowa wcale nie dodały im otuchy.

Dotarli do wyjścia ze skalnego korytarza. Tiril z krzykiem wybiegła na zewnątrz, gdy jakaś wielka sowa poderwała się w górę.

W mroku nocy niewiele mogli zobaczyć, nie było jednak wątpliwości, że oto stoją przed ruinami prastarego zamku. — Tistelgorm — szepnął Fredlund. — Nie wierzyłem, że kiedykolwiek w życiu go zobaczę!

Rozdział 13

Tuż przed nimi wznosił się mur z wielkich prostokątnych kamiennych bloków. Nic dziwnego, że nie zauważyli go wcześniej; otaczające skały skrywały go z zewnątrz, ponad głązy wystawały zaledwie fragmenty.

— Czarnoksiężnik z Tierstein znalazł sobie doskonałe miejsce — mruknął Erling. — Skalne ściany dookoła są tak gładkie, że nikt nie śmiał się na nie wspinać. To wybryk natury, że wśród beładnie rozrzuconych „kartaczy olbrzymów” znalazło się dość miejsca na budowę. A później zamek popadł w zapomnienie, stał się legendą.

— Skąd on czerpał budulec? — zastanawiała się Tiril.

Księżyc właśnie postanowił odzyskać władzę na niebie. Odetchnęli z ulgą. Erling obmacał skalne ściany.

— Stąd wyrąbano kawałki — stwierdził. — Miał dość budulca pod ręką. Uf, co za okropne miejsce, aż dreszcz przechodzi!

— Nie tobie jednemu się tu nie podoba — posępnie rzekł Móri.

Teraz zamek widać było lepiej. Wiele kamieni odpadło, lecz niektóre ściany, zwłaszcza te stojące w obrębie zniszczonych murów, ocalały.

Wspięli się po kilku zwalonych blokach — z pewnością nie było to niegdysiejsze główne wejście — i znaleźli się w porośniętym trawą miejscu, którym dawno temu musiał biec wewnętrzny korytarz.

W środku panowała niezwykła cisza. Gdzieś z bardzo, bardzo daleka dobiegał szum drzew Tiveden. Nie słyhać jednak było żadnych ptasich głosów ani wycia wilków.

Korytarz najwidoczniej otaczał niegdyś wewnętrzny zamek. Nagle stanęli przed bramą. Z zewnętrznej bramy nic nie zostało, to wejście natomiast prowadziło zapewne do części mieszkalnej.

Drzwi naturalnie rozsypały się w proch, pozostał jedynie otwór w murze. Nad nim w kamiennym bloku wryto herb.

— Przydałaby nam się teraz Catherine — mruknął Erling.

— Powiedziałyby nam, czyj to herb.

— Prawdopodobnie Tierstein — podsunął Fredlund.

— Spójrzcie! — zawołała Tiril. — Tu są jakieś litery! Całe słowo! Co prawda napisane runami — dokończyła przygaszona.

— No cóż, moja znajomość run pozostawia wiele do życzenia — przyznał Erling. — Może pan, panie Fredlund. . .

— Hm. . . — niepewnie chrząknął oberżysta. — Widzę, że zaczyna się na T, a w środku jest S, lecz poza tym muszę przyznać, że. . . Pocięszam się tylko tym, że litery są zatarte.

Nagle Tiril coś się przypomniało.

— Móri, twoje zaklęcia zapisane są runami! Wiem, wiem, magicznymi runami, pierzastymi, ale coś chyba musi być podobne?

Ustąpili miejsca Islandczykowi.

— Spróbuję — powiedział. — Ale rzeczywiście ledwie je widać.

Czekali. Móri badał każdą runę z osobna.

— Czy tam jest napisane „Tistelgorm”? — dopytywał się Arne.

— Nie, ale prawie. W środku bardzo wyraźnie widzę „stein”.

Gryzł się w czubek kciuka, z mozołem usiłując poskładać runy w sensowne słowo.

— Już wiem — oznajmił wreszcie. — Napisano tu „Tiersteingram”.

— A więc nie żadne Tistelgorm — pokiwał głową Erling. - I nie ma to związku ze Szkocją. Po prostu zniekształcone niemieckie słowo. Tiersteingram? Przyda się na coś moje hanzeatyckie pochodzenie. To znaczy tyle, co „Zgryzota Tierstein”!

— Zgryzota? Dlaczego? — zastanawiała się Tiril.

— Nie mówiłem wam? — zdziwił się Fredlund. — Wybaczcie, to przez zapomnienie. Hrabia, który tu mieszkał, dość wcześnie stracił żonę, szwedzką księżniczkę. Nie mógł się pogodzić z tym ciosem, w końcu postradał rozum. W atakach wściekłości lub może wiedziony pragnieniem zemsty żądał od czasu do czasu dziewicy z wiosek wokół Tiveden. Młode panny nigdy nie wracały.

— Czy w końcu miał ich cały harem? — spytał Erling.

— O tym się nie mówi — odparł oberżysta. — Pamiętajcie, że to tylko legenda!

— Podobnie było z Tistelgorm — przypomniał Móri.

— No tak, macie rację.

Wejźmy do środka, dopóki księżyc ma jeszcze ochotę świecić — zaproponował Erling.

Tiril nie mogła pozbyć się paskudnego uczucia, że są stale obserwowani, że gdzieś w cieniu łypią na nich jakieś oczy. Westchnęła.

— Wiem o tym — cicho powiedział Móri. — Nie jesteśmy sami.

Przeszli do większego pomieszczenia. Na środku wyrosły tu drzewa.

— Uwaga! — krzyknął nagle Erling.

Przyciągnął do siebie idącego przodem Fredlunda. W miejscu gdzie przed ułamkiem chwili stał oberżysta, runął na ziemię olbrzymi kamienny blok.

Wystraszyli się. Podnieśli głowy, ale nad nimi widać było tylko mur.

— Może powinniśmy zawrócić? — podsunęła Tiril.

Móri jednak znów zachowywał się dziwnie, bardzo tego u niego nie lubiła. Wszyscy się zorientowali, że coś wyczuwa.

— Co się dzieje, Móri? — zapytał Erling.

— Mamy nie zawracać — odparł wreszcie Islandczyk. — Mamy szukać.

— Ho, ho! — roześmiał się Erling. — Czyżbyś zwietrzył zbiór czarnoksięskich formuł i środków?

Móri westchnął. Jego niepewność ich przeraziła.

— Móri — rzekł Erling z naciskiem. — Wiesz, że bez ciebie jesteśmy bezradni, ufamy ci! Nie możesz nas teraz zostawić!

— Nie opuszczę was. Pamiętaj jednak, że mamy do czynienia z mocą innego czarnoksiężnika, a nawet dwóch, jeśli się nie mylimy, dwóch potężnych, mocarnych znawców wiedzy tajemnej. To oni położyli zaklęcie na oczy ludzi, dlatego nigdy ani nie widziano zamku, ani nie znaleziono drogi do niego.

Zamyśleni pokiwali głowami. Oczywiście Móri miał rację. Fakt, że dotąd nikt nigdy tu nie trafił, dawał do myślenia.

— Mówiliście, że mamy szukać — zwrócił się Fredlund do Móriego. — To nie powinno nam zająć dużo czasu.

Rozejrzeli się dokoła i przyznali mu rację. Z miejsca, którym się znajdowali, roztaczał się widok na całe ruiny, bo zachowały się tylko niektóre z wewnętrznych ścian, natomiast wyraźnie było widać całą architekturę zamku. Dwa większe pomieszczenia, z których jedno musiało być salą rycerską, kilka mniejszych komnat. Zamek przypominał Tiril ruiny klasztoru, który widziała w okolicach Bergen. Tistelgorm — czy Tiersteingram, jak chyba naprawdę zwał się zamek — był mniejszy i z całą pewnością nie wybudowano go na chwałę Boga. Jeśli jednak pan na zamku w istocie był czarnoksiężnikiem, być może miał oddzielną komnatę na swe studia i eksperymenty?

Głośno powtórzyła to pytanie.

— No cóż — rzekł Móri niepewnie. — Ani ja, ani żaden z moich przodków, ba, nawet sira Eirikur z Vogsos nie miał oddzielnej izby do tych celów, lecz w czasach, kiedy budowano tę twierdzę, przy większym bogactwie... Kto wie, może tak właśnie było?

Nero, dziwnie spokojny od czasu zetknięcia z potworem w skalnym korytarzu, zaczął teraz obwąchiwać ziemię i ciągnąć w określonym kierunku.

— Na pewno znalazły tu sobie kryjówkę jakieś zwierzęta domyślił się Erling. — Chodźcie, przejdziemy się po komnatach!

Nie było to wcale łatwe, wszędzie wszak walały się kamienne bloki, które powypadały ze ścian.

Tiril z dumą zdała sobie sprawę, że najprawdopodobniej jako pierwsi ludzie od niepamiętnych czasów postawili tu nogę. Dumie tej jednak towarzyszył lęk

i gorące pragnienie, by możliwie najprędzej opuścić to miejsce, uciec daleko, jak najdalej stąd, zanim będzie za późno.

Za późno? Cóż za straszna myśl!

Usłyszała, że towarzysze zastanawiają się nad przeznaczeniem poszczególnych komnat. Otwory w murze, w których opierały się kiedyś drewniane belki, wskazywały na istnienie górnego piętra albo wieży. Tak, tak, zapewne hrabia i jego księżniczka pragnęli, by ich siedziba była niezwykle okazała.

Tiril znów stanęła nasłuchując. Często tak robiła, nie mogła bowiem pozbyć się wrażenia, że coś czai się w powietrzu lub w kamiennych ścianach. Docierał do niej ostrzegawczy pomruk, jakiś potworny głuchy głos, jakby wydobywający się z głębi gardła, które przestało istnieć.

Cóż za głupstwa! Spróbowała odegnać niepokój. Wszyscy jednak chyba wyczuwali, że nie są w zamku mile widzianymi gośćmi. Arne wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć ze strachu, a w oczach opanowanego Fredlunda pojawiła się niezwykła zaduma. Wszyscy pokładali nadzieję w Mórim, a ponieważ i on niczego nie był pewien, tym większy odczuwali lęk.

Nero, popiskując, uparcie ciągnął w jedną stronę.

— Poczekaj, Nero! — zniecierpliwił się Erling. — Zaraz tam pójdziemy.

Nagle Tiril, idąca na końcu, skoczyła w przód. Odwrócili się.

— Co się stało? — spytał Móri.

Obejrzała się na otwór, przy którym przed chwilą stała.

— Wydało mi się, że... że coś się czaiło, chciało zaatakować mnie od tyłu. O mały włos, a by mnie dopadło.

— Jesteśmy przewrażliwieni, nie wolno nam przesadzać — oświadczył Erling. — I tak nie jest tu zbyt przyjemnie.

— Tiril wcale nie jest przewrażliwiona — bronił Móri dziewczyny. — Przez cały czas wiedzieliśmy, że coś się tu kryje, prawda?

Arne przedstawił pomysł, który mu wpadł do głowy:

— Teraz, kiedy wiemy, że zamek naprawdę istnieje i gdzie szukać wejścia, moglibyśmy chyba odejść i wrócić za dnia?

Zapadła cisza.

— Doskonały pomysł, Arne — odparł Móri, a pozostali przytaknęli. Chłopak się rozjaśnił. — Pamiętaj tylko, że jesteśmy na nogach już prawie całą dobę — podjął Móri.

Wszystkim daje się we znaki zmęczenie. Moim zdaniem powinniśmy załatwić wszystko, co mamy do załatwienia, i skończyć z tym ponurym zamczyskiem raz na zawsze.

Arne zastanowił się chwilę.

Tak, pewnie macie rację. Nie śmiałbym chyba tu wrócić nawet w bardzo jasny słoneczny dzień.

— Rzeczywiście — przyznał Erling. — Zróbmy to, co do nas należy. Nie powinno nam to zająć dużo czasu, bo obeszlśmy już chyba wszystkie komnaty.

— Nie znajdując trzeciego kawałka figurki demona — powiedział Fredlund. — A przecież po to przyjechaliśmy.

— No tak, i żeby dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu Tiril — dodał Erling. — Ale chyba błądzimy po manowcach.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z tym strasznym zamczyskiem! — gwałtownie wykrzyknęła Tiril. — Nero, nie ciągnij tak!

— Może powinniśmy iść za nim — łagodnie zauważył Móri. — A nuż pies ma więcej rozumu od nas?

Pozwolili Nerowi iść tam, gdzie chciał. Czując, że postawił na swoim, ciągnął jeszcze mocniej, o mało nie wywracając przy tym Erlinga.

Ku ich zdumieniu pies poprowadził ich z powrotem, w stronę wyjścia. Przed otworem wejściowym skręcił jednak w lewo i przeskoczył przez wewnętrzny mur na biegnący wokół zamku korytarz, który niegdyś zapewne był zabudowany. Erling zawadził o mur, potknął się, przeklął pod nosem, wspiął się po kamieniach i zeskoczył.

Erling miał swoją wagę. Poczuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp, i z krzykiem runął w dół. Jama musiała być głęboka, bo pociągnął za sobą Nera. Tiril nie śmiała się domyślać reakcji Erlinga, gdy wielki pies zważył mu się na głowę.

— Erlingu! — zawołali przerażeni. Po krótkiej chwili z dołu rozległ się jego głos:

— Jestem tutaj! Zmiażdżony przez psa, ale jakoś z tego wyjdę.

— Odsuńcie się, my też zejdziemy — zdecydował Móri. — Czy to bardzo głęboko?

— Zwykła wysokość pomieszczenia. Proszę zabrać krzesiwo, panie Fredlund!

— Już zapalam hubkę.

Móri zeskoczył pierwszy, a potem pomógł zejść innym.

— Ale Nero wcale nie prowadził nas tutaj — zauważył Erling. — Chciał iść ku skale.

— Musi być jakieś normalne wejście do tych podziemnych pomieszczeń — uznał Móri. — Prawdopodobnie Nero je wywęszył.

Arne zabrał z góry spróchniałą gałąź, użyli jej jako pochodni. Powoli oczy przyzwyczajały się do światła.

— Gdzie my jesteśmy? — dziwiła się Tiril. — Co to za piwnica?

Rozejrzeli się dokoła. Loch był wielki, ciągnął się pod połową budynku. W kącie Móri odnalazł szczątki czegoś, co kiedyś mogło być prymitywnymi aparatami. Niewiele teraz z nich zostało.

— Nie przydadzą się już do magicznych eksperymentów — zauważył cierpko. — Trudno nawet się domyślić, do czego mogły służyć. Ale za nimi leży cały stos ludzkich kości. Czaszki? Kobięce? Och, to przecież szczątki młodych dziewczic!

Jęknęli, zdjęci żalem i przerażeniem.

Tiril zgarnęła pajęczynę z włosów. Pragnęła jak najprędzej opuścić ten potworny loch. Ze ścian wzniesionych z ubitej ziemi wystawały resztki zgniłych belek, sklepienie podtrzymywały kamienne słupy, robactwo wystraszone blaskiem pochodni rozpełzło się po kątach, w powietrzu unosił się odór spleśniałej ziemi i zgnilizny. I te biedne dziewczęta!

Najstraszniejsze jednak było wrażenie czyjejs obecności. Tutaj wzmogło się jeszcze bardziej, ostrzeżenie zmieniło się w tłumiony na razie gniew. Z całą pewnością nie byli tu mile widziani.

Prawdę powiedziawszy, znaleźli się w niezwykle trudnym położeniu. Tylko czarodziejskie zdolności Móriego mogły ochronić ich przed niezwykłym oporem, jaki tu napotkali.

Wyciągnęli swe magiczne runy, a jednocześnie w duchu odmawiali modlitwy. Postanowili zabezpieczyć się na wszystkie sposoby.

— Musimy działać szybko — oświadczył Móri. — Ale jak? Co robić?

Sądzę, że powinniśmy iść za Nerem — stwierdził Erling. — On wciąż czegoś chce.

— Doskonale, naprawdę mamy z niego wiele pożytku. Te słowa bardzo ucieszyły Tiril, zawsze było jej przykro, gdy ktoś wyrażał się niepochlebnie o ulubieńcu.

Chyba nie znajdziemy brakującego kawałka figurki — westchnął Fredlund. — Przepatrzyliśmy już wszystkie możliwe kąty.

— Szukaj, Nero, szukaj! — Tiril zachęcała psa do dalszych popisów.

Nero skoczył w przód, pociągając za sobą Erlinga.

— Do czorta, nigdy się chyba do niego nie przyzwyczaję — zdenerwował się potomek Hanzeatów. Towarzysze pomimo napięcia nie powstrzymali się od uśmiechu.

Ruszyli za psem. Znów skierował się w stronę skalnego korytarza, węszył wokół niego.

Nagle zeszywnieli.

Teraz nie tylko Tiril i Móri usłyszeli ostrzegawcze mruczenie; stawało się coraz głośniejsze. Brzmiało głucho, jakby dobywało się z głębi potężnej gardzieli. Mieli wrażenie, że otoczyła ich gromada potworków, która naraz podsunęła się bliżej, by odciąć im drogę od zewnętrznej ściany lochu.

Móri skierował dłoń ku stworom, które choć niewidzialne, wydawały się dość konkretne, niemal namacalne. Wymówił kilka ostrych słów po islandzku.

Iluzja osłabła, mogli dojść do ściany. Ktoś jednak wciąż okazywał swe niezadowolone. Wzburzone echo przetoczyło się piwnicznymi korytarzami.

Fredlund wysoko podniósł pochodnię.

— Za tą ścianą z ziemi coś jest oznajmił Erling. — Musimy to sprawdzić.

Tiril brzydziła się przegniłej, ciemnobrunatnej torfowej ziemi. Okazało się jednak, że łatwo daje się odrywać. Odchodziła całymi płatami.

— Czy to taki kolor określa się „móri”? — spytała przyjaciela.

— Akurat w tej chwili nie są to zbyt przyjemne słowa.

— Przepraszam — rzekła, żałując, że to powiedziała.

Głos Móriego świadczył o jego niezwykłej koncentracji. Zrozumiała, jak wielkie znaczenie dla nich wszystkich ma jego obecność i ile wysiłku kosztuje go powstrzymanie makabrycznego przeciwnika. Bez Móriego już dawno byłiby straceni.

Ale czy inni także zdają sobie z tego sprawę?

Tak, była tego pewna. Okazywali Islandczykowi bezgraniczny podziw i posłuszeństwo.

Nagle Erling zawołał:

— Tu są jakieś drzwi! Dobrze zachowane drewniane drzwi z okuciami z żelaza!

— Przetrwały dzięki okładowi z torfu — powiedział Fredlund.

Zachęceni nowym odkryciem z większym zapałem zeskrobywali resztę ziemi.

— Jest zamek — zauważył Arne. — Ale gdzie szukać klucza?

Móri przyjrzał się drzwiom, wreszcie podniósł głowę.

— Klucz nie istnieje — oznajmił. — Drzwi zamknięto przy użyciu magicznej siły.

Słuchali oszołomieni.

— Ale musi stąd być jakieś inne wyjście — upierał się Erling. — Wskazuje na to zachowanie Nera.

Móri westchnął ciężko.

— Owszem. Myślę też, że wiem, gdzie go szukać. Ale nie chcę go wypróbować. Postaram się raczej zrobić coś z tym. Odsuńcie się trochę.

Natychmiast spełnili polecenie. Tiril szepnęła:

— Móri potrafi otwierać zwyczajne zamki bez użycia klucza, widziałam to na własne oczy. Ale nie wiadomo, czy sobie z tym poradzi. Może nie znać magicznej mocy, którą się tu posłużono.

Jak, na miłość boską, potrafi otworzyć zamek bez klucza? — dziwił się Arne.

— Posługuje się specjalną runą — wyjaśniła Tiril. — A potem wdmuchuje jakieś paskudztwo w zamek. Nigdy nie chciał zdradzić mi, co to takiego, twierdzi, że to wstrętne.

— Wyobrażam sobie — mruknął Erling.

Skupili się na poczynaniach Móriego.

Islandczyk przykucnął i coś majstrował przy zamku, nie bardzo widzieli, co robi, gdyż widok zasłaniała jego ciemna głowa. Jedyne Fredlund z pochodnią mógł stanąć dość blisko, szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma przyglądał się niezwykłym obrzędom czarnoksiężnika.

Nagle jakaś siła, jakby niespodziewany podmuch wichru, odrzuciła Móriego w tył. Zdążyli go pochwycić, zanim uderzył w przeciwległą ścianę.

Przerazili się nie na żarty.

— Może lepiej tego zaniechać — szepnęła pobladła ze strachu Tiril.

Móri, by dojść do siebie, kilkakrotnie głęboko odetchnął.

— Nie, nie, po prostu coś źle obliczyłem. Teraz już wiem, uda mi się na pewno.

Tajemnicza siła nie zgadzała się z nim. Znowu nim szarpnęła, teraz jednak towarzysze mocno go przytrzymywali.

— Dziękuję, przyjaciele — rzekł Móri. Prosił, by podprowadzili go pod same drzwi, nie miał bowiem ochoty na kolejne, jak się wyraził, kuksańce.

Opór, jaki napotkali, był ogromny. Wicher wiejący z siłą orkanu potargał im włosy, ale wytrzymali dostatecznie długo, by Móri zdołał odprawić cały rytuał.

Potem cofnął się nieco.

Zwrócił dłonie wewnętrzną stroną w kierunku drzwi. Towarzysze stojący za nim i przy nim w napięciu wstrzymali oddech. Obejmowali się mocno, by nie dać się porwać szalejącemu po lochu wichrowi. Nero na przemian skamlał przerażony i ujadał w stronę, skąd wiało.

Móri głośno odmawiał zaklęcia, a potem wyjął magiczny znak, którego Tiril dotychczas nie widziała, i podsunął go pod drzwi.

Wiatr ucichł, huk zmienił się w szum, który także się rozplynął.

Odetchnęli zdyszani jak po ciężkim biegu, twarze i uszy zdrętwiały im z zimna. Nero cichutko popiskiwał.

Móri stał całkiem nieruchomo. Spostrzegli, że nieprzerwanie porusza wargami, wypowiadając niemo długie formuły, prawdopodobnie pochodzące z zamierzonych czasów, o których nic nie wiedzieli.

Powoli, bardzo powoli drzwi się uchyliły. Odbyło się to tak spokojnie, że z początku nawet tego nie zauważyli. Spostrzegli dopiero wówczas, gdy zazgrzytało zardzewiałe żelazo.

Drzwi stanęły otworem.

Popatrzyli po sobie. Kto miał wejść pierwszy?

Móri przejął pochodnię z rąk Fredlunda i przekroczył kamienny próg. Dał znak, by poszli za nim.

Jedno za drugim wchodzili do środka, nie mogąc się przy tym powstrzymać od okrzyków zdumienia. Zamek obrócił się w ruinę, lecz to pomieszczenie się zachowało. W naturalnej skalnej krypcie wygładzono ściany, a potem ludzkie ręce wyrzyły na nich zawiłe magiczne wzory.

Na środku stał pojedynczy kamienny sarkofag bez płyty z imieniem. Stali w komorze grobowej.

Rozdział 14

Wydawało się, że działanie złej mocy zostało przerwane. Nie nastąpił już żaden atak, nie objawiła się nowa czarodziejska siła. .

Móri pokonał je wszystkie.

— Jesteś najpotężniejszy — szepnęła do niego Tiril.

Uśmiechnął się przelotnie.

— Może z żyjących. Ale ci tutaj naprawdę potrafili wiele!

— Ci? Przecież jest tylko jedna trumna.

— Tak, najpewniej pana na zamku, syna. Chciał ochronić swą kryptę grobową przed intruzami.

Erling rozejrzał się po komorze.

— Nic więcej tu nie ma. Tylko gładko wypolerowane ściany pokryte dość płytkimi rzeźbieniami. Nic poza tym!

Arne na głos powiedział to, o czym myśleli wszyscy:

— Nie wydaje mi się, by ktoś zadawał sobie tyle trudu jedynie po to, żeby nie dopuścić do zakłócenia spokoju zmarłego.

— Masz rację — zgodził się z nim Móri. — Otwórzmy trumnę!

— Nie chcę brać w tym udziału — sprzeciwiła się Tiril.

— Ja także — przyłączył się do niej Arne.

Móri zawahał się.

— Dobrze, wobec tego poczekajcie na zewnątrz.

Jedno przez drugie zawołali:

— O, nie, nigdy w życiu!

— No cóż, jak więc chcecie? — westchnął Móri. Musimy się pospieszyć — mruknął Fredlund. — Pochodnia niedługo się wypali.

— Zostajemy — zdecydowała Tiril. — Ale nie będziemy patrzeć.

— Nie jest to konieczne. Trzymaj Nera i pochodnię, a my, mężczyźni, się tym zajmujemy.

Arne zawahał się chwilę, pragnął, by i jego zaliczono mężczyzn, zrezygnował jednak. Wybrał mniejsze zło

Pokrywa sarkofagu okazała się ciężka. Tkwiła mocno. Musieli ją, odrobinę uniesioną przesuwać po kawałeczku. W końcu ustąpiła.

— Poświęć, Arne!

Ciekawość dwójki młodych rozpałała się już do tego stopnia, że zapomnieli o strachu przed tym, co mogą zobaczyć. Po prostu musieli popatrzeć.

— Okropieństwo — szepnęła Tiril z obrzydzeniem.

— Naprawdę tak myślisz? — zdziwił się Erling. — Przecież to tylko szkielet, owszem, zostało trochę resztek mumifikowanego ciała, ale właściwie są tu same kości.

Móri przyglądał się rozsypanym szczątkom, ciało zmarłego z pewnością spoczęło niegdyś na baczność. Choć z ubrania zostały zaledwie resztki, byli w stanie mniej więcej określić ich wiek.

— Sądzę, że to nie jest pan na zamku — rzekł Móri. — Coś mi podpowiada, że to ojciec. Gość z Tierstein.

— Tak samo pomyślałem — zawtórował mu Erling.

— Spójrzcie na szkielet. To kości starca. Co prawda pan na zamku, syn, mógł dożyć podeszłego wieku, nic nam o tym nie wiadomo. Ale ten, który tu spoczął, długo chorował, wskazują na to zmiany w kościach.

Tiril spytała:

— A więc to ten, który podzielił klucz pomiędzy swych trzech synów? Sam hrabia Tierstein?

— Tak, chyba możemy tak założyć.

Głos Fredlunda nie wyrażał żadnych uczuć:

— Pozostaje nam jeszcze odnalezienie jego syna i synowej, szwedzkiej księżniczki. Gdzie mogą być?

Arne, przewyciężywszy strach przed zetknięciem ze śmiercią, pochylił się nad sarkofagiem.

— Nie wpadnij do środka, chłopcze — uprzedził go Fredlund. — Bo wtedy grozi ci atak hysterii.

Młody chłopak natychmiast wyprostował się przerażony. Oczy miał okrągłe jak piłki.

Nero znów zaczął pisać.

— Czego ty chcesz, piesku? — spytał Móri. Przykucnął i zaczął z nim rozmawiać. Nero położył uszy po sobie i całą swą postacią wyrażał, że jest nieszczęśliwy. Tak bardzo pragnął coś przekazać, lecz, niestety, nikt go nie rozumiał.

— Wydaje mi się... — zaczął Arne. — Ale nie mam odwagi.

— Co takiego? — zainteresował się Erling.

Arne niezgrabnie machnął w stronę sarkofagu.

— Wydaje mi się, że coś pod nim leży. Pod biodrem.

— Wśród tych kości? Raczej nie, chyba byśmy to zauważyli.

— Coś mi się widzi, że Arne ma rację — stwierdził Móri.

— Pod tym, co kiedyś było biodrem, rzeczywiście coś jest. Nikt nie miał ochoty ruszać umarłego, w końcu Móri się zdecydował. Nie chciał dotykać go ręką, więc odłupaną z pochodni długą drzazgą rozgarnął kruche kości.

Popatrzyli po sobie.

— Trzeci kawałek — szepnęła Tiril. — Znaleźliśmy trzecią część figurki demona!

Po dokładnym zbadaniu trumny od wewnątrz i od zewnątrz z powrotem nasunęli pokrywę. Obmacali ściany, sprawdzając, czy nie ma w nich niewidocznych otworów. Pochodnia zaczęła już parzyć Fredlundowi palce, opuścili więc komorę grobową i starannie zamknęli za sobą drzwi.

Jeszcze raz przeszukali podziemne lochy, lecz niczego nie znaleźli. Nero też przestał okazywać jakiegokolwiek zainteresowanie. Stał na środku i pisał zdezorientowany. Erling twierdził, że pies jest wyjątkowo smutny. Potem wszyscy razem odmówili modlitwę za młode dziewice z wioski.

Sporo trudu kosztował ich powrót na powierzchnię ziemi. Erling ostatni opuścił loch z niemłą ulgą, ale wszyscy rozumeli, jak bardzo nieprzyjemnie musiało mu być w samotności na dole. Ciągnęli nawet losy, kto wyjdzie stamtąd na końcu, i Erling przegrał.

— Niepotrzebna nam nowa pochodnia — doszedł do wniosku Fredlund. — Noc już minęła.

— Dzięki Bogu — szepnął Arne.

Wstawał świt. Napływało światło dnia. Na horyzoncie blade księżyc.

Witaj, dniu!

Czego oni się bali? Wszystko jednak było normalne.

Śmiertelnie zmęczona Tiril oparła się na ramieniu Erlinga. Zauważyła jednak spojrzenie Móriego, poczuła, że go opuściła. Natychmiast odsunęła się od Erlinga i niby przypadkiem podeszła do Móriego.

Islandczyk zdawał się poruszać samą tylko siłą woli. W twarzy o barwie kości słoniowej płonęły czarne oczy, ruchy zdradzały wielkie napięcie. Mimo to objął Tiril i przytulił ją do siebie.

— Usiądź tam, pod murem — rzekł łagodnie.

— Nie, bo zaraz zasnę. Ale niepokoję się o Nera. Psy są wprost uzależnione od dostatecznej ilości snu. Właściwie bardziej niż od wody.

Móri podniósł głowę.

— Gdy tylko stąd wyjdziemy, i on, i my wszyscy wypoczniemy.

Niektórzy w ich grupie byli wyjątkowo podnieceni. Inni, jak Tiril, ledwie trzymali się na nogach. Nikt jednak nie miał odwagi siadać.

Długo stali, przyglądając się trzeciemu kawałkowi figurki demona. Na kształtnej dłoni Móriego wyglądał dość niewinnie. Nikt by nie przypuszczał, że to frag-

ment paskudnej siedzącej postaci, była to bowiem połówka dolnej części. Tiril stwierdziła, że szlachetne części ciała nie zostały wcale wyeksponowane, jak przewidywała Catherine, przeciwnie, w ogóle nie było ich widać. Ale poza wszelką wątpliwość wystające krawędzie skrzydeł mogły pasować do jakiejś szczególnej dziurki od klucza.

— Czegoś tu nie rozumiem — oświadczyła. — Dlaczego ten kawałek znalazł się przy starym czarnoksiężniku? Przecież rozdzielił części pomiędzy synów? Dlaczego nie miał go młodszy, pan na zamku? A może to jednak był on?

— Nie, zdecydowanie możemy powiedzieć, że to ojciec. Wiele na to wskazywało — odparł Erling.

— Owszem — przytaknął Móri. — Nie wiem jednak, czy zauważyliście, że wokół figurki wałały się drobne resztki skóry.

Tak, zwrócili na to uwagę.

— Przypuszczam, że ojciec schował figurkę w skórzanej sakiewce. Prawdopodobnie wszył ją w ubranie tak sprytnie, że syn nigdy jej nie odnalazł.

— Ale dlaczego?

— Może ojciec pożałował swej decyzji? Uznał, że trzeci syn nie jest godzien spadku? To tylko domysły, ale kto wie, czy nie słuszne. Pan na zamku, mąż szwedzkiej księżniczki, nie był wszak aniołem.

Ojciec z pewnością także — przypomniał mu Fredlund. — Ale teoria może być słuszna, bo przecież syn po śmierci żony postradał zmysły.

— W każdym razie to najlepsza teoria ze wszystkich, jakie mamy — orzekł Erling. — Pozostaje teraz odnaleźć Tierstein, gdziekolwiek jest, i odszukać skarb.

Po raz ostatni przepatrzyli zamek, tym razem zachowując jeszcze większą ostrożność, nikt bowiem nie miał ochoty znów wpaść do lochu.

W zamku nie było jednak mrocznych kątów ani interesujących zakamarków. Skarb musiał znajdować się w Tierstein. W Niemczech albo Austrii.

W końcu Móri polecił:

— Stańcie w bezpiecznym miejscu. . . Powiedzmy tutaj, przy tej skalnej ścianie. Wejdźcie trochę wyżej na skałę, o, tak!

Stanął wraz z nimi, a potem poprosił, by zamknęli oczy i zatkali uszy.

— Nie ma mowy! — obruszył się Erling. — Jeśli zamierzasz zaklinać, chcę na to patrzeć!

Wszyscy pozostali go poparli. Móri westchnął zrezygowany.

— Jak sobie chcecie! Ale to wymaga ode mnie ogromnej koncentracji. Niezwykłego wysiłku!

— Doskonale! — ucieszył się Erling. — A co masz zamiar zrobić?

— Oczyszczyć to miejsce ze zła, tak by nikt nie musiał się bać legendarnego zamku Tiersteingram.

Na chwilę przymknął oczy. Usiadł na piętach, dłońmi wsparł się o ziemię. Potem wstał i podniósłszy ręce do góry rozpoczął zaklinanie.

Brzmiało to niesamowicie, obco i przerażająco. Utkwili wzrok w jego niezwyklej postaci i zauważyli, co się dzieje, dopiero gdy usłyszeli huk i trzask. Wówczas obejrzeni się na zamek.

A zamek się rozpadał! Kamienne bloki odrywały się od murów, ziemia trzęsła się i przesuwiała, zapadły się piwnice.

Nawet skała pod ich stopami zadrżała. Oniemiali patrzyli na ten pokaz siły czarnoksiężnika. Wreszcie na powierzchni ziemi pozostał tylko olbrzymi stos kamieni, którego nikt nie podejrzewałby, że stanowi szczątki pradawnego zamku.

Móri doszedł do siebie, popatrzył na nich i uśmiechnął się.

Milczeli przez długą chwilę.

— Kto mówił o najpotężniejszym czarnoksiężniku na świecie? — spytał Erling nie swoim głosem.

Móri skromnie spuścił wzrok.

— To nie tylko twoje dzieło — stwierdziła Tiril.

Ciemne oczy czarnoksiężnika patrzyły prosto na nią.

— To prawda. Nie byłem sam.

Pokiwali głowami. Wszystko stało się bardziej zrozumiałe. Jeśli w ogóle można tak powiedzieć o niesamowitych wydarzeniach, które przed chwilą rozegrały się na ich oczach. Przesłali niewidzialnym towarzyszom ciepłe myśli.

Erling zauważył cierpko:

— Czy zdajesz sobie sprawę, że obróciłeś w perzynę cenny pomnik przeszłości?

— Zniszczyłem gniazdo zła — odparł Móri. — To było ważniejsze. Tiveden to przepiękny las, niewiele już takich. Teraz ludzie i zwierzęta będą mogli poruszać się po nim bez strachu.

— Miał pan całkowitą rację — przyznał Fredlund. — Ludziom, którzy będą o to pytać, odpowiem, że Tistelgorm naprawdę istniało, lecz przepadło bez śladu.

Bardzo dobrze! — ucieszyła się Tiril. — Jedno tylko mnie zastanawia. Również moja matka wspomniała o Tistelgorm. A przecież właśnie ona, potomkini hrabiów von Tierstein, mówiąca po niemiecku Austriaczka, powinna chyba powiedzieć: Tiersteingram.

— Nie wiemy, co naprawdę powiedziała twoja matka przypomniał Erling. — Akuszerce jej słowa mogły się skojarzyć z „tistel”, ostami.

Tiril zamyśliła się.

— No tak, chyba masz rację. Ale, Móri... Przecież nie wszyscy czarnoksiężnicy są źli. Dlaczego uważasz, że ci akurat byli źli?

Móri westchnął.

— Na Islandii odróżniamy białą magię od czarnej. Oni zajmowali się zabronioną czarną magią. Po prostu wiem. To byli straszni ludzie! Chodźmy już stąd, opuśćmy to nieprzyjazne miejsce!

Kiedy nareszcie skierowali się ku wyjściu, Nero jakby się ocknął.

W skalnym korytarzu gwałtownie się zatrzymał. Czujnie popatrzył w ciemność przy skale, gdzie poprzednio tkwiła mroczna dusząca zjawa. Powarkując wycofał się, przy ludziach poczuł się bezpieczny.

— Nie bój się, Nero — łagodnie mówiła Tiril. — Już nie ma czego, tamto już sobie poszło!

Nero spoglądał na nią, czarne ślepia o coś prosiły.

— Naprawdę, Nero — zapewniała. — To już sobie poszło! Chodź, idziemy stąd!

Pies jednak usiadł i cichutko popiskiwał.

— Czego ty chcesz, Nero? — zachodził w głowę Erling, prowadzący go na smyczy.

Móri porównywał odległości.

— Pamiętacie, jak wtedy wyrwał do przodu, pociągając za sobą Erlinga, i ziemia się zapadła?

— Owszem — ciężko westchnął Erling.

— Kierował się wówczas ku jakiemś miejscu w skale, kawałek w lewo od wejścia do zamku i skalnego korytarza. Gdybyśmy posuwali się w tym samym kierunku, oczywiście przez skałę, doszlibyśmy akurat do tego miejsca w grocie, to z lewej strony, prawda?

— Zgadza się — przyświadczył Erling.

— Jak najbardziej — pokiwał głową Fredlund.

— Daj mi na chwilę Nera, Erlingu — poprosił Móri. — Panie Fredlund, czy mógłby się pan postarać o nową pochodnię?

— Arne, przynieś z lasu kawałek drewna! — nakazał oberżysta.

Mój sługa ma także sługę, pomyślała Tiril. Fredlund zwrócił się do nich:

— Moim zdaniem, po wydarzeniach tej nocy powinniśmy zapomnieć o wszelkich tytułach. Mam na imię Tobiasz:

Uroczyście podali sobie ręce. Jakże śmieszna ceremonia na odludziu, w podziemnym korytarzu, lecz bardzo szwedzka!

Arne przyniósł odpowiednią gałąź, ogień oświetlił grootę.

— Miałem nadzieję, że już koniec z przygodami — mruknął Erling. — Niestety! Prowadź nas, o najjaśniejsza z gwiazd, czyli Nero!

Uśmiechnęli się pod nosem.

Pies, przekonawszy się, że niebezpieczna wełnista mgła już go nie zaatakuje, parł naprzód z zapalem. Pociągnął Móriego w ciemności.

— Pochodnia! — zawołał Móri. — Grota prowadzi dalej! Pospieszyci za nimi.

Nero i Móri przystanęli. Migotliwy blask oświetlił odległą część grotty.

Zbliżyli się niepewnie. W jednym miejscu musieli się schylić, by zmieścić się pod sklepieniem, lecz zaraz znów mogli się wyprostować.

— A więc to tak. — Fredlund starał się nie okazać zdziwienia.

— Właśnie — powiedział Móri.

Drogę zagradzała im skalna ściana. Wyraźnie rysowały się w niej drzwi.
— A zatem tego strzegł mglisty potwór — domyśliła się Tiril.
— Najpewniej — odparł Erling.
Usłyszeli, jak Arne wzdycha drżąco. Widać dość już miał niecodziennych wydarzeń.
— Czy będą takie same problemy z otwarciem? — spytał, Fredlund.
— Nie, wyeliminowałem opór. Te drzwi wyglądają na prostsze — uspokajał ich Móri.
— Zaczekaj chwilę! — wykrzyknął Erling. — Teren tu trochę opada, prawda?
— Nie zdziwiłoby mnie, gdyby okazało się, że ta tajemna komnata znajduje się na tyłach komory grobowej.
Zastanowili się. W myślach mierzyli odległość.
— Bardzo prawdopodobne — potwierdził Móri. — Otwieramy?
— Oczywiście — podchwycił Erling. — Przecież w zamku prawie nic nie znaleźliśmy. Zwłoki starego hrabiego, ot i wszystko. No i kości tych biedaczek.
— I trzeci kawałek figurki — przypomniała mu Tiril. — A jego właśnie szukaliśmy, prawda?
Odpowiedzieli jej tylko spojrzeniem.
Móri zabrał się za otwieranie zamka. Nie mieli, rzecz jasna, klucza, lecz ponieważ magiczna moc została pokonana, tym razem uporał się z nim znacznie prędzej. Drzwi się otworzyły.
Od razu zorientowali się, że jest to większe pomieszczenie. W środku stały dwa sarkofagi.
Komora grobowa nie została udekorowana tak pięknie jak poprzednia, wzorów wyrzeźbionych w kamieniu było tu znacznie mniej. Krypta sprawiała też wrażenie nowszej, choć nie mogły bardzo różnić się wiekiem.
Nero nie przestawał popiskiwać.
— Przytrzymaj go, Arne — polecił Fredlund. — My zabierzemy się za cięższą robotę.
— Ale ja też mogę pomóc!
— Tiril przytrzyma pochodnię i Nera. Jakiż on niespokojny! No, zaczynamy!
Zgromadzili się wokół pierwszego sarkofagu. Po chwili udało się odsunąć pokrywę.
Kolejne zwłoki, tym razem lepiej zachowane. Nietrudno było się zorientować, że to ciało kobiety, ubranej kiedyś w kosztowny strój.
— Szwedzka księżniczka — szepnęła Móri. — Biedne dziecko, nie dożyła późnego wieku!
Starannie przeszukali sarkofag, niczego interesującego jednak nie znaleźli. Nie byli przecież hienami cmentarnymi!
Z powrotem zasunęli pokrywę. Stanęli nieruchomo, podczas gdy Fredlund odmawiał modlitwę. Chcieli okazać szacunek przedwcześnie zmarłej dziewczynie.

Tylko Nero trochę zakłócał ceremonię nieustającym popiskiwaniami.

Fredlund podniósł głowę.

— A teraz ten drugi!

Popatrzyli po sobie. Sarkofag czarnoksiężnika, pana na zamku. Czy się odważą? Co tam znajdują?

Móri dłońmi obmacał sarkofag.

Nie wyczuwam niebezpieczeństwa — rzekł, ale w jego głosie zadźwięczała nuta niepewności, zobaczyli, że zmarszczył brwi.

Wreszcie podjęli decyzję. Nabrali powietrza w płuca i unieśli pokrywę.

Dała się przesunąć zdumiewająco lekko. Móri poprosił o więcej światła.

Musieli zebrać się na odwagę, by zajrzeć do odkrytego sarkofagu.

Odskoczyli zdumieni.

Nie zobaczyli szczątków czarnoksiężnika. W środku spoczywała Catherine.

Rozdział 15

Leżała nieruchomo w zimnym sarkofagu z kamienia, z zamkniętymi oczami w białej twarzy, z dłońmi skrzyżowanymi na piersi. Jej zawsze czyste ubranie było brudne i podarte.

Tiril wybuchnęła płaczem. Móri zbladł, a Erling padł na kolana przy sarkofagu, głośno krzycząc: „Nie, nie!” Nawet nie próbował kryć łez.

— Wiedziałem — szepnął Móri. — I Nero wiedział. W zamku znajdowało się coś, czego powinniśmy byli szukać.

Erling szykował się do podniesienia Catherine, lecz Móri go powstrzymał.

— Nie ruszaj jej!

— Ależ ona nie może leżeć w tej strasznej trumnie! Nie żyje, biedne dziecko, musimy ją pochować w normalnym miejscu.

— Znalazła się pod wpływem magicznej mocy, nie wiem jakiej. Pozwól mi sprawdzić, czy możemy ją przenieść.

— Dobrze — zgodził się Erling. Dłonie mu drżały, twarz miał ściągniętą. — Tyle miała w sobie życia — szeptał zmienionym od łez głosem. — A teraz...

Tiril odsuwała od siebie myśl, jak do tego doszło. Zniszczone ubranie... Skupiła się na Mórim, na tym, co robił.

Fredlund i trzymający Nera Arne stali z tyłu. Obaj pobledli. Już myśleli, że złym przygodom koniec, tymczasem one dopiero się zaczynały. W dodatku straszniejsze niż można było się spodziewać. Piękna młoda kobieta straciła życie w makabryczny sposób.

Nie wiedzieli o ciemnych sprawkach baronówny, nie przypuszczali, że nie jest tak niewinna, na jaką teraz wyglądała.

Nero zwiesił łeb nad trumną i skamlał żałośnie. Popisał się odnajdując Catherine, ale nikt nie miał teraz dla niego czasu.

Móri był śmiertelnie zmęczony, Tiril, która dobrze go znała, od razu zauważyła, w jakim jest stanie. Tak wycieńczonego widziała przyjaciela tylko jeden jedyny raz — gdy znalazła go na poddaszu w szopie na Islandii.

Dopiero co dokonał niesamowitego wyczynu, największego, jakiego była świadkiem. Obrócenie w perzynę całego zamku za pomocą siły myśli! Człowiek

nie zdołałby dokonać tego w pojedynkę. Bez wątpienia pomoc mu musieli jego niewidzialni towarzysze. Wśród nich było co najmniej dwóch czarnoksiężników: ojciec Móriego i jego hiszpański nauczyciel. Wspomagali go zapewne także inni, wspierali w walce przeciwko złu skupionemu w starym zamczysku.

Móri potrzebował teraz odpoczynku, bardziej niż oni wszyscy. Ale jeszcze raz musiał posłużyć się swą czarodziejską mocą.

Tylko on mógł sprawdzić, jak silne czary podziałały na Catherine. Nieżywa kobieta w prastarym sarkofagu. . . Czy zdołają wyjąć jej martwe ciało?

Nagle rozległ się beznamiętny głos Móriego:

— Ona żyje.

— Co takiego? — w Erlingu obudziła się nowa nadzieja.

— Pozostaje pod działaniem magicznej mocy. Zauroczono ją, zaklęto, jak wolicie. Nie wiem, jaką magią posługiwali się Cymbrowie, Teutoni i inne plemiona germańskie. Od nich Tiersteinowie czerpali wiedzę tajemną.

— Nie możesz więc jej uratować?

— Nie wiem, Erlingu. Czy ona tak wiele dla ciebie znaczy?

— No cóż. Nie wolno jej tu zostawić! A gdzie podział się ten, który tu powinien leżeć?

— Czary odprawione na dziedzińcu zamkowym były niezwykle skuteczne. Pochłoneły wszystko, także czarnoksiężnika.

— Ale młoda księżniczka wciąż tu jest!

— Była niewinna.

— Móri. . . ratuj Catherine!

Islandczyk podniósł wzrok na Erlinga. Rzekł z niezwykłą powagą:

— To kobieta, o którą nikt nie zapyta, Erlingu. Spaliła za sobą wszystkie mosty, w swym egoizmie szła po trupach, nie wahała się zabijać. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy warto jest poświęcić niesamowitą siłę woli, niezbędną, aby ją uwolnić?

Erling oddychał ciężko.

— Sam powiedziałeś, że ona żyje. Przyjmiesz na swoje sumienie pozostawienie jej na pastwę losu?

— Nie wiem, czy stać mnie na to, by dokonać czegoś jeszcze.

— Rozumiem. Ale ja zostawić jej nie mogę, po prostu nie mogę. A poza tym jaki miał cel w tym, by położyć ją tu taką pół żywą, pół martwą? Możesz mi na to odpowiedzieć?

Móri odwrócił głowę. Tiril zobaczyła jego twarz. Biła z niej udreka.

— On chciał ją właśnie taką.

Cóż za straszne słowa! Tiril usłyszała, że Fredlund opuszcza grotę, sama poczuła się chora.

— Móri — poprosiła. — Zrób, co w twojej mocy!

Spojrzał jej w oczy. Dziewczyna spostrzegła, że jego rozpacz i zmęczenie dawno już przekroczyły granice ludzkiej wytrzymałości. Ale w końcu Móri skinął głową i poprosił o opuszczenie krypty wszystkich z wyjątkiem Erlinga, któremu polecił trzymać pochodnię.

Usłuchali bez zbytecznych komentarzy. Tiril tylko, kierując się do wyjścia, pochyliła się i leciutko musnęła ustami czoło Móriego. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Nie zdążyli jednak opuścić komory grobowej, bo nagle Arne zawołał stłumionym głosem:

— Spójrzcie! Co to jest?

Wskazał na skalną ścianę tuż przy drzwiach.

W zamieszaniu wywołanym tragedią Catherine zapomnieli o powodach, które sprowadziły ich do Tiveden. Teraz znów im o nich przypominano.

W skale widniały masywne drzwi z pokrytego rdzą żelaza. Nie otwierały się za pomocą magicznych zaklęć. W miejscu zamka widoczne były głębokie otwory, które kształtem odpowiadały wypustkom w małej figurce demona.

Erling się pomylił. Wcale nie musieli wyprawiać się do Tierstein gdzieś w środkowej Europie.

Erling, gdy minęło pierwsze zaskoczenie, poprosił Fredlunda, by zajął się otwarciem żelaznych drzwi. Sam wołał pomoc Móriemu w zabiegach przy Catherine. Nie chcieli próżno tracić czasu w tym piekielnym miejscu.

Tiril trzymała pochodnię, bo udało im się wcześniej podzielić gałąź, w obu miejscach mieli więc dostatecznie dużo światła. Za plecami słyszała zaklęcia Móriego. Miały one zniweczyć czarnoksięską moc, trzymającą w okowach Catherine.

Arne nie posiadał się z dumy, że to właśnie on odkrył drzwi. Nie tłumaczyli mu, że prawdopodobnie wszyscy by je zauważyli przy wyjściu, a on po prostu ruszył pierwszy. Fredlund przyznał natomiast, że uprzednio wychodząc był wzburzony i ukrył twarz w dłoniach.

Wszyscy troje, Fredlund, Arne i Tiril, starali się połączyć cząstki figurki. Nie chciały się jednak trzymać. Tiril poświęciła więc wstążkę przy dekolcie i dopiero nią udało się związać kamienne odłamki.

Zdawała sobie sprawę, że i Erling, i Móri wiele by dali, aby móc być z nimi. Musieli jednak skupić się na Catherine.

Fredlund ostrożnie próbował wsunąć wypustki do otworów w drzwiach. Okazało się jednak, że w dziurkach przez stulecia nagromadził się kurz i rdza, musieli je więc oczyścić, najpierw ostrzem noża, a później igłą, którą Tiril znalazła w swej sakiewce. Wreszcie otwory były puste.

Jeszcze raz wpasowali figurkę demona do zamka. Rozległ się niegłośny szcęk żelaza, lecz nic poza tym się nie stało.

— Drzwi są już otwarte — oznajmił Fredlund. — Ale skleiała je rdza. Będę musiał poświęcić nóż.

Wsunął ostrze w kilku miejscach. Musiał jednak uczynić to naokoło całych drzwi, a szczególnie dokładnie oczyścić zawiasy.

W końcu drzwi odsunęły się ze zgrzytem.

Wewnątrz panował wilgotny, duszny mrok.

— Nie wiem, czy mam odwagę wsunąć tam rękę — mruknął Fredlund. — Mogą tam kryć się węże i jakieś pomniejszych diabły.

— Węży na pewno nie ma — rzucił Erling przez ramię. — Ale za diabły nie dałbym głowy.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — oświadczył Móri, nie odwracając się.

Fredlund wziął więc głęboki oddech i zajrzał do środka.

— Sporo tu różności — stwierdził. — Ale bardzo zniszczone.

— Wyjmujcie je ostrożnie — poprosił Móri. — Jeśli są tam czarnoksiężskie formuły, bardzo chciałbym je mieć.

— Na pewno coś cię zainteresuje. To na przykład wygląda mi na maleńką czaszkę.

Zaczął wynosić z pomieszczenia rozmaite przedmioty i układać je na kamiennej podłodze. Tiril przełożyła je na swoją cienką kurtkę. Nie miała ochoty się im przyglądać, nie podobało jej się, że ubranie zbrukają czarnoksiężskie przybory, lecz dla Móriego mogła się poświęcić. Z pewnością najważniejsze dlań były kruche, popękane zwoje pergaminu, starała się obchodzić z nimi jak najdelikatniej. Wreszcie ujrzeni to, na co najbardziej liczyli Erling i Catherine: skarb, ten bardziej ziemski.

Nie okazał się on jednak szczególnie imponujący. Należało pamiętać, że dwaj czarnoksiężnicy żyli przed epoką wielkich wypraw rycerskich, w czasach, kiedy najcenniejsze było jeszcze żelazo. Tiril dostrzegła jednak kilka kosztowności ze złota pokrytego ornamentami, znalazły się tam również wysadzone kamieniami szlachetnymi sprzączki do pasa, rękojeści mieczy, których brzeszczoty niestety zżarła rdza.

Wreszcie skarbiec opustoszał.

Erling poprosił, by zabrali wszystko i wyszli. Móri jeszcze nie skończył zabiegów przy Catherine.

Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że nie zdoła jej obudzić, na prośbę Erlinga jednak nie zaniechał starań.

Tiril podeszła do Móriego.

— Poproś o pomoc swych przyjaciół — szepnęła.

Zanim wyszła, zobaczyła, że zdumiony powtarza bezgłośnie: „Przyjaciół?”

Czekali na zewnątrz straszliwej krypty.

Wspomóżcie go, błagała Tiril w duchu. Towarzyszyliście mu w podróży przez Islandię, już od czasu jego wyprawy w zakazane wymiary i przerażające otchłanie. . .

Wspomóżcie go teraz! Jest taki wycieńczony, oczy mu się zapadły, pobladła twarz przypomina raczej upiora. On dłużej tego nie wytrzyma, to nieludzkie!

Nie wiedziała, czy usłyszą jej błagania, nic więcej jednak nie mogła dla niego zrobić.

Przysiadła na kamieniu; żeby nie zasnąć, nie wypuszczała z rąk smyczy Nera. Nakazała ulubieńcowi się położyć, ale pies czuwał. Nie spuszczał oczu z żelaznych drzwi prowadzących do krypty.

Arne zasnął, nie budzili go. Fredlund z czerwonymi oczami skulony przysiadł na innym kamieniu, nie miał siły rozmawiać z Tiril, a ona tylko się z tego cieszyła.

Poderwała się na odgłos kroków. Przysnęła jednak, siedząc na kamieniu.

Z krypty wyłonili się Móri i Erling z Catherine w ramionach. Twarz baronówny tak jak poprzednio pokrywała śmiertelna bladość, lecz najważniejsze było, że zdołali ją uwolnić. Nero zamerdał ogonem.

Móri skinął głową na znak, że mogą iść dalej, i zamknął drzwi do krypty. Ruszyli skalnym korytarzem. Wkrótce dotarli do lasu, do światła.

Islandczyk popatrzył na nich błagalnie.

— Zdaję sobie sprawę, że wiele od was wymagam, ale czy możecie mi pomóc zasypać to wejście? Jestem zbyt słaby, by dokonać tego przy użyciu magicznych sił.

— Oczywiście — zapewnił Fredlund.

Wszyscy pospieszyli z pomocą. Przeturlali kamienie do wlotu skalnego korytarza, przysypali je ziemią, na wierzchu ułożyli darń i gałązki.

Teraz do Tiersteingram nie było już wejścia.

Zanim odeszli, Móri definitywnie uwolnił to miejsce od wszelkiego zła.

Od tej pory ludzie i zwierzęta będą swobodnie poruszać się po rozległych lasach Tiveden.

Nareszcie mogli wyruszyć w powrotną drogę.

Przez Gôrtiven o wczesnym poranku posuwał się niewesoły orszak.

Wszyscy szli potykając się. Nero nie próbował wyprawić się na jakiś dalszy spacer. Nie zainteresował go nawet trop zająca, zmęczony dreptał przy Tiril. On, który zawsze musiał być pierwszy, by sprawdzić drogę przed ukochaną panią, teraz zadowolił się swoim miejscem w kolejce. Doprawdy, niezwykle!

Sklecieli prowizoryczne nosze dla wciąż nieprzytomnej Catherine. Baronówna pogrążona była teraz w bardziej ziemskiej nieświadomości, a nie głębokim letargu nie z tego świata. Zmieniali się przy noszach, nikt z nich nie miał sił, by nieść je dłużej.

Skończyła się piękna pogoda towarzysząca im od dawna. Chmury, przez całą noc przyczajone nad horyzontem, zakryły niebo, od czasu do czasu wypuszczając strugi deszczu, skały i leśne podszycie od wilgoci zrobiły się śliskie. A przecież im zależało, by wydostać się jak najprędzej!

Ale uporaliśmy się już z tym straszliwym Tistelgorm, pomyślała Tiril i nie ma już żadnego znaczenia, że pada, że idziemy na poły śpiąc, a głód doskwiera i. . .

Właśnie wtedy się to stało.

Wędrowali akurat przez najwyższe skały w Gôrtiven i niedaleko już mieli do koni, kiedy Tiril poślizgnęła się na wilgotnym mchu.

Starła się odzyskać równowagę, towarzysze wypuścili wszystko z rąk i skoczyli jej na pomoc, lecz za późno. Krzycząc przeciągle dziewczyna czuła, że leci w przepaść, na której dnie widniały szare w ten ponury dzień wody niewielkiego jeziora. Łapała się, czego mogła, żeby zahamować pęd upadku, i to uratowało jej życie, choć nieuchronnie leciała w dół, ślizgając się po gładkich, wypolerowanych przez masy lodu skalnych zboczach, śliskich dodatkowo od wilgoci.

— Tiril! — w głosie Móriego brzmiało nieskrywane przerażenie.

Na szczęście Arne właśnie wziął Nera na smycz, bo inaczej pies skoczyłby niechybnie za swoją panią.

Tiril zdążyła jeszcze zauważyć, że między skałą a jeziorem ciągnie się wąski pas łądu porośnięty sosnami, a potem nie widziała już nic, bo osuwała się pionowo, aż wreszcie runęła na ziemię.

Zapadła cisza.

— Tiril? — dobiegło ją wołanie z góry.

Obmacała się. Upadek był bolesny, dotkliwie się też podrapała.

— Chyba przeżyłam — pisnęła.

— Zaraz ktoś z nas zejdzie.

Doskonale, pomyślała, bo trochę jestem oszołomiona.

Nagle dostrzegła coś kątem oka.

W lesie tuż koło niej ktoś stał.

Odwróciła głowę.

Ponury mężczyzna, ubrany w skóry jak myśliwy. Przyprószone siwizną włosy i broda. Lodowato zimne oczy. Tiril, zdjeta śmiertelnym przerażeniem, wiedziała, z kim ma do czynienia.

To był mężczyzna, który żądał dziewicy z okolicznych wiosek, kiedy odczuwał taką potrzebę. Ten, który pohańbił Catherine. Młodszy z czarnoksiężników z Tiersteingram, ten, który powinien spoczywać w sarkofagu Catherine.

Ruszył w stronę Tiril, z oczu wyzierał mu gniew i zdecydowanie.

Fredlund mógłby powiedzieć Catherine, że nie jest to prawdziwy leśnik. Móri prawdopodobnie natychmiast by się zorientował, że nie mają do czynienia z żywym człowiekiem. Żaden z nich jednak nie miał okazji go ujrzeć, nie mogli ostrzec Catherine.

Baronówna wpadła w jego pułapkę. A teraz przyszła kolej na Tiril.
Ale Tiril nie była taka jak Catherine. Ona wiedziała. Uderzyła w krzyk.

Rozdział 16

Wiedziony żądzą zemsty zbliżał się do leżącej na ziemi dziewczyny.

Wszystko mu odebrano: zamek, nową kobietę, zbiór czarnoksięskich formuł. Ale on, upiór czarnoksiężnika, przerażająca postać z rodzaju tych, których najbardziej się obawiano na Islandii, wciąż żył. Zapewne podczas odprawiania czarów znajdował się poza zamczyskiem.

Nie dawało się jednak ukryć, że został naznaczony zaklęciami Móriego. Ubranie nosił wciąż to samo, ale teraz na nim wisiało, twarz wychudła, oczy, z których widać było prawie same białka, zapadły się w głąb czaszki, a usta sprawiały wrażenie zasuszonych.

Tiril poderwała się na równe nogi.

— *Halt, kleine jungfrau!* — rozkazał niesamowitym, głuchym głosem, innym niż mówił poprzedniego dnia.

Jungfrau? O mój Boże!

Tiril nie zamierzała go usłuchać. Ruszyła biegiem i dopiero teraz się przekonała, jakie naprawdę skutki miał upadek z tak wysoka. Kolano się pod nią ugięło, zatoczyła się, ale ostatnim wysiłkiem woli odzyskała równowagę i zmusiła nogi, by ją niosły. Zaciskając z bólu zęby biegła dalej.

Czuła, że ją goni. Dyszał żądzą zemsty, postanowił, że właśnie na niej weźmie srogi odwet.

Słyszała, że przyjaciele zorientowali się w sytuacji, schodzili na dół, ale musieli szukać dobrej drogi, a to się przeciągało. W dodatku... Co będą mogli zrobić, nawet jeśli zdążą, w co wątpiła. Móri, po tak długotrwałym, wymagającym niesamowitej koncentracji zaklinaniu, był całkiem wyczerpany. Nie starczy mu sił do walki z rozwścieczonym czarnoksiężnikiem.

Biegła wzdłuż brzegu, bolały ją wszystkie kości, najbardziej jednak dokuczało kolano. Potworny upiór z każdym krokiem był coraz bliżej. Już niedługo dosięgnie ją straszna magiczna moc, tak jak przedtem dosięgła Catherine.

Nie, nie może do tego dopuścić.

Oszalała ze strachu gnała dalej przed siebie, lecz nagle poślizgnęła się na wystającym z mchu korzeniu.

Teraz... teraz już koniec.

Ale... Dlaczego on się zatrzymał?

Móri wszak nadal stał wysoko na urwisku.

Nagle z innej strony dotarł do niej jakiś głos o śpiewnym akcencie. Nie rozumiała języka, lecz wyłowiła z niego imiona, Tapio, Korvenkuningas, Mielikki, Jumala... Pojawiły się też inne, których nigdy dotąd nie słyszała: Syöjätär, Tuoni.

Wiedziała, z czym je łączyć.

Imiona fińskich bogów.

Zdumiona podniosła głowę. Przed nią stał ów nieduży, sympatyczny Fin, ale teraz wyglądał groźnie. Ręce uniósł w magicznym geście nad głową, stopami mocno zaparł się w ziemię. Nie miał zamiaru się poddawać.

Tiril odważyła się spojrzeć za siebie.

Potworny czarnoksiężnik trwał jak skamieniały, ani drgnął. Ale zaklęcia Fina wystarczyły jedynie, by go zatrzymać.

Tiril nie śmiała się ani poruszyć, ani nic powiedzieć Finowi, by przypadkiem mu nie przeszkodzić. Wytrzymaj, chciała go poprosić, Móri zaraz będzie na dole. Zdawała sobie jednak sprawę, jak niebezpieczne może się okazać przerwanie zaklęć guślarza.

Stary Fin wpadł w trans. Przypuszczała jednak, że wie, co robi, że wkrótce nadejdzie pomoc.

Rozciągniętej na ziemi Tiril ból potłuczonego ciała i zadrapań nie na żarty zaczął dawać się we znaki. Do tej pory myślała o czym innym, teraz miała wrażenie, jakby ktoś obdarł ją żywcem ze skóry i stratowało stado koni. Przez moment z bólu i strachu bliska była utraty przytomności, wreszcie jednak usłyszała, że Finowi pospieszono z pomocą. Czarnoksiężskie formuły z Islandii zmieszały się z fińskimi zaklęciami.

— Staraj się go unicestwić — prosił Móri, łapiąc oddech. — Skup się tylko na tym, wtedy będziemy po dwakroć silniejsi.

Starzec jeszcze mocniej wyciągnął się w górę i podniósł głos, usta wypowiadały kolejne zaklęcia.

Erling dotarł na dół.

— Zobacz, on się rozplywa — szepnął.

Tiril przez ramię zerknęła na upiora hrabiego. Zjawa z każdą chwilą stawała się bardziej żałosna, mniejsza, kurczyła się w sobie. Zaklęcia, którymi miał zamiar odeprzeć czary Móriego i Fina, pozostały nie wypowiedziane. Nie mógł już dobyć głosu.

Erling przyłączył się do przyjaciół modlitwą, było ich więc teraz trzech, reprezentujących trzy różne formy religii czy kultury. We trzech położyli kres istnieniu ducha złego czarnoksiężnika. Podał się z niemym krzykiem, oczy zapadły się w głąb czaszki, a cała postać rozsypała się jak domek z kart, złamała w pół, złożyła w stawach. Wyglądało to prawie komicznie. Trzej mężczyźni podeszli

do szczątków złego hrabiego i pokonali je ostatnim morderczym zaklęciem, a w przypadku Erlinga przekleństwem.

Na ich oczach ostatni ślad istnienia Tistelgorm zniknął z powierzchni ziemi.

Tiril nie mogła znieść już więcej. Miała absolutnie dość wszystkiego. Straciwszy resztki zdrowego rozsądku, kulejąc popędziła przed siebie, byle tylko uciec jak najdalej od tego straszego miejsca.

Upłynęło dość dużo czasu, zanim mężczyźni zorientowali się, że zniknęła, wciąż stali bowiem nad miejscem, w którym rozpląnął się upiór. Na szczęście Móri spostrzegł ją w oddali między sosnami i ruszył w pogoń.

Rozumiał jej panikę, sam miał ochotę uciec. Wołał ją po imieniu, ale Tiril, nie panując już nad sobą, nie słyszała, a może nie chciała słyszeć.

Poddała się dopiero, gdy zabrakło jej sił, a kolano odmówiło zrobienia choćby jeszcze jednego kroku. Wdrapała się na kamień, mniej więcej tak jak kobieta, która wspina się na krzesło na widok myszy. Zanosiła się rozpaczliwym łkaniem.

Móri przemówił najłagodniej jak potrafił:

— Tiril, kochana moja, wszystko już minęło. Las jest już wolny, nigdy więcej nie padnie na niego potworny cień Tistelgorm. Proszę więc, zejdź stamtąd!

Patrzyła na przyjaciela błędnym wzrokiem, próbowała zrozumieć jego słowa.

— Tiril, najmiłsza, kiedy zobaczyłem cię na dole razem z nim i nie mogłem do ciebie dotrzeć, myślałem, że serce przestanie mi bić. To była najstraszniejsza chwila w moim życiu, a wiesz, że wiele doświadczyłem. Tiril. . .

Nareszcie się opamiętała. Rzuciła się w ramiona Móriego. Stali przytuleni do siebie, policzek przy policzku, ale dziewczyna nie przestawała drzeć, z piersi raz po raz wyrwał się szloch.

— Od dawna już jesteś w podróży — stwierdziła płacząc i śmiejąc się jednocześnie. — Masz taki długi zarost, że drapie mnie przez spódnice.

— Ależ, Tiril — roześmiał się zaskoczony. — Pamiętaj, że mówisz do ascety, który wyrzekł się obcowania z kobietami.

Podniósł jednak głowę i popatrzył na nią z uśmiechem. I ona nie mogła już dłużej zachować powagi. Wspięła się na palce i pocałowała go w czoło.

— Mój przyjacielu — rzekła cichutko. — Mój najdroższy przyjacielu!

Móri długo na nią patrzył, jakby sprawdzając, czy Tiril chce, by ją pocałował naprawdę. W końcu delikatnie dotknął wargami jej czoła.

— Tak bardzo się cieszę, że cię mam, Tiril. Nigdy mnie nie opuszczaj!

— Wiesz, że cię nie zostawię — szepnęła mu do ucha. — Może wrócimy teraz i podziękujemy staremu Finowi?

— Owszem, z całego serca.

Dołączyli do grupy. Okazało się, że mieszkaniec Tiveden zaczął już opowiadać Erlingowi, jak to coś nie dawało mu spokoju, wybrał się więc do Görtiven. Na

widok Móriego i Tiril z zadowoleniem pokiwał głową.

— Czułem, że przytrafiło się wam coś złego! — zawołał. — Tapio gniewał się, okazywał niepokój. Musiałem wypełnić jego polecenie.

Tapio — władca lasu.

— W domu u ciebie, ojczulku — mówiła Tiril — myślałam, że to na nas Tapio się gniewa, bo nie podoba mu się, że wchodzimy do jego lasu.

— O, nie! On się o was martwił. Pragnął, by wam się poszczęściło. Chce, aby jego królestwo pozostało piękne i spokojne. Jego gniew zawsze skierowany był na Tistelgorm. Zdawałem sobie z tego sprawę, lecz nie wiedziałem, gdzie szukać zamku. A teraz, jak słyszę, przestał istnieć?

Zniknął z powierzchni ziemi — potwierdził Móri. — Pomogłeś nam pokonać ostatnie, co z niego zostało, złego pana na zamku. Wasz piękny las jest teraz wolny od zła.

To dobrze, ale wy jesteście zmęczeni. Chodźcie ze mną do domu, żona z pewnością coś dla was przyszykuje.

Zawołał do Fredlunda i Arnego, że mają schodzić ukosem w dół, podczas gdy oni będą się wspinać ukosem w górę i w ten sposób przyspieszą moment spotkania.

Nero, który przez cały czas się szarpał, by pozwolono mu iść za najbliższymi, nie posiadał się teraz ze szczęścia.

Nawet Fina przywitał, jakby byli starymi znajomymi.

— Gdzie wasze konie? — zainteresował się stary.

Erling wyjaśnił.

— To niedaleko stąd — pokiwał głową Fin. — O ile coś z nich zostało. W tym królestwie drapieżników groziło im niejedno niebezpieczeństwo.

— Móri otoczył je magicznym kręgiem — oświadczyła z dumą Tiril.

— Hmm — mruknął Fin. — Wobec tego są bezpieczne.

Wkrótce dotarli do koni, spokojnych i wypoczętych. Ileż ten Móri potrafi, pomyślała Tiril. Inni także byli pełni podziwu dla Islandczyka.

Móri natomiast sprawiał wrażenie, że jego czarnoksięska moc całkiem się wyczerpała. Blady jak trup, na poły śpiąc, ledwie powłóczył nogami.

Wspaniale było znów dosiąść wierzchowców, ale stary Fin imieniem Kalervo otrzymał nowe zadanie: musiał pilnować, by żadne z nich nie zasnęło i nie spadło na ziemię.

Fin szedł piechotą, prowadząc Nera. Pies włókł się, jakby zgasła w nim ostatnia iskra życia. Tiril bardzo niepokoiła się o ulubieńca. Gdyby tylko mogła, posadziłaby go w siodle, ale Nero był prawie tak duży jak koń.

Zaimponował im sposób, w jaki poruszał się Fin. Przemykał się niczym łasica, dotrzymywał tempa koniom. Prawdziwe dziecię lasu.

Tiril, choć nie bardzo mogła uporządkować myśli, jedno nie dawało spokoju: Powiodło im się, ale nie odnaleźli żadnego śladu, mogącego doprowadzić do jej

korzeni.

Ale czy po to przyjechali do Tiveden? Tak im się chyba wydawało, ale nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego. Umysł odmówił dalszej pracy.

Tiril siedziała na podłodze w ciepłej chacie Fina. Gdzieś jakby w oddali Kaleervo opowiadał żonie o niezwykłym wyczynie, jakiego dokonał. Kobieta nie wierzyła w mężowskie przechwałki.

Tiril z wysiłkiem otworzyła usta i zapewniła, że wszystko to prawda. Kalervo ocalił jej życie i była mu dozgonnie wdzięczna. Poprosiła Fredlunda, by zatroszczył się o oddanie skarbu z zamczyska we właściwe ręce. Jeśli uda się dostać za niego jakąś zapłatę, to i Finom powinna przypaść jej część.

Wszyscy zapewnili ją, że z pewnością się to uda.

— Właściwie cały skarb należy do ciebie, Tiril — stwierdził Erling. — To ty jesteś potomkinią starego hrabiego von Tierstein. Wywodzisz się z linii drugiego syna, tego, którego syn wzenił się w dom Habsburgów, książęcy dom Austrii.

— Ja go nie chcę — mruknęła w odpowiedzi.

Zjadła owsiankę o iście niebiańskim smaku, choć pewnie w takim stanie wszystko wydałoby się jej przepyszne, widziała, jak Arne zasnął w kącie, jak kładą nieprzytomną Catherine pod ścianą. . .

Teraz Nero ułożył się na boku, westchnął zadowolony i rozciągnął się jak słomianka.

Tiril także zapadła w sen. Kiedy zasypiała, przypomniła jej się czułość i oddanie w oczach Móriego, kiedy w Görtiven ucałował ją w czoło.

Rozdział 17

Tego samego dnia późnym wieczorem dotarli do gospody Tobiasa Fredlunda w Ramundeboda.

W maleńkiej chacie na odludziu nie pomieściliby się wszyscy. Tiril i Arnego obudzono więc już po godzinie.

Poza tym Catherine wymagała starannej opieki. Przez Tiveden przewieziono ją w bardzo niegodnej pozycji — przerzuconą jak worek z mąką przez grzbiet wierzchowca Erlinga. Był to jedyny sposób, by możliwie najszybciej przejechać wraz z nią wąskimi ścieżkami.

Żona Fredlunda przeraziła się ich wyglądem i tym, że na wpół spali siedząc na koniach.

— Szykuj pokoje dla wszystkich — zarządził Fredlund. — I daj nam się wyspać, zanim zasypiesz nas pytaniami! Nie wystawiaj jedzenia, tylko wodę dla Nera!

Stało się wedle jego życzenia. Potem Tiril nic więcej już nie pamiętała, dopiero w środku nocy obudziła się nagle i siadła na łóżku, czując, że w gardle dławi ją strach. Śniło jej się, że znów jest sama w lesie i goni ją bezimienna mara.

Osołomiona rozejrzała się po pokoju, przez moment przeraziła się, że zasnęła w starym zamczysku, w końcu jednak dotarło do niej, gdzie jest.

Wstała, przeszła nad śpiącym Nerem, który nawet nie uchylił powieki, i na palcach skierowała się do pokoju Móriego.

Bez ceregieli wsunęła się pod kołdrę obok niego. Móri ocknął się, wyjaśniła więc krótko:

— Miałam zły sen.

Móri przesunął się, robiąc jej miejsce. Otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie. Już wcześniej sypiali razem, na Islandii, na statku, w Bergen, i nie robiło to na nich wrażenia.

Nie brali jednak pod uwagę, że w miarę upływu czasu coraz bardziej się do siebie zbliżają. Łączące ich uczucia stawały się coraz gorętsze, nabierały mocy.

Tiril obudziło pianie koguta na tylnym podwórzu zajazdu.

Ciało jej pulsowało, jakby trawiła je gorączka, lecz nie od skaleczeń i sinia-

ków; pożar wybuchł w podbrzuszu. Odetchnęła głęboko. Móri spał, ale tulił się do jej pleców, obejmował ją ramieniem, ręka spoczywała na jej piersi.

Tiril zastanawiała się, co mu się śni.

Mogła go zbudzić i pozwolić mu zaspokoić swoje podniecenie, a zorientowała się, że i jego także. Widać nie był śmiertelnie zmęczony...

Pokusa była wielka. Wiedziała jednak, że Móriego czeka ciężki dzień, musiał podejmować kolejne próby przywrócenia Catherine do życia, no i tyle spraw było do omówienia.

Westchnęła więc zrezygnowana, delikatnie rozluźniła jego uścisk, wymknęła się z łóżka — Móri się nie obudził — opuściła jego pokój.

Korytarz zajazdu był pusty. Za oknem z zachmurzonego nieba siąpił deszcz. Tiril, nie zauważona przez nikogo, wróciła do swojego pokoju. Nero nie ruszył się z miejsca. Znowu dała krok przez niego i położyła się do łóżka.

Długo wpatrywała się w sufit, aż pożar w ciele wygasł sam. Zasnęła.

Fredlund chciał, by zostali tak długo, jak sobie życzyli. Podziękowali za zaproszenie, lecz Erling spieszył się do swoich interesów, a i pozostała trójka powinna jak najprędzej wracać do Norwegii. Nie bardzo mieli po co, nie chcieli jednak zbyt długo być komuś ciężarem.

Niepokoił ich stan Catherine, Móri zajmował się nią przez cały dzień, próbując ją obudzić. Poczesało ich jedynie to, że, zdaniem Móriego, wyrwała się już spod władzy złego czarnoksiężnika i tylko kwestią czasu pozostawało, kiedy otworzy swe uwodzicielskie oczy.

Wiele dyskutowali tego dnia. Fredlund wezwał wójta, pastora i jeszcze dwie znaczące osoby, aby wszystko odbyło się jak należy. Bardzo dumny Arne także wziął udział w rozmowach.

Jednogłośnie uznali, że Móri powinien otrzymać wszystkie rzeczy związane z magią. W parafii po prostu nie życzone sobie, by były na jej terenie, obawiano się, że są zbyt niebezpieczne. Z ulgą przyjęto wiadomość, że zostaną wywiezione do Norwegii.

Tiril po minie Móriego poznała, że jest bardzo zadowolony z tej decyzji.

Wyjaśnił jej, że nie ma teraz czasu ani siły na przeglądanie materiałów zabranych z krypty, lecz gdy tylko gdzieś osiadzie na dłużej, przestudiuje je starannie.

Gdzie to będzie? — ze smutkiem zastanawiała się Tiril.

Po skandalicznie późnym, zjedzonym już po południu śniadaniu Tiril i Móri siedli na ławeczce przed domem.

— Co się z tobą dzieje, Móri? — spytała dziewczyna. — Przez cały czas od kiedy wstaliśmy, dziwnie mi się przyglądasz.

— To prawda — odparł pograżony w myślach. — Wiesz, miałem dziś w nocy bardzo realistyczny sen. Śniło mi się, że spałaś w moim łóżku!

Uśmiechnęła się szeroko.

— Bo taka właśnie jest prawda. Dręczyły mnie koszmary, przemknęłam się więc do ciebie.

— Koszmary są zrozumiałe. Ale rano cię nie było?

— Nie, o świcie wróciłam do siebie.

— Dlaczego?

W oczach Tiril zapłonęły iskierki wesołości.

— Naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała? — szepnęła mu prosto do ucha.

— Miałam na ciebie taką ochotę, że musiałam odejść.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś? — prawie zawołał. Nagle oczy mu się zaświeciły. — A do licha, rozumiem. Śniłaś mi się, a potem nawet. . .

Tiril uścisnęła go za rękę. Kiwnęła głową.

— Ty też mnie pragnałeś. Ale gdybym cię obudziła. . . Co byś zrobił?

Móri westchnął.

— No cóż. Miałas rację. Dobrze zrobiłaś, że poszłaś. Wiesz, czasami się zastanawiam, czy to dobrze, że wciąż jesteśmy razem.

— Chyba tak nie myślisz naprawdę?! — wykrzyknęła zrozpaczona.

— Och, oczywiście, że nie. Ale z każdym dniem jest nam trudniej, prawda?

— To ty wyznaczasz granice.

— Jesteś jeszcze taka młoda. A ja obciążony. Powołanie czarnoksiężnika czyni ze mnie istotę, której powinnaś unikać, najmilsza.

— Widzę, że nie zamierzasz zrezygnować — zauważyła z goryczą. — Wcale zresztą tego nie chcę. Ale jeśli będziemy unikać podobnych pułapek jak dzisiejszej nocy, możemy chyba dalej się przyjaźnić? Bardzo cię potrzebuję, wiesz chyba o tym.

Pogładził ją po policzku. W jego ciemnych oczach lśniła niewypowiedziana czułość.

— Wiesz, że ja także potrzebuję ciebie. Zostaniemy więc razem jeszcze przez jakiś czas. A teraz chodź, chcąc, abyśmy wzięli udział w spotkaniu dotyczącym skarbu z Tiersteingram.

Okazało się, że skarb miał raczej wartość zabytkową niż pieniężną. Decyzja, co z nim zrobić, należała do Tiril — spadkobierczyni. Rozważali, czy należy brać pod uwagę szlachciców, krewnych Gustafa Wetleva, lecz doszli do wniosku, że im nic się nie należy.

Po głębokim namyśle Tiril wybrała po jednej rzeczy dla każdego, kto brał udział w koszarnej wyprawie. Kalervo miał także coś otrzymać — Fredlund zobowiązał się, że zamieni klejnot starego na gotówkę. Sama Tiril wybrała sobie jeszcze jedną rzecz, a resztę przekazała wójtowi, który obiecał dopilnować, aby znalezione przedmioty trafiły do muzeum. Wszystko spisano, by później nie było żadnych wątpliwości.

— Nie powinniśmy się wzbogacić na tej wyprawie — oświadczyła Tiril zdecydowanie. — Była na to zbyt przykra.

Catherine być może nie zgodziłaby się z nią, lecz baronówny nie pytano o zdanie. Miała otrzymać swoją, część, kiedy się obudzi.

Jeśli to w ogóle nastąpi.

Tego wieczoru Erling nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Gnębił go los Catherine. Tiril nie odstępowała Móriego.

Erling poczuł się opuszczony.

W Bergen zawsze miał pod ręką skuteczny środek przeciwko samotności. Dość tam było pięknych dziewcząt, gotowych na każde jego skinienie. W ten sposób młody potomek Hanzeatów znajdował kilka godzin zapomnienia.

Starym zwyczajem tak samo uczynił i tutaj. Jedna ze służących w zajeździe przez cały dzień słała mu tęskne spojrzenia. Była ładna i wyglądała na doświadczoną, wiedział więc, że nie zrywa niewinnego kwiatka, na to nie pozwalało mu sumienie.

Dziewczyna bardzo chętnie przysłała wieczorem do jego pokoju.

Ofiarowała mu kilka chwil przyjemności, była łagodna, chętna i pozwoliła mu na wszystko.

Ale kiedy wyszła, Erling pograżył się w myślach.

Czuł się oszukany.

Wszystko było dobrze, ale czegoś mu brakowało.

Poczucie niezaspokojenia długo nie pozwalało mu zasnąć.

Kiedy wreszcie zrozumiał, w czym rzecz, zaczęło mu się robić na przemian zimno i gorąco.

To przecież niemożliwe!

Zirytowała go dziewczyna, która podczas zbliżenia sprawiła na nim wrażenie drewnianej lalki.

Nie, to niesprawiedliwe, panna była bardzo wprawną kochanką.

Ale gdzie podział się ogień, ta iskra, ten diabelski błysk, który...

Który miała Catherine!

Prawda raziała go niczym piorun.

Ten ciągły dokuczliwy lęk o nią, troska, strach, kiedy zniknęła...

Erling poderwał się z łóżka i zapukał do drzwi Móriego. Spieszyło mu się tak, że nie mógł się doczekać zaproszenia.

Czarnoksiężnik siedział przy stoliku i oglądał zwój pergaminu.

— Móri! Musisz uratować Catherine! Teraz, natychmiast!

— Ależ, mój drogi, co się stało? Czy jej stan się pogorszył?

— Nie, o tym nic nie wiem. Ale... Do diabła, Móri, ja kocham tę szaloną dziewczynę!

Umysł Móriego pracował jakby na zwolnionych obrotach.

— Catherine?

— Tak, do diabła, czy tak trudno ci to zrozumieć?
— A co z Tiril?
Erling trochę się uspokoił.
— Tiril poza tobą świata nie widzi, dobrze o tym wiesz. Nie potrafię jej dać tego, czego pragnie, bo spotkała ciebie. A przy tobie wszyscy inni bledną.
— Jest bardzo do ciebie przywiązana.
— Wiem o tym. Mnie także jest bliska, lecz nie w ten sposób jak powinna. Catherine to ogień, kaprysy i humory, egoizm i bezczelność, i... Ona jest po prostu cudowna!
— Chyba rzeczywiście, skoro trzeźwy przedsiębiorca Erling Müller stracił dla niej głowę.
Erling zasepił się.
— Widzisz, zakochałem się w Tiril właśnie dlatego, że była inna. Inna niż wszystkie te panny z dobrych rodzin, które znałem w Bergen. Te, które kokieteryjnie poklepywały mnie po rękę i szelmowsko, w ramach panieńskich zabaw, udawały, że dają się uwieść. Odgrywały cnotliwe, lecz do łóżka dawały się wciągnąć bez najmniejszego trudu, a to stawało się wręcz nudne. Tiril różniła się od nich, pokochałem ją za jej szczerość, miłość do ludzi, lojalność i naturalność. Potem jednak pojawiła się Catherine, jeszcze dziwniejsza. I widzisz, Móri, ją moja mieszczańska rodzina przyjęłaby z otwartymi ramionami. Baronówna, mój ty świecie, posiadająca tak znaczących przodków, i te maniere — kiedy oczywiście sama tego chce — dobry smak, i uroda. A Tiril? Moja siostra nigdy jej nie zaakceptuje, bo Tiril ubiera się, jak jej przyjdzie na to ochota. Takie zachowanie nie jest tolerowane. Aby być oryginalną i samodzielną, należy trzymać się mody. Przynajmniej takie jest zdanie mej matki i siostry. One niczego nie pojmują!
Móri przyglądał mu się z podziwem.
— To dopiero była przemowa! Tak długo nigdy jeszcze nie mówiłeś. Owszem, rozumiem twoje zainteresowanie Catherine. Ale to, co powiedziałeś o rodzinie... Tiril wszak znacznie przewyższa Catherine urodzeniem?
— Tiril jest nieślubnym dzieckiem jakiejś księżny i nieznanego wielmoży. W tym tkwi cała różnica. Moja rodzina nigdy nie zaakceptowałaby Tiril, gdyby dowiedziała się, że nie jest ona w ogóle dzieckiem konsula.
Móri znów pochylił się nad kawałkiem pergaminu.
— Wobec tego cieszę się, że nie mam żadnej rodziny — mruknął cierpko.
Erling zamilkł.
— Kochasz Tiril, prawda? — spytał wreszcie.
Móri odrzekł dopiero po pewnym czasie:
— Jesteśmy sobie bardzo bliscy.
O tym wiem. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
— Nie mam prawa na nie odpowiadać.
— A więc znam odpowiedź.

Usiadł na łóżku Móriego.

— Wiesz, ty i ja bardzo różnimy się od siebie. Zbliżyła nas troska o Tiril. Muszę przyznać, że często bywałem zazdrosny, bo zawsze mi się wydawało, że ona woli ciebie. Chciałem ci tylko powiedzieć, że nigdy nie miałem tak wspaniałych przyjaciół jak ty i Tiril, i Nero. Tak dobrze mi było przez te wszystkie dni, które spędziliśmy razem. Nie mam ochoty wracać do Bergen.

— Doskonale cię rozumiem. Nigdy nie potrafiłbym żyć tak jak ty. Wielka odpowiedzialność, dokumenty, sprawy, o których musisz pamiętać, ludzie, którym musisz okazywać uprzejmość. Ale z drugiej strony to bezpieczne życie. Moje życie nie jest godne zazdrości. A już na pewno nie wolno mi wciągać w nie Tiril.

— Pewnie masz rację, Móri. . . Co będzie z Catherine?

Czarnoksiężnik uśmiechnął się leciutko.

— Teraz, kiedy wiem, ile ona dla ciebie znaczy, uczynię dla niej, co w mojej mocy. Muszę przyznać, że do tej pory zajmowałem się nią raczej z obowiązku, jest bowiem kontrowersyjną postacią. Pytanie tylko. . .

Umilkł.

— Proszę, dokończ — poprosił przejęty Erling.

— Pytanie, jak wielkich szkód doznała.

— Cieleśnych?

— Nie, z pewnością dojdzie do siebie, to silna dziewczyna, nie laleczka z porcelany. Bardziej niepokoję się o jej duszę. Nie wiemy, co przeżyła, ile z tego zrozumiała.

— Chodzi ci o to, kim on był? Pozostaje nam tylko czekać. . . — Erling za-
drżał. — Na jej miejscu z całą pewnością bym zwariował.

— Ja także — przyznał Móri. — Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.

Przyjaciel wahał się.

— Hmm. . . czy nie moglibyśmy iść do niej teraz?

— Niedawno do niej zaglądałem, a przez cały czas czuwa nad nią służąca. Lepiej, byśmy pozwolili jej w spokoju nabrać sił.

Erling skinął głową. Wiedział, która służąca czuwa nad Catherine. Nie miał już ochoty się z nią spotkać. Ze spuszczoną głową wyszedł z pokoju Móriego.

Jakie brudne było moje prywatne życie, pomyślał dokonując rachunku sumienia, kiedy wrócił do łóżka. Nie mam prawa oskarżać Catherine.

Móri i Tiril pasują do siebie. Oboje są tacy czyści. Podczas gdy Catherine i ja. . .

Wrócił pamięcią do ich wspólnie spędzonej nocy, do wstrząsu, jaki wywołała w nim jej swoboda i wyuzdanie. To jego ciasne konserwatywne wychowanie! Kobieta powinna być bierna i wdzięczna. Ot, i wszystko.

Kiedy myślał o szalonej Catherine, poczuł, że tęskni za nią całym ciałem. Wstrząsającym przeżyciem były jej pocałunki, swawolne zachowanie. Wspomi-

nał swoje kochanki, dziewczęta, na których twarzach pojawiał się wyraz cierpienia, i te, które patrzyły nań z uwielbieniem jak na pana i władcę. . .

Erling po prostu potrzebował czasu, by zaakceptować fakt, że i kobiety mają swoje potrzeby, że wolno im folgować własnym pragnieniom. Erling przypomniał sobie, jak Catherine ustami zbliżyła się do. . .

Zaczerpnął oddechu. Wtedy zawstydził się i rozgniewał, teraz na samą myśl zalała go fala rozkoszy, jakiej nie zaznał nigdy przedtem.

Móri, błagał w duchu. Uzdrów ją! Muszę przeżyć jeszcze wiele takich nocy!

Boże, przecież ja kocham tę szaloną czarownicę!

Która, jak twierdzi Móri, wcale nie jest prawdziwą czarownicą A on przecież wie najlepiej.

W każdym razie na niego, Erlinga, rzuciła czar.

Ten łajdak z lasu być może ją zhańbił! Erling wiedział, że Móri rozkazał dziewczkom służebnym umyć baronównę od stóp do głów. Jeśli została zgwałcona, z pewnością umyły ją wszędzie bardzo dokładnie.

Czy Móri widział Catherine naga? Ta myśl sprawiła mu przykrość. Ale nie, raczej nie, pewnie do takich zabiegów wyznaczył kobiety. Zawsze odznaczał się wielką delikatnością. Nigdy nie uczyniłby czegoś podobnego.

Erling zorientował się, że jego myśli uporczywie krążą wokół tego samego tematu.

A najdziwniejsze, że nie miał ochoty na żadne inne młode dziewczęta. Tak samo jak wówczas, gdy zakochał się w Carli, a potem w Tiril, stał się mężczyzną jednej kobiety.

Zaczął zbliżać się do innych dopiero gdy sądził, że Tiril nie żyje, a później — gdy z goryczą stwierdził, że przedkłada ona towarzystwo Móriego.

Na jego ustach pojawił się nieco drwiący, lecz pobłażliwy uśmiezek. Głowę dam, że oboje są wciąż nietknięci! Zaraz jednak spowaźniał. Dobry Boże, wróć życie Catherine!

Rozdział 18

Catherine obudziła się następnego dnia przed południem. Przeciągnęła się w łóżku jak kotka i spojrzała na trzech zatroskanych mężczyzn: Móriego, Erlinga i Tobiasa Fredlunda.

— Ach, jak mnie boli całe ciało, czyżbyście mnie wzięli gwałtem, wszyscy trzej po kolei?

— Nie — z powagą odparł Móri.

— Szkoda! To mogłoby być interesujące.

Erling ujął ją za rękę i przysiadł na łóżku.

— Catherine, najdroższa. . . jesteśmy twoimi przyjaciółmi i uczynimy wszystko, żeby ci pomóc. . .

— Pomóc? Dlaczego?

Zdumiona rozejrzała się dokoła.

— Ależ. . . Jak ja się tu znalazłam?

Móri wtrącił z powagą:

— Catherine, miałaś wypadek.

— Wypadek? Ja?

Popatrzyła na niego, marszcząc brwi. Spróbowała usiąść, lecz z jękiem opadła na poduszki.

— Ach, wszystko mnie boli. Co się wydarzyło? Nie śmieli pytać, nie chcieli budzić wspomnień, które być może wymazała z pamięci.

Erling spróbował jeszcze raz:

— Moja kochana, pozwól mi się sobą zaopiekować! Zostań ze mną na całe życie! Jako moja żona.

Catherine wybałuszyła oczy.

— Co takiego? Na całe życie? Mój Boże, przecież taki byłeś nudny w łóżku!

Erling drgnął, spłoszył i ukradkiem zerknął na Fredlunda. Co ona jeszcze zamierza wyjawić?

— Co to ma w ogóle znaczyć? — zniecierpliwiła się Catherine. — Wszyscy trzej wyglądacie jak grabarze. O jakim wypadku gadacie?

— Cierpisz na zanik pamięci, Catherine — rzekł Móri. — Ale teraz pani Fredlund przygotowała ci coś do zjedzenia.

Catherine w tej chwili jedzenie nie obchodziło. Z całych sił starała się odtworzyć bieg wydarzeń.

— Wypadek... w lesie? Nic nie pamiętam.

— A co pani pamięta, baronówno? — spytał Fredlund, zanim Móri zdążył go powstrzymać.

— Co pamiętam? Blask księżyca. Wspięliśmy się na skałę. Tiril i Erling rozgniewali się na mnie. Erling wrzeszczał, żebym wracała. Dlaczego? — Nagle twarz jej się rozjaśniła. — Ach, już wiem! Ten przystojny leśnik!

Spostrzegli, że pamięć znów jej się mąci, szukała czegoś w myślach.

— Jak to było z tym leśnikiem? — starał się dowiedzieć Móri. Catherine już zaczęła wspominać, być może więc należało to doprowadzić do końca.

— No właśnie, jak to się stało? — powtórzyła pod nosem. Widać było, jak bardzo dręczy ją luka w pamięci. — Poszliśmy... do lasu. Byłam rozpalona, ciało mi płonęło. A on był taki przystojny. Ale taki zimny! Z pewnością chodził po lesie przez całą noc, bo dłoń miał lodowatą!

Popatrzyli na siebie. Może lepiej jej przerwać w tym miejscu?

Catherine jednak mówiła dalej:

— Szliśmy daleko i szybko. Bardzo szybko, ledwie zdołałam dotrzymać mu kroku. I wiecie, on nagle zaczął mówić po niemiecku! Ale ja także znam niemiecki, z porozumieniem nie było więc kłopotów.

— Czy zachowywał się przyjaźnie? — spytał Erling.

Mieli wrażenie, że czas się zatrzymał. Życie zajazdu, losy ludzi i zwierząt przestały jakby do nich docierać.

— Przyjaźnie? Nie, tego bym nie powiedziała. Był wręcz grubiański, ale ja to lubię. Męskość tak na mnie wspaniale działa.

Umilkła. Ktoś odwołał Fredlunda, opuścił ich.

— A potem? — naciskał Erling.

Catherine potarła oczy, jakby chciała dogrzebać się czegoś w pamięci. A może zatrzeć w niej jakieś straszne wspomnienie?

— Tak trudno mi coś sobie przypomnieć. Podczas tego wypadku, o którym mówicie, musiałam uderzyć się w głowę. Wszystko pamiętam jak przez mgłę, niewyraźnie.

Możesz się z tego tylko cieszyć, pomyśleli obaj.

— Stanęliśmy przed górą... Wysoką i stromą. On zaczął wsuwać mi ręce pod ubranie, stawał się coraz bardziej natrętny. Nie miałam nic przeciwko temu, ale wiało od niego chłodem i taki był niedelikatny. Zaczęłam...

Urwała na chwilę, wzrok jej się zmącił.

— Zaczęłam protestować. Mówiłam, żeby się zachowywał jak należy, że jestem damą, baronówną. Wtedy zaczął się śmiać. Ten śmiech był straszny. Powie-

dział, że znacznie przewyższa mnie urodzeniem. Rozgniewało mnie to, więc powiedziałam: „Zważaj na słowa! Jesteś prostakiem, zwykłym leśnikiem i nie chcę mieć z tobą już nic więcej do czynienia. Puść mnie, proszę!”

Catherine umilkła na długą chwilę.

— Potem nic już nie pamiętam. Naprawdę nic. — Zastanowiła się. — A może jednak?

Popatrzyła na nich wzrokiem, z którego biła bezradność. Wyniosły, pewny siebie ton gdzieś zniknął. Nie była już władczą szlachcianką i czarownicą, lecz tylko wystraszoną młodą kobietą.

— Nie wiem, czy to sen, czy nie, wszystko było takie rozmyte. Znalazłam się wewnątrz skały. Nie, to niemożliwe. Chyba że on to król gór?

— Nie, nie był królem gór — spokojnie rzekł Móri.

— O, mów do mnie tym łagodnym tonem — szepnęła przerażona. — Tak mi zimno, ziąb przenika mnie aż do szpiku kości.

Erling próbował ją przytulić, lecz go odepchnęła.

— Nie, nie ty, niedojdo, nic nie wiesz o kobietach! Móri, trzymaj mnie mocno!

Dwaj mężczyźni porozumieli się wzrokiem. Erling skinął głową, a Móri niechętnie przygarnął dziewczynę do siebie. Erling zorientował się, że przyjaciel myśli o Tiril, że czuje się wobec niej winny.

Catherine nie przestawała drżeć. Teraz jednak należało wyciągnąć z niej wszystko, nie było odwrotu.

— Naprawdę znalazłaś się we wnętrzu góry — wyjaśnił Móri najłagodniej jak potrafił.

— Naprawdę? — zająknęła się.

— Czy on ci coś zrobił? — pytał z napięciem Erling.

— On... on mnie tam zaciągnął. Włókł mnie za ramię po ziemi, w ciemność.

Stąd więc jej poszarpane, brudne ubranie. Catherine drżała, szcękając zębami. Jak tonący uczepiła się Móriego i wyjątkowo nie kryła się za tym chęć uwiedzenia.

— Tak ciemno — szepnęła. — Tak strasznie ciemno, nie wiedziałam, gdzie jestem. Sądzę jednak, że po prostu opowiadam wam swój sen, to się nie zdarzyło naprawdę, bo wiem, że próbowałam krzyczeć, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk, to musiało się więc wydarzyć we śnie. Tak, na pewno to tylko sen — przekonywała samą siebie.

— Oczywiście — przytaknął Móri. — Oczywiście, to był sen.

— Ale bardzo realny.

— Opowiedz, co działo się dalej.

— Niewiele więcej pamiętam. Okazał mi taką brutalność, wrzucił do jakiegoś korytarza... .

Spojrzeli na siebie, twarze mieli kamienne, bez wyrazu.

— A potem? — Erling z trudem wymówił pytanie.

— Sprzeciwiałam się, walczyłam, bo przestało mnie to bawić. On był lodowato zimny. A później...

Widać było, że Catherine niczego nie rozumie.

— Potem nic już nie wiem. Miałam wrażenie, że zapadłam w letarg, w śpiączkę.

— Nic więc ci nie zrobił?

— Nie. Tak.

— To znaczy? — przez cały czas pytał Erling. Móri tylko delikatnie gładził ją po głowie.

— Kiedy się dzisiaj obudziłam, czułam ból.

— To wiemy, całe ciało cię bolało.

— I tam, w dole.

Zapadła cisza. Wreszcie Erling zaklął brzydko, w oczach zakreśliły mu się łzy.

— Móri, co się ze mną działo? Gdzie mnie znaleźliście?

Boję się, tak się boję, że wydarzyło się coś strasznego.

— W istocie — odpowiedział Móri.

Spojrzeni na siebie, Erling skinął głową.

Móri opowiedział Catherine całą ich historię: gdzie dotarli, w jaki sposób i gdzie ją znaleźli. Jak na zawsze zniszczyli zamczysko i jego władcę. Najlepsze dla niej było, by poznała całą prawdę, przynajmniej nie będzie ją przez całe życie dręczyć niepewność.

Catherine była silną kobietą. Wiele przeżyła. Niszczyła innych, czerpała z życia wszelkie przyjemności, jakie tylko się dało, a nawet posuwała się do ostateczności, uśmiercała, gdy okazywało się to niezbędne dla jej wygody.

Umiała też przyjąć do wiadomości to, co stało się w zamku, który później rozpadł się w pył. Z jej tupetu jednak nic nie zostało. Płakała jak dziecko, szlochom dając upust przerażeniu.

Móri spokojnie próbował zamienić się na miejsca z Erlingiem. Na jakiś czas się udało, dopóki Erling nie wypowiedział kilku słów pocieszenia. Wówczas Catherine odkryła zamianę i gniewnie odepchnęła Erlinga. Móri znów musiał usiąść przy niej i wysłuchiwać niewyraźnego histerycznego mamrotania:

— Uciekaj tam, gdzie pieprz rośnie, Erlingu, ty nic nie wiesz. Móri i ja należymy do siebie, jesteśmy do siebie podobni, będziemy razem na zawsze, wiem, że on tego pragnie...

Erling zaczął mówić o Tiril, lecz Móri ostrzegł go gestem. Erling wiedział, dlaczego. Gdyby Catherine dowiedziała się o uczuciach, jakie Islandczyk żywi wobec młodszej dziewczyny, życie Tiril byłoby w niebezpieczeństwie.

Tak naprawdę Erling nie bardzo wierzył, by Catherine potrafiła posunąć się jeszcze kiedyś do ostateczności, jej śmiałość wyraźnie przygasła.

Erlinga ogarnęło przygnębienie. Nareszcie zrozumiał, że kocha tę rozpustną kobietę, i zdołałby zapewnić jej spokojne, godne życie. Ona jednak nie chciała go

znać, po tym, jak jej zdaniem, nie sprawdził się w chwilach uciechy.

Tak bardzo pragnął przytulić ją teraz do siebie, aby poczuła się przy nim bezpiecznie. Ale to Móri musiał przyjąć dławiący ją strach, czule gładzić po policzku i zapewniać, że ma wiernych przyjaciół, którzy nigdy jej nie opuszczą.

Twarz Móriego pozostawała bardziej ściągnięta i bez wyrazu niż zwykle. Erling cieszył się, że przynajmniej Tiril nie widzi, co się dzieje. Wybrała się na przechadzkę z Nerem.

Bardzo by ją zasmuciła ta scena i słowa Catherine.

Na myśl o Tiril i Nerze Erling przypomniał sobie coś jeszcze:

Catherine. . . Kiedy zobaczysz Nera, serdecznie mu podziękuj! To jego upór cię uratował. Wyczuł, że jesteś gdzieś w pobliżu, i nie poddał się, dopóki cię nie odnaleźliśmy.

— Erling ma rację — zaświadczył Móri.

Catherine uśmiechnęła się blado.

— Będę o tym pamiętać. To dobry pies!

Niezwykła pochwała w ustach osoby, którą niewiele obchodziły psy czy w ogóle zwierzęta. Catherine znów pogрузzyła się w mrocznych wspomnieniach z Tiersteingram. Podniosła na Móriego zapłakaną, zapuchniętą twarz.

— Ale jak ty możesz teraz mnie pragnąć? — wyszeptała ledwie słyszalnie. — Po tym, co się stało, jestem jak zarażona, skalana. Ach, nie mogę o tym myśleć!

Móri powstrzymał się od stwierdzenia, że nigdy jej nie pragnął. Nie był na to właściwy moment.

— Dziewczeta z zajazdu umyły cię starannie, opłukały, powiedziałbym, wyszorowały na zewnątrz i od środka. Ale możesz się wykapać, jeśli chcesz. Moim zdaniem to dla ciebie w tej chwili najlepsze.

Zastanowiła się.

— Dobrze. Wykąpię się. Potem będę jak nowo narodzona.

Catherine nie byłaby sobą, gdyby nie zadała kolejnego pytania:

— A co ze skarbem? Znaleźliście go?

— Owszem — odparł Erling.

— Naprawdę? Duży? Są jakieś klejnoty? Pokażcie mi! Teraz, zaraz!

Erling wyjaśnił, że skarb nie okazał się szczególnie imponujący i że Tiril postanowiła, by większość znalezionych przedmiotów trafiła do muzeum.

Catherine prychnęła.

— Tiril? Do muzeum? Czy ona oszalała? Czyście go już oddali? Chcę go zobaczyć, zanim będzie za późno.

Poderwała się, zapominając o wszelkim bólu.

— Spokojnie — rzekł Móri, który nareszcie zdołał uwolnić się z jej uścisku.

— Twoja część została, niewiele z tego, co znaleźliśmy, dało się zamienić na gotówkę. Były tam przede wszystkim przedmioty z żelaza, mające jedynie wartość zabytkową. Interesują się nimi tylko badacze.

Wpatrywała się w nich, przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

— A złoto? Złoto, srebro, kamienie szlachetne? Musiało tam być coś takiego! Czyżby Tiril ukryła wszystko dla siebie?

— Tiril niczego nie schowała — zapewnił Móri zgnębiony. — Chociaż cały skarb w zasadzie należał do niej, wszystko, co miało wartość, podzieliła między uczestników wyprawy. Nawet stary Fin, który na koniec uratował jej życie, otrzymał swoją część.

— Fin? — drwiąco zaśmiała się Catherine. — Na cóż jemu złoto i srebro na tym pustkowiu? No dobrze, gdzie moja część? Co dostałam? Stary połamany widelec?

— W czasach hrabiego nie używano widelców — cierpko zauważył Erling. Oczy mu pociemniały. — Ale możesz zobaczyć. Twoja część skarbu leży tu, w pokoju. Proszę.

Catherine rozerwała węzełek. Z niedowierzaniem wpatrywała się w zawartość, cztery złote agrafy z topazami.

— Tylko ty dostałaś jakieś ozdoby, bo jesteś dostatecznie próżna, by je nosić — z goryczą powiedział Erling. Jemu także nie spodobała się chciwość Catherine i nieufność wobec Tiril.

Ona jednak nie miała dla nich czasu. Zafascynowały ją nowe klejnoty.

— Ciekawe, ile za nie dostanę w Christianii.

Erling wstał, miał już tego dość.

— Tak, sprzedaj je! A potem w krótkim czasie wydaj pieniądze. Wtedy nie będziesz miała ani gotówki, ani klejnotów.

Nareszcie Catherine dostrzegła ich niechęć.

— Przepraszam — rzuciła beztrasko. — Oczywiście, że ich nie sprzedam. Zatrzymam na pamiątkę najstraszniejszego wydarzenia w moim życiu.

Zaniemówili, nie wiedzieli, co odpowiedzieć. — Chodźmy poszukać Tiril i Nera — mruknął w końcu Erling.

Rozdział 19

Tydzień później czworo przyjaciół wraz z Nerem minęło granicę z Norwegią. Jechali tym razem gościńcem, zapominając, że stosunki między Szwecją a Norwegią nie są najlepsze.

Karol XII nie żył od kilku lat, lecz rozgoryczenie wojną, jaką prowadził przeciwko Norwegii, wciąż nie opuszczało ludzi. Podróżni na granicy napotkali problemy, musieli więc się cofnąć.

Przeprawili się w innym miejscu, w fińskich lasach. Długiej granicy pomiędzy oboma krajami nie wszędzie strzeżono równie pilnie.

Tiril w fińskich lasach czuła się nieswojo. Zbyt wiele złych wspomnień łączyło jej się z leśnymi bezdrożami. Cieszyła się, gdy wreszcie wyjechali na jasne tereny Solor.

Catherine nie czyniła żadnej tajemnicy z tego, że pragnie Móriego. Uznała, że Islandczyk kocha się w niej na zabój, nie śmie tylko wyznać swoich uczuć z powodu zazdrosnej Tiril. Zdaniem Catherine, Tiril wcale a wcale go nie obchodziła, ale nie chciał wyrządzać krzywdy tej głupiej gęsi.

Nie przepuściła żadnej okazji, by dokuczyć Tiril ciętym komentarzem na temat jej wyglądu, niezdarności albo nieprzemysłanych uwag.

Móri miał szczerą ochotę powiedzieć jej, żeby poszła sobie do diabła, bo on i Tiril należą do siebie, nie śmiał jednak. Wciąż nie bardzo wiedział, czego można się spodziewać po Catherine. Co prawda złagodniała nieco, czasami przesywał ją dreszcz lęku, nie odnosiła się już tak lekceważąco do towarzyszy.

Móri jednak uważał, że jest nieznośna. Podczas każdego noclegu w kolejnych zajazdach musiał starannie zamykać drzwi, a jeśli to okazywało się niemożliwe, narażał się na zaproszenia tak natrętne, że wstyd mu było za baronównę. Musiał postępować niezwykle dyplomatycznie, by się jej pozbyć.

Tiril cierpiała, cierpiał też Erling.

Bardzo rzadko Tiril udawało się porozmawiać w cztery oczy z Mórim i zwykle mogli zamienić zaledwie kilka słów. Tiril pocieszało jedynie to, że Móri syknął kiedyś: „Czasami żałuję, że ją uwolniliśmy!”

Dopiero gdy dojeżdżali do Christianii, nadarzyła się sposobność dłuższej roz-

mowy. Catherine wypła wtedy kilka kieliszków za dużo, musieli zanieść ją do sypialni. Zgasła tam jak zdmuchnięta świeczka.

Erling siedział w wyszynku, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, litując się nad sobą. I on przesadził z winem, przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpaczy.

Tiril i Móri mogli więc pójść z Nerem na wieczorną przechadzkę.

Z początku szli w milczeniu, oboje onieśmieleni.

W końcu Móri spytał:

— Co my zrobimy, Tiril? Ona nie chce zrozumieć. Przecież ja pragnę tylko ciebie, lecz jeśli ona się o tym dowie... .

— Sądzisz, że wciąż ma zbrodnicze skłonności?

— Nie wiem. W istocie złagodniała, lecz nadal chce dominować, i sądzę, że nie będzie tolerować rywalki.

Tiril zamyśliła się.

— Co się stało, moja droga? — spytał, obejmując ją.

— Gdyby ujrzała twoich towarzyszy... .

— Z pewnością by się wycofała, to prawda — roześmiał się Móri. — Ale oni nigdy się na to nie zgodzą.

Tiril podskoczyła.

— Ależ oczywiście, że się zgodzą!

— Przypuszczam, że nie. O czym ty właściwie mówisz?

— Móri... . Czy nie obawiasz się tego dnia, kiedy stracimy Nera?

— Od dawna mnie to martwi. Jest wprawdzie silny i zdrowy, ale... . Dość nieoczekiwanie zmieniłaś temat rozmowy.

— Wcale nie. Nie musisz bać się o Nera. Przedłużono mu życie.

Móri zatrzymał się gwałtownie.

— Co ty wygadujesz? — roześmiał się niepewnie. — Aż tak bardzo byś tego chciała?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Zwierzę mi to obiecało.

— Zwierzę? Jakie zwierzę?

— To, które ci towarzyszy, uosabiające wszystkie zwierzęta świata.

Móri mocno ścisnął ją za ramiona.

— Tiril, co ty mówisz? Nie wiesz o nich nic poza tym, co sam ci opowiedziałem. Nie wolno ci dopuścić do tego, by fantazja zdobyła nad tobą władzę.

— Chcesz, żebym opisała ci twoich towarzyszy? Wszystkich po kolei?

Zaczęła wymieniać szczegóły, o których on nigdy nie wspominał.

Móri zakrył jej usta dłonią.

— Tiril! Czy ty ich widziałaś?

— Tak.

Zaniemówił.

— Kiedy? I gdzie? — spytał wreszcie.

— W magazynie portowym w Bergen, gdy leżałeś bliski śmierci. Poprosiłam, aby cię uratowali. Uczynili to. A jednocześnie podarowali Nerowi dłuższe życie.

— W Bergen? Tak dawno temu? I nic nie mówiłaś?

— Bałam się. Nie wiedziałam, jak to przyjmiesz.

Podniósł głowę, zamyślił się.

— Rzeczywiście, cudownie szybko ozdrowiałem — rzekł po dłuższej chwili.

— To prawda. Ale z Catherine się nie uda. Nie zechcą się jej pokazać, zresztą nie śmiem o to prosić.

— Zbyt mało korzystasz z ich obecności, Móri. Po prostu daj Catherine potrzymać magiczną runę, umożliwiającą widzenie zjaw.

— Skąd o niej wiesz?

— Bo właśnie dzięki niej zobaczyłam najpierw prawdziwą zjawę, a potem twoich towarzyszy.

— Mój ty świecie! Nie wystraszyłaś się?

— Och, oni byli tacy przyjaźni. Może dlatego, że okazywałam im szacunek i życzliwość. Przyjemnie nam się gawędziło.

Móri przyciągnął ją do siebie i mocno uściskał.

— Jesteś wyjątkową osobą, Tiril. Jedynym człowiekiem na świecie, którego... Dobrze, zastanowimy się nad sprawą Catherine. Czy powinniśmy...

— Warto spróbować.

— Dobrze. Jeśli się powiedzie, przekonamy się, jak silne jest jej uczucie do mnie. Czy kieruje nią tylko żądza podboju, czy też coś poważniejszego.

— Móri — rzekła Tiril lekko. — Nie myśl sobie, że wykrałam tę runę z ciekawości. Szukałam magicznych znaków, żeby pomóc ci na własną rękę. Runa, dzięki której można widzieć zjawy, wsunęła mi się do kieszeni, zorientowałam się, co się stało, dopiero gdy wyszłam z Nerem. Ujrzałam wtedy kobietę przechodzącą przez ścianę.

Westchnął przerażony tym, co mogło się wówczas stać.

— Spróbujemy jutro — oświadczył. — Ale teraz nie chcę już rozmawiać z Catherine. Od chwili opuszczenia Ramundeboda tęskniłem za tym, by móc zostać z tobą sam na sam. Tiril, nie możemy być daleko od siebie, oboje o tym wiemy. Ale nie chcę cię wplątywać w moje życie i nie potrafię znaleźć wyjścia z tej sytuacji.

— Wiele stron twego życia już poznałam i jakoś się nie przełękłam.

— Rzeczywiście sporo widziałaś, ale nie dość. Nie masz pojęcia, w jakich straszliwych rytuałach musiałem wziąć udział, aby zostać czarnoksiężnikiem. Wiedz jednak, że nie jestem z tych, co zaprzędali się diabłu. Gdyby tak było, nie znosiłbym soli ani nie mógłbym chodzić po poświęconej ziemi.

— Wiem, że posługujesz się tylko białą magią.

— Nie zawsze. W Gôrtiven nie obeszło się bez czarnej.

— To było konieczne.

— Wiem. Ale pamiętasz, mówiłem ci, że za każdym razem, kiedy uczynię coś w służbie dobra, wyrządzam komuś krzywdę?

— Rzeczywiście. To się jednak nie sprawdziło.

— Niestety tak. Za każdym razem, zastanów się tylko. Ostatnio, kiedy uratowałem Catherine. Kogo tym uszczęśliwiłem oprócz niej samej?

— Może i masz rację.

Po wyrazie oczu Móriego poznała, że przyjaciel zamierza mówić o nich. Pojawił się w nich ów gorący, czuły blask. Serce zabiło jej mocniej.

— Panienko Tiril! Panienko Tiril! — rozległ się naraz dziewczęcy głos i z oberży wybiegła młodzianka dziewczyna.

Do licha, dlaczego akurat teraz? — pomyślała z gniewem.

— Skąd ona wie, że masz na imię Tiril? — mruknął zdziwiony Móri.

Dziewczynka dobiegła do nich.

— Pani gospodyni bardzo prosi o rozmowę z panną Tiril. Teraz, natychmiast.

— Pójdę z tobą — zdecydował Móri.

Oberżystka przyjęła ich w swym prywatnym pokoju, starannie zamknęła za sobą drzwi.

— Proszę mi wybaczyć pytanie — rzekła Tiril. — Skąd zna pani moje imię?

— Gdy przybyliście, a ja was przyjmowałam, zamieniliście między sobą kilka słów. Ktoś z was zwrócił się do panienki, a Tiril to niezwykle imię.

— Aha, po prostu — uśmiechnęła się dziewczyna. — Czego pani chciałaby się dowiedzieć?

— Nie o to chodzi — odparła pulchna oberżystka. Gotowanie, ulubione zajęcie, zostawiło swoje ślady. — Widzicie, ostatnio przybyli tu dwaj mężczyźni, pytali, czy wśród gości nie ma Tiril. . . jak to było? Berg¹ ?

— Przeciwnie, Dahl²

Móri zaniepokojony uściskał rękę dziewczyny.

— Zaglądali tu dwukrotnie. Prosimi, bym dała znać, w razie gdyby panna zjawiała się w moim zajeździe, przedostatnim na drodze do Christianii. Nie budzili jednak zaufania dlatego postanowiłam porozmawiać z panienką.

— Brak mi słów, żeby wyrazić pani wdzięczność — odrzekł Móri. — Przypuszczam, że jeden z owych mężczyzn był trochę starszy i miał kozią bródkę. A drugiego trudno opisać.

— Na pewno mówimy o tych samych osobach.

— Ci mężczyźni śledzą Tiril już od kilku lat, nie wiemy dlaczego. Raz usiłovali ją zabić.

— Ach, mój Boże!

¹Berg (norw.) - góra.

²Dal (norw.) - dolina.

— Podejrzewamy, że chodzi o spadek. Pochodzenie Tiril do niedawna kryło się w mroku. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że jej rodzice byli ludźmi niezwykle wysokiego rodu. Próbuje ich teraz odnaleźć.

— Ach, tak. No, jest też wśród was prawdziwa córka barona. . .

— O, ona — Móri powiedział to tonem tak wzgardliwym, że Tiril nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. — Nie dorównuje Tiril urodzeniem.

— Rozumiem. Jeśli więc ci mężczyźni powrócą. . . ?

— To pani niczego nie widziała. Proszę pamiętać, że tu chodzi o życie Tiril!

— Dobrze, ostrzegę służbę.

Opuścili właścicielkę zajazdu, dziękując jej za okazaną zyczliwość.

Kiedy wyszli, Tiril powiedziała:

— Prawdę mówiąc zapomniałam o tych łotrach, którzy nas ścigają. Sądziłam, że się już poddali. Przypuszczałam, że tak się stanie po naszej wyprawie do Tiveden, że to właśnie Tiersteingram miałam odnaleźć.

— Ja też tak myślałam, kiedy się tam wyprawialiśmy. Później już w to nie wierzyłem. Twoja matka przekazała ci kawałek figurki demona w spadku, ponieważ habsburska część kiedyś trafiła do jej rąk. Traktowała ją prawdopodobnie przede wszystkim jak ciekawostkę, lecz chciała, by dziecko, owoc miłości, otrzymało po niej pamiątkę.

— A więc Tiersteingram to był ślepy tor?

— Tak się może wydawać, ale nie mam żadnej pewności. Było coś. . .

Tiril ciężko westchnęła.

— Nie mam już siły uciekać.

— Oni nie wiedzą, że wróciliśmy. Porozmawiajmy z. . . no cóż, z Erlingiem, Catherine jest przecież ledwie przytomna. O świcie opuścimy zajazd.

— Wspaniale. Ale, Móri, dlaczego oni nas szukali akurat tutaj?

— Sądzę, że to wcale nie było akurat tutaj. Przypuszczam, że rozpytywali we wszystkich zajazdach wokół Christianii. Ponieważ zniknęły także nasze konie, zrozumieli, że wyjechaliśmy z miasta. Nie wiedzieli jednak, dokąd.

— Wiele wysiłku w to wkładają.

— Rzeczywiście, musisz mieć dla nich duże znaczenie.

— Albo dobrze im płacą.

— To także możliwe. Chodź, od razu pomówimy z Erlingiem.

Cały następny dzień spędzili w drodze. Kiedy cel jest bliższy, człowiek zaczyna się spieszyć.

Zrezygnowali z jazdy gościńcem, przemykali się bocznymi drogami. I za nic na świecie nie odważyli się przenocować w ostatnim zajeździe przed Christianią!

Z każdym upływającym dniem zauważali, że pewność siebie Catherine coraz bardziej się chwieje. W zachowaniu baronówny pojawiła się jakaś bezradność,

zagubienie. Móri zdecydowanie okazywał jej swoją niechęć, zmuszona więc była coraz częściej szukać pociechy u wiernego Erlinga.

Nie chciała się już jednak do niego zbliżyć. Gdy próbował dodać jej otuchy uściskiem albo po prostu przytulić, syczała jak woda wylana na ogień, nie oszczędzała go też, w słowach.

Nie chciała także więcej posługiwać się swymi czarodziejskimi sztuczkami. Na cóż jej to było, skoro i tak ktoś przewyższał ją umiejętnościami?

Wciąż nie mogła odzyskać równowagi.

Móri nie powiedział jej wprost, że kocha Tiril, nie odważył się na to. Okazywał jednak Catherine tak jawną niechęć, że musiałaby być jeżem albo kamieniem, by tego nie zauważyć.

Catherine więc także cierpiała.

Podczas odpoczynku na zboczu niedaleko Christianii Tiril i Móri skinieniem głowy dali sobie znak. Teraz miało to nastąpić!

Zapadał już zmierzch, nie wiedzieli, gdzie przyjdzie im spędzić noc. Zjedli ostatnie resztki zapasów, karmiąc bezwstydnie żebrzącego Nera. Erling siedział milczący, zasmucony, że ich podróż wkrótce dobiegnie końca, a jego stosunki z Catherine ani trochę się nie wyjaśniły. Intrygi niszczyły przyjaźń. Tiril miała wrażenie, że Móri ją zaniedbuje, Móri był niezadowolony, ponieważ nie mógł przebywać z Tiril i przez to ją krzywdził, a w dodatku Catherine nie dawała mu spokoju. Catherine, której nie udawało się zdobyć serca Móriego, irytowała się na miłego, nadskakującego Erlinga, a ten z kolei czuł się odrzucony.

Żadne z nich nie było szczęśliwe.

— Erlingu — zaczęła Tiril. — Czy nie mógłbyś dziś wieczorem zabrać Nera na spacer? Już teraz?

Zdziwił się.

— Nera? A po cóż wyprowadzać go na spacer, skoro on i tak przez cały czas biega wolno, tam gdzie mu się podoba?

— Jak chcesz, Erlingu — westchnął Móri. — Ale czy wobec tego mógłbyś sam gdzieś się przejść? My musimy coś omówić.

Erling podniósł się, poczerwieniały na twarzy.

— Dość już tego! Staram się jak mogę poprawić nastrój i wam, i sobie, a wy mnie ot, tak sobie odrzucacie!

— To wcale nie będzie zabawne — tłumaczył Móri. — Dla twojego dobra prosiłem, abyś odszedł.

— Nie przypuszczałem, że mamy przed sobą jakieś tajemnice!

Był tak urażony, że nie mógł zapanować nad drżeniem głosu.

— Dobrze, zatem zostań. Tylko pamiętaj, że cię przestrzegaliśmy.

— A więc wy troje wiecie o czymś, o czym nie wiem ja?

— Nie. Wiemy o tym my dwoje, Tiril i ja.

— A jakież to sekrety was łączą? — oburzyła się Catherine. — Zgadzą się z Erlingiem. Dość spiskowania!

— Doskonale, bo my także mamy już tego dość. Catherine, weź do ręki to drewnienko.

— Dlaczego?

— Ponieważ cię o to proszę. To codzienność czarnoksiężnika. A ty przecież jesteś czarownicą, czyż nie?

— Oczywiście. To właśnie nas łączy i ani Tiril, ani Erling nie mogą nas rozdzielić.

Móri nie odpowiedział, tylko podał baronównie magiczną runę umożliwiającą widzenie zjaw.

— No dobrze — powiedziała Catherine. — A co teraz? Co mam z nią zrobić?

— Czekać.

— Na co?

— Za dużo pytasz. Po prostu czekaj.

Nad leśnym wzgórzem zapadał zmierzch. Od trawy było letnie ciepło, nad jeziorem unosiły się spirale roztańczonych komarów. Nero gonił owady, od czasu do czasu przybiegał sprawdzić, czy przyjaciele są na miejscu, i znów gdzieś zniknął.

Erling chciał coś powiedzieć, zapytać, o co właściwie w tym wszystkim chodzi. Catherine siedziała, trzymając w dłoni magiczny znak, ale nic się nie działo. Tiril i Móri nie posiadali się ze zdumienia.

Baronówna Catherine van Zuiden, czarownica, czuła się nieswojo. O co chodziło Móriemu? Czyżby chciał z niej zadrwić?

Czy też była to próba?

Najwidoczniej tak, bo zapytał:

— Nic nie widzisz, Catherine?

A więc miała coś ujrzeć! No, jakoś sobie z tym poradzi, nie może pokazać, że nie jest dobrą czarownicą. Natychmiast przymknęła oczy i oznajmiła dramatycznym głosem:

— Tak, widzę. Patrzę w przyszłość. Widzę lśniąca kolorami kopułę, siedzi na niej Hekate, bogini czarownic. Sama przepowie mi przyszłość...

Usłyszała westchnienie Móriego.

— Otwórz oczy, Catherine, przestań udawać!

Głos Móriego nie dopuszczał sprzeciwu. Catherine odruchowo usłuchała.

Jęknęła ze strachu i zasłoniła usta dłonią.

Za Mórím stała wysoka istota, niedbale opierała się o drzewo, zaciskając rękę na gałęzi. Spoglądała na baronównę z nieskrywaną ironią.

Był to najstraszniejszy stwór, jakiego kiedykolwiek widziała. Upiór z otchłani, olbrzymi mężczyzna z wysuniętą do przodu głową i zniszczoną twarzą. Prędko

odwróciła wzrok w inną stronę, lecz tam ujrzała coś innego. Po ziemi czołgało się potworne, okaleczone zwierzę. Catherine uderzyła w krzyk i zaczęła je od siebie odpędzać.

— Odejdź stąd, odejdź, uciekaj! — wrzeszczała histerycznie. — Nie, nie zbliżaj się, nie zbliżaj, Móri, ratuj, zrób coś. . .

Ale Móri ani drgnął. Catherine odwróciła się tyłem, by nie patrzeć, i. . .

Jeszcze jedna! W płucach zabrakło jej powietrza, jakby tonęła. Przed nią stała biaława istota o postaci przypominającej ludzką i długich, nierównych zębach. Na ich widok Catherine ogarnęły mdłości. Długie białe ręce wyciągnęły się do niej w jakby błagalnym geście, ale Catherine nie mogła już tego znieść. Zanosła się przeraźliwym krzykiem i odrzuciła drewno najdalej jak umiała.

Zjawy zniknęły.

— Masz już dość? — spytał łagodnie Móri. — A zdążyłaś zobaczyć zaledwie trzech z mych towarzyszy, którzy byli z nami podczas całej podróży.

Tiril wstała, by podnieść z ziemi magiczny znak.

— Nie, och, nie, oszalałaś! — krzyknęła Catherine. — Ty nie zniesiesz ich widoku, jesteś wszak zwykłą śmiertelnicą. Jeśli ja nie mogłam. . .

— Ja już ich widziałam, wszystkich ośmiu — spokojnie odrzekła Tiril. — Umieliśmy się porozumieć, są moimi przyjaciółmi.

Catherine jęknęła przerażona.

— Na pewno dlatego, że Móri cię przygotował, powiedział, co cię czeka, i był wtedy przy tobie!

— Nie przygotowałem Tiril, magiczna runa wpadła jej w ręce przypadkiem — odparł Móri. — I była całkiem sama, bo ja leżałem nieprzytomny, bliski śmierci. Oni i Tiril uratowali mi życie. Poprosiła ich także, by przedłużyli żywot Nera. Bardzo mnie cieszy, że on pozostanie z nami dłużej niż zwykłe psy. Oni naprawdę są przyjaciółmi Tiril!

— Nie wierzę w to! Przecież to złe istoty!

— Ty tak uważasz. Tiril odniosła się do nich z szacunkiem i sympatią, okazała też zrozumienie dla ich cierpień.

Baronówna oddychała ciężko.

— Daj mi to drewno jeszcze raz, na pewno jakoś to wytrzymam!

— Uważam, że nie powinnaś oglądać już żadnego z nich — stwierdził Móri. — Próba wypadła niepomyślnie, w tym cały problem. Ale chciałem ci przez to powiedzieć, że oni są częścią mego życia. Zawsze będą mi towarzyszyć. Czy zdołasz żyć z taką myślą?

Nie odpowiedziała. Zakręciło jej się w głowie.

Erling wreszcie mógł dojść do słowa.

— Czy ktoś mi wyjaśni, co wy właściwie robicie?

— Catherine dostała na chwilę magiczną runę i ujrzała trzech moich towarzyszy. Nie mogła znieść ich widoku.

— Ja też chyba z tego zrezygnuję — cierpko oznajmił Erling. — Ale przekaz im moje pozdrowienie i podziękuj za to, czego dokonali w Tiersteingram! I za to, co zrobili z naszym czworonożnym przyjacielem!

Catherine patrzyła na Móriego. Już wiedziała, że go utraciła. Nie mogła się pogodzić, że otaczają go te potwory, w dodatku było ich więcej. Nawet ona rozumiała, że gdyby wzięła się mocno w garść, zapewne zdołałaby na nie patrzeć, nawet powiedzieć, że jest ich przyjaciółką, że je rozumie, ale nigdy nie będzie tak myśleć naprawdę. Nie tak jak Tiril.

A to było decydujące.

Baronówna została zmuszona do przeprowadzenia rachunku sumienia.

Oślepią łzami doczołgała się do Erlinga, który natychmiast chwycił ją w ramiona. Siedli objęci, Erling bezskutecznie starał się ją uspokoić.

— Do niczego się nie nadaję — szlochała. — Wszyscy są lepsi ode mnie. Nie jestem czarownicą, mam złe serce, nikt mnie nie kocha.

— Ależ ja cię kocham taką, jaką jesteś — mówił Erling. — Wiem, że nie jestem tak interesujący jak Móri, ale wiele mogę ci dać.

Zaniósł się jeszcze głośniejszym płaczem, więc Erling zamilkł.

Wreszcie, chociaż wydawało się już, że to nigdy nie nastąpi, udało jej się opanować.

— Ach, Erlingu, Erlingu — wzdychała teraz. — Taka byłam wobec ciebie niesprawiedliwa, taka wyniosła! Wybacz mi, wybacz, ty dobra, ludzka istoto! Nigdy już nie będę przedkładać przygody nad poczucie bezpieczeństwa!

— Już dobrze, dobrze — uśmiechnął się. — Trochę napięcia w życiu przyda się nam obojgu, byleśmy tylko mieli siebie.

— Nie zostawiaj mnie — szepnęła i wtuliła się w mokrą już od jej łez pierś Erlinga.

— Wiesz, że cię nie opuszczę. A co z Mórim?

— Móri jest zbyt niebezpieczny. Po tych strasznych przeżyciach z „leśnikiem” z Tiveden i po spotkaniu z duchami Móriego potrzebuję spokoju. I on chyba też mnie nie chce. Świata nie widzi poza Tiril.

To prawda.

— Gdzie oni teraz są?

— Odeszli trochę. Nie chcieli nam przeszkadzać.

— Zawsze są tacy mili, tacy delikatni. A ja jestem wstrętną, okropną jędzą... No tak, właśnie czarownicą!

— Nieprawda. Wiesz, jak zawsze cię postrzegałem?

— Nie — powiedziała niewyraźnie, że łzami w oczach.

— Jako bardzo, bardzo samotną dziewczynę, która wbiła sobie do głowy, że ze wszystkim poradzi sobie sama.

Catherine zaśmiała się cichutko.

— Ale to przecież prawda. Po prostu posługiwałam się niewłaściwymi metodami. Teraz już będę miła.

— Tylko nie obiecuj za wiele!

Catherine przyrzekła sobie, że Erling nigdy nie dowie się o dwóch lub trzech istnieniach, którym położyła kres, ponieważ tak było jej wygodniej. Ogarnął ją nastrój życzliwości dla ludzi, postanowiła, że będzie się dobrze sprawować. Na razie.

— Wiesz, czego mi brakowało? — szepnął jej Erling prosto do ucha.

— Nie?

— Twojego rodzaju kochania.

— Ale przecież byłeś nim wstrząśnięty!

— Owszem, z początku. Powiadają, że nie nauczy się starego psa siadać. Ale potem zmieniłem zdanie.

Catherine śmiała się już głośno.

— Czeka cię noc, której nigdy nie zapomnisz! Gdy tylko dojedziemy do jakiegoś przyzwoitszego miejsca.

Uszczypnęła go tam, gdzie nikt nigdy jeszcze nie śmiał dotknąć poważnego kupca Erlinga Müllera. A on się tylko uśmiechnął.

Rozdział 20

Pozostawała teraz podróż do Holsteinu-Gottorpu albo gorsza, na dwór Habsburgów w Wiedniu, żeby tam poznać prawdę o pochodzeniu Tiril.

Wciąż jednak nie mogli się uwolnić od czyhającego na nich niebezpieczeństwa.

Tiril była zmęczona, okropnie zmęczona. Kolejne podróże wcale jej nie nęciły. Głównym powodem zmęczenia był ciągły niepokój i brak nadziei na przyszłość.

Do Christianii dotarli bez przeszkód. Znaleźli nieduży, niepozorny pensjonat, bo nie chcieli rzucać się w oczy, a poza tym w sakiewkach podróżnych Erlinga i Tiril zaczynało już świecić dno. Nie mogli wszak zapominać, że Erlinga czeka jeszcze podróż do Bergen.

Ani Móri, ani Tiril się tam nie wybierali. Catherine zaproponowała, by po powrocie z kolejnej wyprawy zamieszkali w jej domku w Krokskogen, ona wszak miała jechać z Erlingiem do Bergen.

Czekało ich nieuchronne rozstanie. I to także Tiril ciężko przeżywała.

Właściwie na nic już nie miała sił. Pragnęła tylko gdzieś się skryć i zapaść w sen.

Móri nie wierzył, by związek Erlinga z Catherine wytrzymał próbę czasu.

Wzajemne stosunki Tiril i Móriego także cechowała niepewność. On upierał się, że jego pełne niebezpieczeństw życie nie jest dla niej, a mimo to nie pragnął żadnej innej i nie wyobrażał sobie, by Tiril mogła się związać z innym mężczyzną. Ogromnie trudno było im zachować równowagę w układzie opartym na czystej platonicznej przyjaźni.

Wciąż traktował ją z największym szacunkiem i czcią, ale Tiril miała odmienne marzenia. Kochała go, a nie mogła w pełni okazać swego uczucia. Nie leżało jednak w jej naturze podejmowanie inicjatywy w tak trudnych sytuacjach. Musiała czekać na jego decyzję. A Móri nie wiedział, co robić.

Żadne z nich nie wyrażało się z entuzjazmem o czekającej ich podróży do Holsteinu albo Austrii.

Podczas pobytu w Christianii musieli się jeszcze wywiązać z obietnicy danej starej akuszerce przed wyjazdem do Szwecji.

Ucieszeni możliwością odłożenia decyzji o jeden dzień, udali się do staruszki nazajutrz po przybyciu do stolicy. Móri i Erling byli zdania, że powinni przemilczeć wszystko, co mogłoby wystraszyć starą damę (niewiele wtedy by zostało z ich opowieści), ale Tiril i Catherine uważały inaczej.

— Nic nie wiecie o kobietach — stwierdziła Tiril, a Catherine przytaknęła. — Jakie, waszym zdaniem, przeżycia ma taka samotna staruszka? Jestem pewna, że pragnie poznać całą prawdę.

— Na pewno — zgodziła się Catherine.

— A jeśli potem będą ją dręczyć złe sny? — zastanawiał się Erling.

— Ależ skąd! Zdajcie jej pełny raport.

— Jeśli nie była zameżna, powinniśmy ominąć erotyczne wtręty — uznał Móri.

Catherine popatrzyła nań z politowaniem:

— Przecież to akuszerka, dobrze zna realia życia.

Nie zdążyli jednak nic opowiedzieć, bo staruszka klasnęła w dłonie, uradowana ich widokiem.

— Ach, tak się bałam, że nie wróćcie na czas — mówiła bez tchu. — Wchodźcie, wchodźcie do środka, tyle się wydarzyło!

Oszołomieni usadowili się w pełnym ozdób saloniku. Nero ułożył się na tym samym miejscu co kiedyś, między dywanikami domowego wyrobu i haftowanymi podnózkami.

— Ach, wy nie wiecie, nic nie wiecie — zaczęła starowinka.

— To proszę nam powiedzieć — wesoło rzekła Catherine.

— Władcy Holsteinu-Gottorpu od dawna wadzili się z duńskim dworem królewskim i godzili, wadzili i godzili, nigdy nie wiadomo było, co się znowu stanie. Ale są blisko spokrewnieni.

Ach, tak, pomyślała Tiril. Tak mało wiem o rodach królewskich.

— Teraz pewna szwedzka partia po śmierci Karola Dwunastego usiłuje osadzić na tronie Szwecji Karla Fredrika z Holsteinu-Gottorpu, a jednocześnie podejmowane są próby ożenienia go z Anną, córką cara Rosji, Piotra Wielkiego. To wszystko jest dość zagmatwane. Każdy ciągnie w swoją stronę, kwitną intrygi! Na dworze królewskim zapanował niepokój. Na Akershus wydany zostanie wielki bal, będzie to próba pojednania, może uda się zapobiec przejściu władców Holsteinu-Gottorpu na stronę wroga.

— Zaraz, zaraz — przerwała jej Catherine. — Rozumiem z tego, że ubodzy krewni duńskiego dworu królewskiego z Holsteinu-Gottorpu. . .

— Tacy ubodzy to znów oni nie są! Tak, tak. A wiedz, że są zaproszeni tu na bal.

— Właśnie, w stosunkowo neutralnej prowincji.

Erling i Tiril zawsze ogarniał gniew, gdy słyszeli, że Norwegię nazywa się prowincją. Prowincją Danii!

Catherine podjęła:

— A najważniejsze, że matka Tiril, zamężna z jednym z książąt Holsteinu-Gottorpu, może też się tu pojawić?

— Właśnie!

Zapadła długa cisza.

— To znaczy, że nie jedziemy na południe — szepnął Móri.

— Dzięki Bogu! — rzekła Tiril. — Serdeczne, serdeczne dzięki!

— Ale jak się nazywa matka Tiril? — spytała Catherine.

— Nie wiem — z żalem przyznała akuszerka. — Wiem jedynie, że ten ród posiada liczne odgałęzienia, ale wszyscy, którzy tylko zdolni są utrzymać się na nogach, postarają się tu przyjechać. Matka Tiril na pewno przybędzie wraz z mężem.

— Ale on nie jest ojcem Tiril — zauważył Erling.

— Owszem, i to dodatkowo utrudnia sytuację.

— Która sama w sobie i tak jest skomplikowana — pokiwał głową Erling. — Jak się dostaniemy na zamek Akershus?

— Ja sobie z tym poradzę — oznajmiła Catherine. — Możecie się cieszyć, że jestem z wami i was uratuję. Skontaktuję się z pewnymi dobrymi znajomymi z Akershus, którzy wprowadzą tam mnie, Tiril i Erlinga. Będziecie uchodzić za moich krewnych. Natomiast Móri... Zbyt rzucasz się w oczy, abyś mógł wejść.

— Wobec tego ja także nie pójdę — zdecydowała Tiril.

— Ależ, Tiril! Przecież to właśnie o ciebie chodzi!

— Bez Móriego nie idę.

Catherine zastanowiła się przez chwilę.

— Dobrze. Powiem, że jesteś moim osobistym medykiem, a ponieważ cierpię na bardzo poważną chorobę, nie mogę się nigdzie bez ciebie ruszyć.

— Jak na ciężko chorą osobę wyglądasz dość kwitnąco — zauważył Erling.

— Dzięki nocy spędzonej z tobą. Ale wystarczy odrobina białego pudru. Na kiedy zaplanowano bal?

— Na sobotę.

— Mamy więc kilka dni. Czuję, jak wstępuje we mnie życie — oświadczyła Catherine. — Bliższy mi dwór królewski niż jazda po wybojach i uganianie się za duchami po kniejach.

Jej słowa przypomniały im o celu wizyty, czym prędzej więc opowiedzieli akuszerce całą historię.

Tiril jednak nie słuchała uważnie. Z bijącym sercem rozmyślała o tym, że jej matka być może znajduje się w tym samym mieście.

Jak się odnajdą? Czy matka przyzna się do Tiril? Czy wśród osób błękitnej krwi wybacza się taki błąd? I przecież, z tego co zrozumieli, miał jej także towarzyszyć mąż, który o niczym nie wie.

Czy w ogóle zdołają ją odnaleźć?

— Mam już dość zajazdów — stwierdziła Tiril, kiedy zjedli kolację w pensjonacie i mieli rozejść się do swoich pokoi. — Dość gospód, oberży i innych przechowalni.

— Ja także — przyznała Catherine. — Używanej pościeli, spluwaczek, w które nie trafiono, nocnych szafek z wypalonymi śladami i nocników z urwanym uchem.

— Jak dobrze byłoby schować się we własnym domu i zamknąć za sobą drzwi — rozmarzyła się Tiril.

— Już niedługo — obiecał Erling. — Niedługo odpoczniecie. Tiril bardzo w to wątpiła. Chata Catherine, pełna czaszek i przedziwnych zapachów, którymi przesiąkły ściany, szczególnie jej nie kusiła.

Powiedzieli sobie dobranoc, a Móri mruknął do Tiril:

— Pójdę z tobą porozmawiać.

— Dobrze.

Serce zabiło jej mocniej. Czy rzeczywiście chciał tylko rozmawiać, czy też... Czy on wie, jak bardzo go pragnę, jak trudny był dla mnie czas, kiedy Catherine tak go prowokowała? Czy wie, jak bardzo się boję naszych zbliżeń? Pamiętam ostatnie spotkanie, kiedy niemal doszło do... Jak bardzo mnie to przeraziło, ponieważ on otworzył drzwi do królestwa śmierci, zamiast pozwolić mi unosić się w chmurach?

Cóż za idiotyczne określenie, ale lepszego nie umiem znaleźć.

Boję się, Móri. Zostaw mnie, niesiesz ze sobą śmierć i ciemność. A mimo to moje ciało tęskni za tobą.

Zamknęła za nimi drzwi.

Lipcowa noc. Ani jasna, ani ciemna. Mroczna. Dźwięki z ulicy, z portu. W od-dali połyskują wody fiordu.

Nędzny, brudny pokoik w pensjonacie. Nie chcę się odwracać. Będę wyglądać przez okno, chcę widzieć czyste niebo nad wodą, romantyczne szkiery, brzeg.

Móri stoi za mną. Nie odwrócę się.

Dziś w nocy wszystko jest takie inne. Nie dotykaj mnie, Móri!

— Tiril.

Nie słyszę. Nie chcę słyszeć. On nie może się dowiedzieć.

— Tiril, spójrz na mnie!

— Nie. Nie jesteś życiem ani miłością, tylko ciemnością, śmiercią, bezdennymi otchłaniami. Boję się na ciebie patrzeć.

Móri. Przydomek oznaczający upióra zmarłego czarnoksiężnika. Spłodzony

z nasienia mistrza wiedzy tajemnej w momencie jego śmierci. Zrodzony ze śmierci. Otoczony duchami otchłani. Zostawił mnie samą, na pastwę dwóch zbójów, a sam pospieszył na Islandię, aby odnaleźć prastare czarodziejskie formuły.

Kocham go. To właśnie jest najgorsze. Jeśli mnie dotknie, nie mam się jak bronić. Podążę za nim do mrocznego królestwa czarów i wiecznej śmierci.

Śmierć wokół Móriego, zawsze śmierć.

Dlaczego nie mogę pokochać innego?

Ale jak można kochać innego człowieka, kiedy jest Móri?

— Nie tknę cię, Tiril. Chciałem ci tylko pokazać swoje uczucia dla ciebie.

Jego uczucia dla mnie? Taka jestem ich spragniona, wygłodzona, tak długo cierpiałam przez zarozumiałą baronównę. Czy potrafię z tego zrezygnować?

Odwróciła się powoli.

— Ten pokój jest taki brudny. To będzie takie brzydkie.

— Zapomnij o pokoju. Naucz się patrzeć.

Nie rozumiem, o co mu chodzi.

— Żadna twarz, żadna postać nie jest doskonała. Naucz się dostrzegać to, co piękne, odnajdywać duszę!

Małeńka świeczka na nocnym stoliku. Móri w cieniu wydaje się całkiem czarnej. Móri to śmierć we własnej osobie.

Śmierć jest piękna.

— Nie wciągaj mnie w to!

— Dobrze. Ty poprowadź mnie ku światłu, ukochana.

— Bardzo tego pragnę. Ale twój cień jest większy.

— Kocham cię. Błagam cię, pomóż mi! Twój jasny świat, który nigdy nie będzie moim, tak kusi. Poprowadź mnie tam!

Serce uderzało mocno, głośno.

— Siła twojej miłości nie może równać się z moją. Nie dotykaj mnie, Móri. Twoje cienie mnie przerażają.

— Wiem o tym. Chcę tylko nauczyć cię patrzeć.

— A więc dobrze. Wiedz tylko, że głęboko mnie zraniłeś, kiedy ta druga zajmowała cały twój czas.

— Ja cierpiałem bardziej, dlatego że nie mogłem być przy tobie.

Jego ręce na moich ramionach. Te oczy, które wszystko widzą. Patrzą na moje usta, na czoło. Wygłodniałe, rozpalone tęsknotą. Jaki on zmysłowy, niebezpieczny w swym niemal boskim autorytecie. Bóstwo ciemności, niebezpiecznych mocy.

— Uciekaj, Tiril, póki jeszcze czas!

Każdy jego dotyk wpala się w moją skórę, głębokie spojrzenie odnajduje drogę do mego wnętrza. On wie, wie, że ja tego pragnę, że przerażają mnie własne żądze i jego bliskość.

— Nauczyłaś się patrzeć?

— Tak, ty mnie tego nauczyłeś.

— To spójrz na mnie w taki sposób!

Przesunęła wzrok po ukochanych rysach i zrozumiała, ile miał racji. Zniknęło to, co nie było doskonałe. Dostrzegła tylko czułość, miłość i strach przed wyrządzeniem jej krzywdy. Już wkrótce patrzyła w jego oczy bez obawy, bo ciepło, które z nich biło, było silniejsze niż jej lęk.

— A więc to umiesz — rzekł. — Potrafisz patrzeć wzrokiem miłości. Rozbierz się, Tiril, najdroższa! O, tak, pozwól, że ci pomogę. Chcę cię zobaczyć, tak jak nigdy dotychczas nie mogłem, a o czym marzyłem. Zdejmij bluzkę, obnaż sprężyste młode ciało.

Coś ją zastanowiło.

— A gdybym nie była młoda i miała obwisłą, zwiotczałą skórę?

— Wtedy kochałbym cię jeszcze bardziej, wiesz o tym dobrze, Tiril. Źle dobrałem słowa, nie to miałem na myśli.

Nie dotykaj mnie! Czy słyhać, jak bardzo niespokojny jest mój oddech? Oczy mam zamknięte, jedyne, czego pragnę, to go przyjąć. Te ręce, które zawsze tak kochałam. . . Jakże delikatny jest ich dotyk.

— Przerażasz mnie, miły. Wokół nas coraz gęściejszy mrok. Przybliżasz mnie ku śmierci, oddalasz od świata.

Całuje mnie w ramię, pędzą ogniste strzały. Rozbiera mnie. Boże, spraw, aby serce nie waliło mi tak głośno! Nie pozwól, by dowiedział się o wstydzie, o tym, że płonie i pulsuje mi ciało.

Gwałtownie odwróciła się do okna. Bała się, że on, który tak potrafi patrzeć, dostrzeże jej nie zaspokojone pożądanie.

Usłyszała i poczuła, że on także się rozbiera. Nie, Móri, nie! Obiecałeś, że się do mnie nie zbliżysz!

— Obiecałem — rzekł, jakby czytał w jej myślach. — Nie bój się, oboje to potrafimy. Dobrze pamiętasz, raz już próbowaliśmy. I nic się nie wydarzyło.

Teraz jest inaczej, chciała powiedzieć, ale nie zdołała dobyć słów, bo ciało Móriego przylgnęło do niej. Niezwykle gorąco wybuchnęło w najbardziej tajemniczym miejscu ciała dziewczyny. Rozchylił nieco jej uda, poczuła między nimi jego twardość.

Zdusiła jęk.

— Móri, to niemożliwe. Nie dzisiaj, nie mogę czekać.

Pozwoliła mu odwrócić się twarzą do siebie. Patrzył na nią z taką miłością, że poczuła, jak wzbiera w niej płacz. Bez słowa zaniósł ją do łóżka.

— Obiecałem — szepnął. — Zaufaj mi!

Ale to przecież tortura, pomyślała. Nie rozumiesz?

Ułożył się u jej boku, popatrzył na nią. Ujął twarz w dłonie i pocałował.

Tiril zakreśliło się w głowie, zapadła się w bezdenne otchłanie, w których królowała śmierć, poczuła, jak mrok zamyka się wokół nich.

Teraz jednak nie miała już sił, by się sprzeciwić. Odwzajemniała pocałunek z namiętnością, która ją przeraziła. Czuła, że opuszcza świat życia i światła.

Otoczyły ją szare cienie, rozkołysane, niewyraźne, pojękujące z cicha jak zmarli zbudzeni z trwającego setki lat snu, wciągnięci teraz w zmysłowe, namiętne marzenia.

To się źle skończy, pomyślała przerażona Tiril. Wnikam do mrocznego świata Móriego, teraz dowiem się, przed czym mnie przestrzegał. Bał się dzielić go ze mną, bo on jest czarnoksiężnikiem i może swobodnie poruszać się wśród beziemiennych istot, zamieszkujących otchłanie.

— Jesteś taka piękna — szepnął. — Właśnie cię zobaczyłem.

Tiril chciała już powiedzieć, że daleko jej do piękności, ma za krótkie nogi i szyję, za grubą talię, a z upływem lat z pewnością zbytnio się zaokrągli. Na komplement nie można jednak tak odpowiedzieć, należy tylko w sposób naturalny podziękować.

Nic pod słońcem nie jest chyba równie trudne jak naturalne zachowanie.

Jeśli Móri uważał ją za piękną, w zupełności jej to wystarczało.

Przesunęła dłonią po jego nagiej piersi.

Jak większość ludzi o skórze barwy kości słoniowej miał gładki tors, bez jednego włoska, co jej zdaniem bardzo doń pasowało. Zarzuciła mu rękę na kark i zanurzyła dłoń w kędziory. Czuła, że jej ciało zmienia się w płomień, jest gotowe na wszystko.

Cienie otaczały ich ciasnym pierścieniem, patrzyły na nich, pojękując.

Móri był bardzo delikatny. Koniuszki palców błędziły po skórze dziewczyny, jakby chciały się z nią kochać, i to właśnie robiły. Smukłe dłonie wywoływały jedną za drugą fale rozkoszy, wiła się dręczona słodkim bólem.

Całował ją w szyję, ramiona, piersi i pępek. Czubek języka igrał na skórze. Zorientowała się jednak, poznała po oddechu i nagłych skurczach palców, że i jemu jest coraz trudniej.

Kiedy położył dłoń na najwrażliwszej części jej ciała, jęknęła przerażona. Przeżycie było niezwykle intensywne, wydawało jej się, że więcej już nie znieśie.

— Móri, wokół nas coraz mroczniej. Bramy śmierci zamykają się za nami, w twoich ramionach płynę ku czarnym otchłaniom.

Podniósł głowę i popatrzył na nią, nie odsuwając ręki. Kolanem wciął jej udo.

— Wiem o tym — odparł z wysiłkiem. — Wiem o tym, ale nie zabiorę cię w ten mrok, nie przekroczę granicy, zaufaj mi. Muszę najpierw spytać mych towarzyszy, co się z tobą stanie, jeśli osiągniemy spełnienie.

— Ale ja cię pragnę, Móri! — jęknęła. — Nie mogę czekać, nie wytrwam dłużej, spłonę, nie rozumiesz? Ach, Móri!

— Spokojnie — szepnął, pieszcząc ją ręką. — Poradzę sobie, będziemy sobie pomocą.

Jeszcze raz ją pocałował, z niezwykłym zarem, który przeczył jego słowom o spokoju. Tiril łkała, przesunęła rękę w dół, by odwzajemnić pieśczoćy i pomóc jemu, ale on nagle się odsunął, szepcząc stanowcze „nie”. Usiadł gwałtownie, skulił się, oparł plecami o ścianę. Podciągnął kolana pod brodę i otoczył je ramionami. Ukrył twarz..

— Móri, co się stało? — spytała nieszczęśliwa. Miała wrażenie, jakby nagle oblano ją lodowatą wodą.

— Nic nie mów! Nie dotykaj mnie!

Słyszała, że szczęka zębami. Ciało miał napięte jak cięciwa łuku.

Szare cienie zniknęły. Światło powoli zaczęło się sączyć do jej świata. Ale dziewczynę dręczył smutek, bezdenny smutek.

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć... .

Móri ze świstem wciągnął powietrze w płuca.

— Ja także nie potrafiłem się temu oprzeć, choć jestem taki silny — wyznał.

— Oboje okazaliśmy się słabi. To była niemądra zabawa.

— Co masz na myśli? — spytała, głęboko dotknięta.

Podniósł głowę, twarz miał ściągniętą.

— Twoje ciało znalazło się zbyt blisko, a moja miłość była zbyt gorąca. Pragnę być z tobą jak najbliżej, Tiril, jedyna, którą kiedykolwiek kochałem. Chcę być przy tobie, nie mam siły, by się opierać. Wybacz mi, nie wiedziałem, jakie to trudne.

Te słowa sprawiły jej ulgę, odetchnęła uszczęśliwiona.

— Najdroższy Móri, najdroższy mój, tak bardzo, wprost bezgranicznie cię kocham. Pomów ze swoimi przyjaciółmi! Jestem gotowa na wszystko, ale chyba nie chcę umierać!

— Nie, nie umrzesz, tak jak ja nie umarłem. Ale twoje życie ogarnie mrok, w twoim świecie zaroi się od cieni, słońce będzie tylko ledwie dostrzegalnym punktem, widzianym z morskiego dna. Bo tak mniej więcej wygląda moje życie. Dlatego nie chciałem cię wciągać do swego świata.

Uspokoił się już. Tiril przycupnęła obok niego, siedzieli oboje objęci, nadzy, ale emocje trochę ostygły. Pozostał tylko smutek, uczucie równie piękne.

— Móri, co z nami będzie? Gdzie się podziejemy, to mnie najbardziej dręczy.

— Najpierw przeżyjemy ten bal — szepnął jej we włosy. — Potem zobaczymy.

— Erling chce wracać do domu, do Bergen, ale ja tam nie pojedę. Prosiłam tylko, by położył kwiat na grobie mej ukochanej siostry.

Móri uśmiechnął się.

— Erling mówił mi, że cieszy się na ten bal na zamku. Jest taki przystojny, na pewno wzbudzi sensację.

— Owszem, jest przystojny, ale nie rozumiem, jak mogłeś starać się mnie z nim połączyć.

— Byłem głupi. Powinienem być wiedzieć, że my dwoje należymy do siebie, że nie rozdziela nas sztuczne granice. Ale teraz pójdę już do swego pokoju.

— Chyba nie w tym stroju?

— Och, oczywiście. Czy wiesz, że jedyna na świecie oglądałaś mnie nagim?

— Bardzo mnie to cieszy, bo nigdy nie widziałam piękniejszego mężczyzny.

— A wielu ich widziałas?

— Głuptasie! Ani jednego.

— Tak właśnie powinno to brzmieć. Często bywałem zazdrosny o Erlinga. Sądziłem, że czasami o nim myślisz.

— Byłeś zazdrosny? Jak miło! Dobranoc, kochany! Dałeś mi dzisiaj tyle szczęścia, że nie będę mogła zasnąć.

— A ja nie chcę spać. Będę przywoływał w myślach każdy moment dzisiejszego wieczoru, a jutro znów cię zobaczę. Czy można pragnąć więcej?

Dwaj mężczyźni siedzieli w kącie gospody, zajęci rozmową.

— Z całą pewnością są w Christianii. Przyprawdzili stajennemu konie. Był z nimi wielki czarny pies, wszystko więc się zgadza.

— Jak ominęli nasze pułapki?

— Nie mam pojęcia. Ale wiesz co, Georg? Stało się jeszcze coś gorszego! Ich nazwiska zostały wpisane na listę gości zaproszonych na bal do Akershus!

— Co takiego?!

— To prawda. Znajomy z zamku twierdzi, że ta baronówna, która się do nich przyłączyła, wkręciła ich na bal.

— To najgorsze co może się zdarzyć! Nie wolno do tego dopuścić!

— Oczywiście. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie się zatrzymali, moglibyśmy natychmiast się z nimi rozprawić.

— Nie mamy czasu do stracenia. Tiril nie może pójść na bal, już my się o to zatroszczymy.

— Żywa tam nie pójdzie, bo wtedy wszystko stracone.

— Natychmiast zdobądź zaproszenia na bal! Musimy się przygotować, na wypadek gdybyśmy nie dopadli jej do soboty. Ale powinna umrzeć wcześniej.

Drugi zacisnął wargi. — Na Boga, przysięgam, że Tiril nigdy nie przekroczy progów zamku Akershus. A jeśli tam wejdzie, jej los i tak będzie przesądzony.

Źródła:

Dr A. Chr. Bang: NORSKE HEXEFORMULARER OG MAGISKE OPSKRIFTER wydane przez Videnskabselskabet i Christiania, w 1901 (1035 stron);

Carl A. Lindsten: SEVART I TIVEDEN, 1990; oraz własne przeżycia autorki z Tiveden. Między innymi słyszała ona, a także jej mąż i córka, w pobliżu Stenkalan powolne rytmiczne uderzenia Dziada z Kolar. Córce, obdarzonej zdolnością jasnowidzenia, przez cały czas towarzyszyło „coś” po prawej stronie. Raz obróciła się i odezwała, sądząc, że stoi za nią matka, nikogo jednak nie było. Potem odwróciła się gwałtownie i zobaczyła długą, niską, podobną do węża istotę.

John Bauer (1882-1918) — wybitny szwedzki ilustrator baśni, mieszkał nieopodal Tiveden. Nikt tak jak on nie potrafił oddać nastroju zaklętego lasu i tajemniczej głębi jezior. Melancholia lasu w końcu tak ciężko go dotknęła, że zaczął obawiać się o życie synka. Wydawało mu się, że leśne i wodne istoty chcą porwać chłopca. Postanowił uciec z lasu, przenieść się do Sztokholmu. Kiedy łódź z rodziną i bagażem na pokładzie wypłynęła na jezioro Wetter, niespodziewanie rozpięta się burza. Łódź się wywróciła. John Bauer, jego żona i syn utonęli w głębi jeziora, którego piękno po mistrzowsku przedstawiał.